

TRUCIZNA

CHRIS WOODING

Przekład
Maciej Nowak-Kreyer



Tytuł oryginału

POISON

Redaktorzy serii

MAŁGORZATA CEBO-FONIOK

EWA TURCZYŃSKA

Redakcja stylistyczna

ELŻBIETA NOVAK

Ilustracja na okładce

WYDAWNICTWO AMBER

Opracowanie graficzne okładki

STUDIO GRAFICZNE WYDAWNICTWA AMBER

Skład

WYDAWNICTWO AMBER

Wydawnictwo Amber zaprasza na stronę Internetu

<http://www.wydawnictwoamber.pl>

Copyright © Chris Wooding, 2003.

All rights reserved.

For the Polish edition

Copyright © 2003 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 83-241-2171-4

Spis treści

Wigilia święta Dusz
Straszydło i podmieniec
Łowca ogników
Przedmurze
Lamprey
Dom Kościanej Wiedźmy
Kot i dziewczyna
Skóry i kości
Mędrzec rybak
Pakt
Pajaki
Władczyni Pająków
Kłopot z faerie
Opowieści
Audiencja u Melcherona
Niemoc
Zabójcy
Ur-Lord
Wielkoduszna propozycja
Noże
Koniec opowieści

Palce, ruszając się, piszą; i pisząc,
Ruszają się: ni twa pobożność, ni spryt
Nie sprawią, że cofną się w pół linii,
A wszystkie twe łzy nie zmyją ni słowa.

Ruba 'iyat Omara Khayyama

Wigilia święta Dusz

Dawno temu była sobie dziewczyna, która mieszkała pośród bagien, a na imię miała Truczna.

Wyglądała dziwnie, blada i smukła, o długich czarnych włosach, spływających z obu stron głowy. Twarz miała owalną, czoło wysokie, podbródek ostry, wargi wąskie, nos doskonale prosty, choć odrobinę za długi. Zwłaszcza oczy przyciągały uwagę – wielkie, ciemne, o niesamowitej fioletowej barwie, którymi przyglądała się światu z ponurą i niepokojącą zaciętością.

Mieszkała w wiosce zwanej się Mewa, głęboko pośród Czarnych Bagien. Nazwa osady była zaskakująca, albowiem żaden z jej mieszkańców nigdy nie widział mewy, o morzu nie wspominając. Chyba że brać pod uwagę starego Bystrego, który przewędrował – albo i nie – całą Krainę i widział – albo i nie – wiele rzeczy, zależnie od tego, czy dawało się wiarę jego słowom. Wioskę zbudowano na palach, na połączonych drewnianych platformach nad mrocznym i zarośniętym rzęsą jeziorem, wciśniętych między wielkie, powykęcane jak korkociągi drzewa oraz porośnięte trawą skrawki łądy wystające z szarobrunatnej toni. Czasem owe wysepki zalewała woda, podnosząc się niemal do podłóg domów. Innym razem poziom jeziora tak bardzo opadał, że można było dojrzeć ciemne kształty pływających w nim stworów, czyhających tylko, by złapać nieostrożnego. Tu, na Czarnych Bagnach, żyło się niebezpiecznie, a stały grunt budowało się samemu.

Truczna mieszkała w okrągłej chacie na skraju jeziora, tam gdzie gęsty szpaler powykęcanej leszczyny stykał się z wodą. Dzieliła dom z ojcem, macochą i małą siostrzyczką Azalią. Mieli dla siebie całą platformę. Chatę otaczał ganek z chybottliwych desek i balustrada z pokrzywionych gałęzi. Na sąsiednią platformę przechodziło się mostem linowym, w którym ziała wyrwa po przegnitej belce. Jak daleko Truczna sięgała pamięcią, zawsze musiała przeskakiwać nad szczeliną. Gdy była jeszcze bardzo mała, siadywała na skraju przepaści i wymachiwała nogami. Jej matka – prawdziwa matka – ostrzegała, by tak nie robiła, ale ona zawsze była niesfornym dzieckiem i nie zwracała na to uwagi. Aż pewnego dnia, kiedy wody podniosły się wyjątkowo wysoko, wyskoczyła z nich sułtanka... Dziewczyna ujrzała rogaty, szybko zbliżający się cień niemal w tej samej chwili, gdy potwór wychynął z toni, rozwierając szeroko paszczę o długiej brodzie z macek i czułek. Ledwie zdążyła uskoczyć, a straszliwe szczęki zatrzasnęły się w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą trzymała nogi. Ryba była tak duża, że mogła odgryźć je jednym kłapięciem. Truczna dobrze zapamiętała tę lekcję.

Jej matka, Daleka, mawiała, że Truczna nigdy nie słucha rad i zawsze robi dokładnie na odwrót, niż jej się każe. Przez jakiś czas dziewczyna zastanawiała się, czy nie robić jeszcze bardziej na odwrót i w ten sposób co do joty stosować się do poleceń matki, ale doszła do wniosku, że tylko się zdenerwuje, i szybko zapomniała o całej sprawie. A potem, zaraz po narodzinach Azalii, matka umarła na gorączkę bagienną i ojciec, kojąc żal, poślubił Rosiczkę, wyniosłą piękność z sąsiedniej zachodniej wioski. Między macochą a pasierbicą od razu zapanowała niezgoda. Choć w obecności ojca Truczny kobieta była miła i wesoła, to nienawidziła dziewczyny o fioletowych oczach, a dziewczyna nienawidziła jej.

To właśnie na złość Rosiczkę przybrała imię Truczna. Nie zawsze ją tak nazywano. Którzy rodzice nazwaliby swe dziecko Truczną? Wołano ją Naparstnica, aż do czternastych

urodzin, kiedy cała wioska zgromadziła się na głównej platformie, by usłyszeć, jakie imię sama sobie wybierze. Tak nakazywał obyczaj mieszkańców bagien. Małym dziewczynkom nadawano imiona kwiatów i ziół, chłopcom zwierząt albo miejsc. W Dzień Imienia, gdy uznawano ich za dorosłych, mogli sami wybrać sobie nowe miano. Wielu, tak jak Rosiczka, zachowywało to, które im nadano kiedyś. Inni, tak jak jej pracujący przy drewnie ojciec, Cieśla, przybierali imię związane z wykonywanym zawodem.

Rankiem swego Dnia Imienia Naparstnica okropnie pokłóciła się z Rosiczką.

– Nigdy nie robisz tego, co ci mówię! Nigdy! Nigdy nie będziesz porządną dziewczyną. Zawsze masz tysiące pytań, nigdy nie zgadzasz się z tym, jak jest. Zawsze we wszystkim robisz mi na złość! Nigdy nie dasz szczęścia ojcu, nigdy nie poślubisz silnego chłopaka. Jesteś trucizną dla rodziny, trucizną!

I nią właśnie została. Gdy oznajmiła, jakie wybrała sobie imię, mieszkańcy wioski nie wydawali się zdziwieni. Zawsze uważali ją za wyrzutka, dziwnego i obcego. Tylko ojciec i macocha jęknęli ze zgrozą, ale było już za późno. Stała się Trucizną i miała pozostać nią już na zawsze.

Od tamtego dnia minęły dwa lata. Trucizna miała już lat szesnaście i wśród rozmaitych trosk stawała się kobietą. Ojciec i macocha zapomnieli o jej szesnastych urodzinach, nie było zaś nikogo innego, kto mógłby je z nią świętować. Zresztą nie dbała o to. To był tylko dzień, jak inne. Dlaczego miałyby się zmuszać do radości, tańczyć, pić wino, weselić się – a wszystko po to, by przypomnieć chwilę, w której została wyrzucona z łona matki, wśród krwi i wilgoci? Z czego się tu cieszyć? Wcześniej była szczęśliwsza, wtedy gdy świat składał się z ciepłej czerwieni i słyszała tylko bicie matczynego serca i niewyraźne echo jej łagodnego głosu. Było jej tam lepiej niż tutaj – w zimnym, ponurym świecie, pełnym żalu i smutku.

Zazdrościła swoim rówieśnikom, którzy mogli zapomnieć o troskach i cieszyć się świętem, nie pragnęli niczego więcej, jak tylko zostać dobrym mężem albo ładną żoną, wychowywać dzieci i niczego nie zmieniać. Nie potrafiła myśleć tak jak oni. Nie mogła zapomnieć, że jedno na pięćdziesiąt przed trzydziestymi urodzinami umrze na gorączkę bagienną, że tyle dzieci urodziło się martwych, że co miesiąc chłopcy i dziewczynki giną porwani przez faerie albo bagiennie potwory. Starsi mieszkańcy wioski często narzekali, sterani trudami życia, ale nikt nawet nie ruszył palcem, by coś z tym zrobić. Wyglądało na to, że ludzie czuli się szczęśliwi, jeśli godzili się ze swym losem – ale ona nie mogła zmusić się do tego, by też się z nim pogodzić. Miała poślubić chłopaka z wioski, znaleźć sobie jakiś dom i trwonić czas na chowanie dzieci, martwić się o nie? Wolałaby już rzucić się na pożarcie drapieżnym rybem! To byłaby przynajmniej szybka śmierć, a nie długie konanie.

– Trucizno, masz w sobie Starszą Krew – powiedział kiedyś Bystry. – Z czasów, gdy mężczyźni i kobiety byli silni i rządzą Krainą.

– Co się z nimi stało? – spytała, jak zwykle siadając na dywaniku, blisko ognia, nieopodal starca, który na podniszczonym wiklinowym krześle zaciągał się dymem z fajki wodnej, stojącej przed nim na podłodze.

– Stali się miękcy – odparł Bystry. – Życie było proste, w Krainie panował pokój. Ludzie nie lubią żyć w pokoju, jest wbrew ich naturze. Dlatego zaczęli się ze sobą spierać, potem sprzeczki zamieniły się w kłótnie; a kłótnie łatwo zacząć i trudno skończyć. Tak doszło do Wojny Wielu Stron, a gdy się skończyła, ludzkość stała się słaba i podzielona. Ruszyła w góry i na bagna, ludzie odwrócili się do siebie plecami. Stare miasta opustoszały i teraz się rozpadają, nawiedzane przez duchy przeszłości. Podobnie jak my.

Pociągnął fajkę i wypuścił obłoczek pachnącego dymu, który lekko popłynął w górę, niesiony powietrzem znad ognia, po czym rozpięchł się gdzieś pod strzechą.

Truczna wiedziała wszystko o Wojnie Wielu Stron albo przynajmniej znała wszystkie legendy, któż bowiem do końca wie, co jest prawdą, a co tylko zmyśleniem? Lubiła jednak słuchać opowieści starca. Bystrego uważano za dziwaka, podobnie jak ją. Żył sam dla siebie, co jakiś czas na długo opuszczał wioskę, a kiedy wracał, zawsze miał nowe historie do opowiedzenia. Mógł być nieszkodliwy pod wszystkimi innymi względami, ale to, iż wędrował, wystarczyło, by rodzice ostrzegali przed nim swe dzieci. Z zewnętrznego świata nie mogło przyjść nic dobrego. Żyły tam faerie, trolle, gobliny i istoty bez imion. Niejeden mieszkaniec wioski szeptał, że starzec może mieć w sobie domieszkę krwi faerie. W jego wieku taka żwawość była wielce podejrzana.

– Ale ty, dziewczyno – rzekł po dłuższej chwili zachrypniętym głosem – ty masz w sobie trochę tego dawnego ducha, tak jak ja. Nie zadowolili cię życie tutaj. Spoglądasz dalej niż na to, co jest tuż przed tobą.

– Czasem chcę być po prostu... szczęśliwa. Zadowolona z tego, co mogę mieć – przyznała się. – Jak inne dziewczyny w moim wieku.

– Ach! – parsknął, machając pomarszczoną, starczą ręką. – Truczno, nie myl zadowolenia ze szczęściem. A tak poza tym – wpatrywał się w płomień i jego twarz przybrała taki wyraz, jakby duchem znalazł się gdzieś daleko – niektórzy z nas rodzą się we właściwym miejscu, a niektórzy dopiero muszą takiego szukać.

Nadeszła wigilia Święta Dusz. Truczna cały dzień wałęsała się po bagniskach wokół jeziora, na którym stała Mewa, i małym, zardzewiałym sierpem ścinała grzyby i korzenie. Tutaj, za sprawą wszechobecnej wilgoci, rdza przeżerała metal już po roku, ale mimo to nikt nie spróbował zastąpić go ostrym kamieniem czy drewnem. Mieszkańcy bagien, pełni rezygnacji, godzili się z kolejną uciążliwością losu. Dziewczyna, klnąc, przedzierała się przez gęstwą splątanych łądy, żalując, że nie ma przy sobie jakiegoś ostrzejszego narzędzia.

Gdy wróciła, zapadał zmrok, a na drzewach pozawieszano już duszołapki. Dźwigała kosz, po brzegi wypełniony małymi grzybkami. Wiedziała, że Rosiczka na pewno znowu się rozeźli – wyraźnie kazała przynieść jak największe. Ale Truczna wolała małe grzyby, bo miały wyraźniejszy smak i nie były takie mdłe, a zresztą to ona, a nie macocha je zbierała.

Spokojnie minęła dwójkę dzieci wspinających się wysoko po konarach drzewa, by zawiesić na nich kolejną duszołapkę. Paplały coś do siebie, kiedy mocowały kulę z drewniej kraty, ze świeczką w środku. Sama świeczka była zamknięta w bańce z drogiego, barwionego szkła. Zapalona dawała miękkie, różowawe światło. Truczna spojrzała trochę wyżej i dostrzegła muskularne cielsko błotnego węża, który leniwie oplatał gałąź i obojętnie spoglądał ku malcom. O tej porze dnia węże błotne już nie polowały, z czego dzieci powinny się cieszyć, oczywiście, jeśli zdawałyby sobie sprawę z zagrożenia. Gdyby wdrapały się na drzewo kilka godzin wcześniej, kiedy gada pobudzało jeszcze nikiel ciepło słońca, zapewne by je pokąsał, a następnie, sparaliżowane, oplótl i zgniótl na miazgę.

Truczna zastanowiła się, ile jeszcze razy będą się tak ocierać o śmierć, zanim wreszcie je dopadnie.

Szła między platformami, zmierzając do swej chaty. W chłodnym powietrzu brzęczały owady, dobiegały szelesty większych bagiennych stworzeń. Świetliki latały tam i z powrotem, przemierzając niby wahadła ciemne zakamarki drzew. Wody jeziora zasłoniła gęsta biała mgła. Wioskę tak zbudowano, że aby dotrzeć do domu, Truczna musiała obejść wiele innych chat. Na większości platform tłoczyły się trzy, cztery domy zwrócone do siebie drzwiami. Z tyłu biegnęły drewniane kładki. Dookoła każdej z okrągłych chat rozmieszczono koliste okna podzielone framugami na ćwiartki. Blisko krawędzi platform płonęły smolne pochodnie, których światło mieszało się z blaskiem z wnętrza budynków. Nad kamiennymi kominami, sterczącymi ze

strzech, snuł się dym.

Gdy Truczna weszła na ostatnią platformę dzielącą ją od domu, usłyszała przed sobą podniecone głosy. W pierwszej chwili chciała je ominąć. Nie lubiła dzieci z wioski, one nie lubiły jej. Niestety, nie mogła przemknąć niezauważona. Musiała przejść przez tę platformę, by dostać się do linowego mostu wiodącego ku jej chacie. Z jękiem ruszyła naprzód.

Domyślała się, że coś dzieje się nieopodal domu sąsiadów – i wkrótce na własne oczy zobaczyła, co było powodem całego zamieszania. Po jednym z mostów łączących tę platformę z pozostałymi szedł nieznajomy mężczyzna otoczony gromadką skaczących dzieci. Zdawał się nie zwracać uwagi na szkraby, obładowany metalowymi pojemnikami, które brzęczały i grzechotały z każdym jego krokiem. Odziany był w skóry, nawet dłonie okrywały grube skórzane rękawice. Na głowie miał szeroki, podniszczony kapelusz, a twarz zdobiły bokobrody i wielkie siwe wąsy. Truczna rozpoznała w przybyszu łowcę ogników.

Zatrzymała się, wiedziona nie tyle ciekawością, ile chęcią rozdrażnienia Rosiczki jak największym spóźnieniem. Łowca odwiedzał wioskę w każde Święto Dusz, by kupić od mieszkańców Mewy wszystkie bagienne ogniki, jakie schwytali w duszołapki. Truczna uświadomiła sobie, że tak naprawdę nie widziała jeszcze, żeby w ową noc sam coś łowił, on tylko targował się i kupował. Przypuszczała jednak, że przez resztę roku spędza tyle czasu, polując na biedne ogniki, by w pełni zasłużyć na swoje miano. Przecież tylko w wigilię Święta Dusz bagienne ogniki chwytało na oczach wszystkich.

Owej jedynej nocy w roku, kiedy księżyc wchodzi! w odpowiednią fazę, bagienne ogniki rojnie ukazywały się wśród moczarów, wirując w tańcu. Truczna lubiła na nie patrzeć, uważała, że są piękne: cichutko brzęczące kule nieziemskiego światła, w kolistych kręgach ciągnące za sobą warkocze widmowego blasku. Nikt nie wiedział, dlaczego wszystkie co rok pojawiają się właśnie tej nocy, czemu tańczą i błyskają kolorami, migocząc zapierającymi dech w piersiach barwami, które z trudem rejestruje ludzkie oko. Byli tacy, co sądzili, że ogniki odpowiadają jakimś gody; inni mawiali, iż są duszami zmarłych, dziećmi zabranymi przez bagno, które teraz wracają, by odwiedzić krewnych.

Jeśli to ostatnie było prawdą, to Trucznię dziwiło, iż mieszkańcy wioski wabią je do duszołapek, niczym ćmy, i w nich więżą. Bagienne ogniki przyciągało kolorowe światło, siedziały w lampionie tak długo, póki płonęła świeca. Z każdej pułapki zwisał sznurek, którego pociągnięcie zaciskało wokół kuli pręty klatki – tak że ognek nie mógł już się z niej wydostać. Potem niesiono go do łowcy.

Cypel, sąsiad Truczny, otworzył drzwi swej chaty dokładnie wtedy, gdy łowca uniósł okrytą rękawicą dłoń, aby w nie zapukać. Dziewczyna dobrze знаła ten fałszywy uśmiech, który pojawił się na twarzy wieśniaka.

Nie zachwyciło go, że łowca zapragnął gościć w jego domu, zresztą nie zachwyciłoby to nikogo, dziś jednak była wigilia Święta Dusz i nikt nie mógł mu odmówić. Przybysz spędzi noc w chacie Cypla, żywiąc się jego strawą i śpiąc w jego łóżku, a rano kupi wszystkie bagienne ogniki złapane przez wieśniaków i schowa je do metalowych pojemników, które tu przyniósł. A potem zabierze je gdzieś daleko, gdzie zostaną uwięzione w szklanych lampach i sprzedane tym, co są na tyle bogaci, aby pozwolić sobie na podobny zbytek.

Wszedł do środka, zostawiając za drzwiami zgaję niezadowolonych urwisów skaczących po platformie albo próbujących dojrzeć coś przez okna. Truczna poszła swoją drogą. Aż dziw brał, jakim wydarzeniem było pojawienie się tutaj obcego, choć przecież ta wizyta nie zwiastowała czegoś niezwykłego. Łowca ogników wywołał więcej wrzawy niż ktoś na wpoli pożarty przez błotne pająki. Dziewczyna uznała, że pewnie dlatego, iż częste pającze morderstwa już spowszedniały.

Kiedy dotarła do chaty, Rosiczka krzątała się przy kuchni; rudawe włosy miała związane z tyłu głowy. Nieopodal siedział ojciec, a przed nim stało łódeczko Azalii.

– Pewnie cały czas zbierałaś grzyby – powiedziała macocha, nie odwracając się od kotła, w którym właśnie mieszała. – I zrywałaś tylko te małe, a przecież prosiłam, abyś tego nie robiła.

Truczna bez słowa spojrzała na nią swymi niesamowitymi, fioletowymi oczami. Po żyłe pulsującej na skroni poznała, że Rosiczka jest wściekła, ale w obecności męża stara się opanować. Cieśla patrzył na obie z miną, która zawsze pojawiała się u niego, gdy żona i córka ścierały się ze sobą. Przypominał człowieka, co trzyma w dłoniach chybotliwy stos drogocennych talerzy i boi się je upuścić.

– Połóż grzyby tutaj – westchnęła Rosiczka, pokazując na blat stołu za swymi plecami. – No i teraz zupa nie będzie dobra.

I znów zaczęła mieszać.

Truczna już szła do swej izby, kiedy macocha dodała:

– Naparstnico, staram się żyć z tobą w zgodzie, naprawdę się staram. Dlaczego zawsze musisz robić mi na złość?

– Mam na imię Truczna – przypomniała dziewczyna. Rosiczka nigdy nie zwracała się do niej tym imieniem, bo dobrze wiedziała, skąd się wzięło. – Rosiczko, żeby ci było lżej, wiedz, że robię na złość wszystkim.

– Truczno, nie odzywaj się tak do matki – znużonym głosem skarcił ją Cieśla. – Chodź tu i zajmij się Azalią.

Dziewczyna darowała sobie cisnącą się na usta odpowiedź. Od miesięcy ciągle przypominała ojcu: „to nie matka, to macocha!” On jednak wciąż nazywał Rosiczkę jej matką, Truczna zawsze nazywała ją Rosiczką, kobieta zaś nie wołała na nią inaczej niż Naparstnica. Ale to wszystko głupie, pomyślała.

Nie miała żalu do ojca, nawet do Rosiczki. Wierzyła, że macocha szczerze kocha Cieślę, na swój własny sposób; właśnie dlatego zdobywała się na wielki wysiłek, unikając kłótni z jego córką. A Cieśla kochał Rosiczkę, choć Truczna podejrzewała, że patrząc na nią, wciąż widzi swoją pierwszą żonę, Daleką. Znalazł się pomiędzy dwiema nieprzyjaciółkami, a każda była mu droga na własny sposób.

Truczna bez zawiści przyglądała się jego szczęściu, nawet jeśli sprawy Rosiczki pochłaniały go tak bardzo, że zapominał o urodzinach córki. Nie chciała jednak być dla macochy przeszkodą i ciężarem.

Gdyby ta kobieta ciągle nie udawała, może wszystko dobrze by się układało. Trucznię drażniło odgrywane przez nią przedstawienie. Macocha zaprzeczała, że stara się zastąpić Daleką, a jednocześnie robiła wszystko, aby sprawiać takie wrażenie. Naprawdę usiłowała stworzyć domową atmosferę: gotowała, sprzątała, pytała Trucznię, jak minął jej dzień; czyniła to, co winna robić dobra żona i matka. Ale wszystko było tylko udawaniem. Dziewczyna to widziała.

Prawdziwa Rosiczką nie miała w sobie nic ze spokojnej gospodyni. Chciała żyć wolna od trosk, pełną piersią, tak jak bohaterowie znanych jej baśni, historii o szklanych pantofelkach, trzech życzeniach i magicznych pierścionkach. Truczna widziała, jak z uwagą przysłuchuje się gawędom Bystrego na głównej platformie podczas tych nielicznych dni, kiedy gościł w wiosce. Dostrzegała gwiazdy, jakie zapalały się wtedy w oczach macochy. Rosiczka była piękna i wiedziała o tym, w głębi duszy pragnęła zostać księżniczką. Ale gdy opowieść się kończyła, wracała do domu i zaprzeczała, że kiedykolwiek słuchała takich bredni. Była żoną i macochą, albowiem uważała, że powinna nimi być. Tak jak inni płynęła z prądem życia, uczipiona jakiejś kłody, bała się ją puścić, lękała się odejścia. Tak jak innym brakło jej sił, aby pływać samodzielnie.

Utrudniając macosze życie, Truczna oddawała jej przysługę. Przynajmniej czyniła je nieco ciekawszym.

Usiadła przy łóżeczku Azalii. Ojciec uśmiechnął się do niej. Miał sympatyczną, szczerą twarz, przez troski naznaczoną zmarszczkami, brązowe włosy, także wąsy i oczy, których blask po śmierci Dalekiej jakby przygasł. Truczna kochała go z tego samego powodu, z którego kochała Azalię. Był bezradny.

Azalia miała prawie cztery lata. Była już na tyle duża, by baraszkować tu i tam, ale na tyle mała, że należało mieć ją stale na oku. Dzieci z wioski nie wychodziły same z domu, póki nie stały się już na tyle duże, by nie spaść z platformy. No, w każdym razie, dopóki nie nauczyły się pływać w jednej z bezpieczniejszych sadzawek, na północy, tam gdzie nie zapuszczały się drapieżne ryby.

Dziewczynka ożywiła się na widok Truczny.

– Tu-cizna! – zagaworzyła wesoło.

Siostra wyjęła ją z kojca i posadziła sobie na kolanach.

Azalia, widząc, że wolność jest tuż-tuż, próbowała wydostać się z objęć Truczny i zejść na podłogę. Ale dziewczyna trzymała ją mocno. Rosiczką przez ramię rzuciła dziecku pełne złości spojrzenie. Jakby czekała na to, aż pasierbica wreszcie puści małą, choć wie, że Azalii nie wolno biegać po domu, kiedy ona gotuje. Zakaz ten wprowadzono zarówno dla dobra dziecka, jak i samej macochy, bo ta bardzo kiepsko radziła sobie w kuchni i prawie zawsze rozlewała wrzątek albo upuszczała gorącą patelnię.

Dziewczyna wstała, by zanieść siostrę do izby, gdzie za zamkniętymi drzwiami mogły się swobodnie bawić. Rosiczką, która zaczęła myć grzyby, rzuciła do pasierbicy, właśnie podnoszącej małą:

– Ostrożnie.

– Skoro potrafiłam nieść koszyk grzybów, to mogę też nieść swoją siostrę – odparła Truczna i zamknęła za sobą drzwi do sypialni.

Chata dzieliła się na cztery części. Nie miała piętra, bo pale trzymające platformę mogły nie wytrzymać większego ciężaru. Większość powierzchni zajmowała izba dzienna, było tam palenisko, ruszt, kilka krzeseł i stół. Wszystko, poza kamiennym paleniskiem i pordzewiałym żelaznym rusztem, zrobiono z drewna. Tam też się kąpali. Na Czarnych Bagnach brakowało miejsca na skromność. Pozostały skrawek przestrzeni, pod przeciwległą ścianą okrągłej chaty, podzielono na trzy pokoje. Dwa większe służyły za sypialnie: jedna dla dziewcząt, druga dla dorosłych. W trzeciej znajdowała się toaleta, zwykła dziura w podłodze, przez którą nieczystości wpadały do jeziora.

Izba Truczny – myślała o niej jako o swojej, przynajmniej dopóki mała Azalia nie potrzebowała jeszcze kąta tylko dla siebie – była ciemna i ciasna, ale właśnie tam mogła się schronić i za to ją ceniła. Stały w niej zwyczajne meble. Niechlujne proste posłanie i dziecinne łóżeczko z wysoką kratą, by Azalia nie mogła wyjść z niego nocą. Pośrodku niski stół, gdzie paliły się świeczki, i jeszcze kilka zwykłych półek, bez ozdób, a na nich książki, które kiedyś dał lub pożyczył jej Bystry. Rosicze, jak można się było spodziewać, nie podobała się ta przyjaźń ze starszym mężczyzną, ale dziewczyna niezbyt się tym przejmowała. Macocha w swych sądach tylko naśladowała resztę mieszkańców wioski, bo myślała, że właśnie tak należy robić.

Bystry z podróży przywoził Truciznie różne niezwykłości: dziwaczne rzeźby, pióro, które – jak przysięgał – należało kiedyś do gryfa, skamieniałe jajo ptaka latającego do góry nogami. Podejrzewała, że z tym jajem tylko żartował, bo kiedy je jej dawał, była przecież dużo młodsza i bardziej łatwowierna. W książkach spisano legendy i bajki, opowieści ze wszystkich zakątków Krainy. Pochłaniała je łączywie, tak łączywie, że w pewnej chwili miała ich już dość.

Pomyślała sobie wtedy, że to prawda, iż czasem można mieć przesyć czegoś dobrego.

– Wszystkie są takie same – pewnego wieczora skarżyła się Bystremu. – Żołnierz ratuje dziewczynę i się w sobie zakochują. Prostaczek przechytrza niegodziwego króla. Zawsze jest trzech braci albo trzy siostry i zawsze udaje się najmłodszemu, a pozostali zawodzą. Trzeba być zawsze szczodrym dla żebraków, bo zawsze mają jakąś tajemnicę. Nigdy nie można ufać jednorożcom. Jeśli znasz odpowiedź na czyjąś zagadkę, to zawsze ten ktoś albo sam się zabije, albo zrobi to, co chcesz. Wszystko na jedno kopyto, wszystko takie jakieś śmieszne. Nie takie jak życie!

Bystry ze zrozumieniem pokiwał głową i zaciągnął się dymem z wodnej fajki.

– No, oczywiście, baśnie nie są takie jak życie. Z wyjątkiem tego, co mówią o jednorożcach: te stworzy wyżrą ci trzewia, gdy tylko na ciebie spojrzą. Te rzeczy tutaj – poklepał księgę trzymaną w rękę – to proste historie. Prawdziwe życie też jest powieścią, ale znacznie bardziej powikłaną. Nadal jednak ma początek, środek i koniec. Wiesz, każdy żywot toczy się wedle tych samych reguł... Chodzi o to, że jest ich więcej. Każdy ma swoje rozdziały i chwile pełne napięcia. Każdy opowiada o jakiejś wędrowce. Niektórzy idą daleko i wracają z pustymi rękoma, inni prawie nigdzie nie odchodzą, a jednak bogacą się najwięcej ze wszystkich. Niektóre opowieści mają morał, inne nie mają sensu. Niektóre cię rozśmieszają, inne doprowadzają do łez. Moja mała Truczno, świat to biblioteka, tyle że żadnej z jej ksiąg nie da się przeczytać dwa razy.

Dziewczyna parsknęła drwiąco, choć lubiła, kiedy starzec tak z nią rozmawiał.

– Jakie historie mają do opowiedzenia mieszkańcy Mewy? Są równie nudni i przewidywalni jak te legendy. Czytasz kilka, a jakbyś czytał wszystkie.

– Naprawdę tak sądzisz? – Bystry nachylił się, a w krzyżu trzasnęło mu jak w pobliskim palenisku. – Myślę, że nie wiesz o wielu rzeczach, które dzieją się w tej wiosce, bo już zdecydowałaś, że nie ma sensu czytać niczego więcej poza napisami na okładce.

Truczna tylko wzruszyła ramionami.

– Nie przejmuję się tym. Nie jestem tego ciekawa.

– Dobrze, w takim razie dajmy sobie z tym spokój – odparł starzec. – Każda opowieść ma swoje powikłania i zwroty akcji, i nigdy nie wiadomo, kiedy coś się stanie. Nie zapominaj o tym, Truczno.

– Nie zapomnę – odparła z sarkazmem, nie zaśmiecając już sobie tym wszystkim głowy. Ale zabrała ze sobą książki, które właśnie przyniosła, by mu oddać. Postanowiła je jednak zatrzymać.

Z jakiegoś powodu teraz, wieczorem, gdy leżała na pościeli, przypomniała sobie słowa Bystrego. Zupa Rosiczki okazała się najsmaczniejszą, jaką kiedykolwiek jadła – przypuszczała, że za sprawą zebranych przez nią grzybów – a potem macocha i Cieśla poszli oglądać bagienne ogniki. Truczna jakoś nie miała nastroju, by przyglądać się temu przedstawieniu. Czowała się bardzo przygnębiona. Otuliła Azalię, wsunęła się pod nadgryzione przez mole koce i zasnęła, kołysana brzękiem srebrnego dzwoneczka i śmiechem dzieci, które uganiały się za migoczącymi światełkami. Brzęk ten jakby wiódł ją dalej i dalej w krainę snu, pamiętała jednak, iż w pewnej chwili pomyślała, że jakoś nie pasuje on do odgłosów bagien. Potem Azalia zagaworzyła przez sen, a Truczna, zdziwiona, otworzyła oczy i z miłością popatrzyła na dziecko w łóżeczku. Potem zapadła w otchłań nieświadomości.

Swoją małą siostrzyczkę miała znów zobaczyć dopiero po długim, długim czasie.

Straszyno i podmieniec

Truciznę obudził krzyk Rosiczki. Na wpół przytomna podniosła się z pośłania i otrzepała ze skrzącego pyłu. Dziwne, ale natychmiast poczuła, jak ponownie okrywają ciepła dłoń snu, nakładając ciężar na powieki. Otrząsnęła się, zdumiona, spoglądając na to, co przysypało jej koce i włosy. Wyglądało jak śnieg, choć mieniło się kolorami, oświetlane przyćmionym blaskiem porannego słońca wpadającym przez okrągłe okno.

Znów poczuła otępienie, choć tego nie chciała, ale tym razem odrzuciła derki i wygramoliła się z rozbebeszonego łóża. Te dziwne płatki... To coś znaczy... Nie rozumiała co i w jaki sposób, lecz miała wrażenie, iż dziwny pył ma coś wspólnego z owym nieodpartym ciężarem senności.

Potrząsnęła włosami, rozczochrała je, a potem zaczęła gorączkowo czyścić z pyłu nocną koszulę, tak jakby gasiła trawiące ją płomienie. Poczuła, że wraz z mieniącymi się płatkami opada z niej znużenie. Przez chwilę patrzyła na nie z niespokojnym zdziwieniem.

– Coś ty zrobiła? – pisnęła Rosiczka z drugiej strony izby i Trucizna natychmiast przypomniała sobie, co ją zbudziło.

Macocha stała przy łóżeczku Azalii, na jej twarzy zastygło przerażenie. Oskarżycielsko wpatrywała się w Truciznę.

Dziewczyna dłonią otarła twarz, aby spędzić z oczu resztki snu, i podeszła do kojca, nie zwracając uwagi na Rosiczkę. W piersiach czuła okropny ucisk, coraz głębszą otchłan złego przecucia.

Spojrzała na pośłanie. Cokolwiek tam leżało, na pewno nie było Azalią.

– Dlaczego się nie obudziłaś? – syknęła Rosiczka. – Byłaś tuż obok! Ty przekłeta dziewczucho! Dlaczego się nie obudziłaś?

Trucizna nie słuchała. Jej świat skurczył się do rozmiarów łóżeczka i tego, co w nim było. Wszystkie dźwięki przycichły, nawet piskliwy głos macochy tuż przy jej uchu. Słyszała cichy szum krwi krążącej w jej ciele, swoje wdechy i wydechy. Przytrzymała się brzegu kojca. Gdzieś w głębi pamięci brzęczał srebrny dzwoneczek.

Odskoczyła od łóżeczka i porwała z półki najgrubszą z książek. Pożyczyła ją od Bystrego dawno temu i nigdy nie pomyślała, by ją oddać. Gdy otwierała opasły tom, skrzypnęły zakurzone skórzane okładki, a kartki zamigotały pod jej palcami.

– Czytasz? Czytasz w takiej chwili?! – krzyknęła Rosiczka.

Trucizna rzuciła jej wściekle spojrzenie i szukała dalej. Macocha zaczęła łkać:

– Biedny Cieśla. Co ja mu powiem? Co ja powiem? Serce mu pęknie.

Strona, której szukała Trucizna, rozpostarła się przed jej oczami, dziewczynie zakręciło się w głowie. To było to: czarno-biały drzeworyt. Przedstawiał zgarbioną postać odzianą w długi, poszarpany płaszcz, o twarzy skrytej w cieniu szerokiego kapelusza. Jej oczy były dwoma jasnymi punktami pośród mroku. Wyciągała przed siebie długie, chude ramię. W kościstej dłoni między kciukiem a palcem wskazującym delikatnie trzymała mały dzwoneczek. Drugą dłonią rozsiewała coś, co wyglądało jak pył. Stwór na obrazku stał na polanie, otoczony przez śpiących ludzi.

– Straszyno – wyszeptała.

W głowie Trucziny ponownie rozległ się brzęk dzwonka. Zmarszczyła brwi i bardzo uważnie przyjrzała się stronicy. Czyżby przed chwilą coś się tam poruszyło? Zbliżyła twarz do ilustracji.

Nagle obrazek zdał się rosnąć pod jej spojrzeniem, tak jakby w niego wpadała albo może on wychylał się z karty, chcąc ją pochłonać. Czarno-białe liście drzew drżały. Poczowała zawrót głowy, szeroko otwarła fioletowe oczy.

Straszydło obróciło głowę, utkwilo wzrok w dziewczynie, spoglądając poza stronicę. Gardło Trucziny ścisnęło się ze zgrozy. Chciała szybko zamknąć książkę, jednak nie potrafiła się do tego zmusić. Czowała się przygożdżona, niezdolna nawet mrugnąć. Niedowierzenie i panika szalały w jej piersi.

Potwór zaczął ku niej iść. Jego ruchy były zadziwiająco nierówne, tak jakby patrzyła na szybko zmieniające się obrazki, jednak istota na pewno się poruszała. Zbliżała się krótkimi, kulawymi krokami, przed sobą trzymała dzwoneczek.

– Niemożliwe – powiedziała do siebie Truczina. – Niemożliwe.

Nie mogła od tego uciec, nie mogła odwrócić spojrzenia. Straszydło potrząsnęło dzwoneczkiem – czysty dźwięk niósł jakąś niewypowiedzianą groźbę, był cichy, choć wyjątkowo wyraźny. Stwór rósł i rósł, aż jego górna połowa wypełniła całą stronę. Było tak, jakby Truczina patrzyła nań przez okno, a on opierał się o parapet. Znów zabręczał dzwonek, ten brzęk zdał się wypełniać cały jej umysł. Jasne szczeliny oczu Straszydła paliły ją, jaśniejac w smolistej ciemności jego twarzy.

Truczina prawie nie mogła oddychać. Łapała powietrze tylko dzięki temu, że dygotała. Rozum mówił jej, że coś takiego nie ma prawa się dziać, że to tylko ilustracja w książce, którą ogląda. Ale Straszydło rosło, zbliżało się bardziej i bardziej, aż wreszcie zdawało się, że dzieli ich od siebie tylko grubość kartki.

Istota oparła dłoń na krawędzi obrazka, jej palce wyszły poza brzeg strony i chwyciły nadgarstek dziewczyny.

Trzask zewnętrznych drzwi wyrwał Truczinę z transu. Krzycząc, odrzuciła książkę, która zleciała na podłogę, z hukiem uderzając o deski. Trzęsąc się, dziewczyna patrzyła na nią z wysokości łóżka, gotowa do ucieczki, jeśli z księgą zaczęłoby się coś dziać.

Nic się nie stało.

Truczina poczuła, że serce bije jej coraz spokojniej, i znów zaczęła normalnie oddychać. Uderzyła dłońmi o kolana, chcąc powstrzymać drzenie. Co chwila zerkała w stronę księgi. Musi być jakieś wytłumaczenie, musi być...

Wtedy właśnie zauważyła, że Rosiczka gdzieś poszła, i skojarzyła to ze słyszonym przed chwilą trzaskiem drzwi do chaty. Ujrzała, że łóżeczko Azalii jest puste.

W mgnieniu oka uświadomiła sobie, co chce zrobić macocha. Zeskoczyła z posłania i wypadła z domu – musi ją powstrzymać.

Ranek był zimny i ponury, światło słońca z trudem przedzierało się przez gęstwą zwisającą nad Czarnymi Bagnami. Było jeszcze za wcześnie, by wyfrunęły motyle i by wody moczarów nagrzały się ciepłem dnia. Truczina wyszła z chaty, zanurzyła się w chłód brzasku, ubrana tylko w lniane giezło. Nie kłopotowała się tym zbyt. Większość mieszkańców wioski jeszcze spała po wigilii Święta Dusz, a choć w owym stroju dziewczyna wyglądała trochę dziwnie, to jej koszula nocna była grubsza i cieplejsza od zwykłego, dziennego ubioru. Zresztą nie dbała o to, co pomyślą o niej inni. Zatrzymała się tylko na chwilę, by wzuć buty, bo samobójstwem było wypuszczanie się boso na bagienne błota, gdzie roiło się od owadów, węży, jadowitych pajaków oraz rozkolców, a każdy mógł zabić jednym ukąszeniem czy drapnięciem.

Nigdzie nie było widać Rosiczki, ale z platformy na platformę prowadziła tylko jedna

kładka, więc dziewczyna pospieszyła do sąsiedniej chaty, gdzie na łóżku Cypla chrapał łowca ogników, gdy tymczasem gospodarz z żoną spali na podłodze. Wiodły stamtąd dwa linowe mosty. Jeden jeszcze chybotął się lekko po tym, jak przebiegła nim Rosiczka. Trucizna weszła nań, wiedząc już, dokąd zmierza macocha.

Zobaczyła ją, gdy zniknęła już pośród drzew gęsto rosnących wokół jeziora. Do piersi przyciskała wyciągniętą z łóżeczka istotę, grabo owiniętą kocem. Trucizna wołała macochę, biegnąc po moście łączącym Mewę z brzegiem jeziora. Rosiczka zatrzymała się na chwilę i obejrzała za siebie, w jej spojrzeniu błysnęło szaleństwo. Potem skoczyła między drzewa. Trucizna pomknęła za nią i poślizgnęła się na wilgotnych belkach mostu, ale palcami uchwyciła się linowych poręczy i nie spadła, tak że skończyło się tylko na bolesnych otarciach. Złorzeczając, pobięła na trzęsawiska.

Gdy szła za Rosiczką, ziemia z chlupotem ugięła się pod nią. Jak na Czarne Bagna, podłoże było i tak stabilne. Wiedziała, że w okolicy na szczęście nie rozciąga się żadne grzańskie topielisko. Między drzewami spostrzegła jasny warkocz macochy. Coś trzasnęło pod jej butem, ale nie zatrzymała się, by sprawdzić, jakie nieszczęsne stworzenie właśnie zgniotła. Szła wyrąbaną niewielką ścieżką, wyboistą przesieką, którą wydeptały niezliczone stopy. Przyspieszyła i usiłowała schwytać Rosiczkę, a ona już zwalniała, tracąc siły. Zanim dotarli do studni, dziewczyna znalazła się tak blisko macochy, że prawie mogła jej dotknąć.

Studnia stała pośrodku nieregularnej poręby. Był to kamienny szyb o kwadratowych ścianach, wystających z ziemi i sięgających do pasa. Przykrywała go mocna, pordzewiała krata, a nad nią wznosił się daszek. Okap był wklęsły, tworzył jakby komin, który łapał deszczówkę i sprawiał, że spływała do szybu. Deszczówka nadawała się do picia, podobnie jak czysta woda z podziemnego źródła. Nikt nie chciał, aby bagienne plugastwa wpadały do cennych zapasów wody czy też wpełzały tam różne oślizgłe stworzenia – stąd cembrowina i krata.

Rosiczka, wchodząc na polanę, potknęła się i runęła na kolana, upuszczając zawiniątko na miękką ziemię. Nie rozległ się żaden dźwięk. Gdy Trucizna do niej dotarła, macocha zachłystywała się wielkimi haustami powietrza.

– Tutaj, tutaj, zrób tak – powiedziała dziewczyna, pod niecierpliwym tonem skrywając troskę. Naciągnęła Rosiczkę rękaw na dłoń i zbliżyła do jej ust. – Trzymaj to.

Rosiczka przytknęła dłoń do twarzy, a Trucizna napięła materiał na łokciu, robiąc z płótna coś na kształt woreczka, wewnątrz którego kobieta mogła spokojnie oddychać. Jeszcze przez chwilę macocha się zachłystywała, ale wkrótce wszystko wróciło do normy. Trucizna ją puściła.

– Nie powinnaś tak się denerwować – poradziła.

Rosiczka skuliła się, jej wzrok padł na leżące obok zawiniątko.

– To takie ciężkie – powiedziała.

Trucizna popatrzyła na leżącą w niesamowitym bezruchu istotę, którą Rosiczka owinęła jak bochen chleba. Zastanowiła się, czy stwór jeszcze oddycha. O ile w ogóle oddycha.

– Chciałaś to wrzucić do studni? – spytała.

– Nie mogłam pozwolić, żeby Cieśla to zobaczył! To by go zabiło!

– Bądź rozsądna! – rzuciła Trucizna. – Zapaskudziłabyś studnię, jeśli to by tam gniło. Nie pomyślałaś o tym? Zresztą i tak nie uda ci się tego utopić. Nie wiesz, co to jest?

Rosiczka obrzuciła ją wściekłym spojrzeniem. Wyszła na idiotkę, a tego nie cierpiała.

– Ty pewnie wiesz, co?

– To podmieniec – wyjaśniła Trucizna. – Podmieniec. A gdybyś wrzuciła go do studni, już nigdy nie odzyskalibyśmy Azalii.

Macocha spojrzała na nią z niedowierzaniem.

– Skąd wiesz? Skąd ty to wiesz, mała wiedźmo? To ty jej to zrobiłaś? Ty?

Truczna nie zawracała sobie głowy odpowiedzią. Zamiast tego podźwignęła zawiniątko – było ciężkie, jakby w środku nie znajdowało się ciało, lecz kamień. Spojrzała na Rosiczkę, która zaczęła łkać pośród błota, w brudnej i podartej sukience.

– Nic nie mów. Poradzę sobie z tym.

– Gdzie jest Azalia?! Co chcesz zrobić?! – zawołała macocha, gdy dziewczyna ruszyła przed siebie.

– Nic nie mów – powtórzyła Truczna, bo chciała, by Rosiczka zrozumiała wagę całej sprawy, a również dlatego, że sama nie знаła odpowiedzi.

Ale ktoś mógł ją znać.

– Dobrze, dobrze, już nie pukaj! – wołał Bystry, otwierając drzwi chaty. Był jeszcze bardzo wczesny ranek, a on lubił się wyspać. Ale jego złość minęła, gdy ujrzał twarz Truczny.

– Nocą przyszło Straszycło – oznajmiła drżącym głosem. – Zabrało Azalię. I zostawiło nam to.

Minęła chwila, zanim do starca dotarł sens jej słów. Sprawa okazała się za poważna jak dla człowieka, który dopiero zerwał się z posłania.

Potem, gdy zrozumiał już, o co chodzi, brwi uniosły mu się ze zdumienia i zgrozy. Szybko wprowadził dziewczynę do środka. Na chwilę stanął pod drzwiami, rozglądając się, czy ktoś jeszcze widzi Trucznię. Ale cała wioska spała. Dom starca sąsiadował z dwoma innymi na platformie objętej konarami dwóch wysokich, powykrzywianych drzew. Mieszkańcy tych chat byli jeszcze większymi śpiochami od niego. Kiedy zamykał drzwi, na jego twarzy pojawił się grymas podejrzenia.

– Czy ktoś jeszcze wie? – spytał Trucznię, kładąc zawiniątko na kuchennym stole.

Bystry posiadał jakieś tajemnicze bogactwa, mógł więc sobie pozwolić na dom z kilkoma izbami. W jednej jadł, w innej gotował, jeszcze w innej się mył.

– Wie Rosiczka – odparła Truczna. – Ona nie powie nikomu.

– Jesteś pewna? To ważne.

– Ona nie... – Dziewczyna ze wstydem spostrzegła, że z oczu ciekną jej łzy. Próbowwała je łykać, ale nie na wiele się to zdało. – Dobrze, że już poszła... Ona... – Już nie próbowała dalej mówić, nie panowała nad głosem. Poczowała na ramieniu spracowaną rękę Bystrego, jego głos zadudnił słowami otuchy.

– Już dobrze, Truczno – powiedział. – Jeszcze nie wszystko stracone. Popatrzmy, co tu mamy.

Ruszył do stołu i rozwinął zawiniątko. W środku była Azalia ubrana w piżamę zdobną niewyszukanym haftem; leżała cicho, oczy miała zamknięte. Wyglądała, jakby spała, nieco blada, ale tak jak zwykle pucłowata, o jasnych włosach.

– Nie żyje? – spytał Bystry, pociągając ją za nogę.

Podmieniec gwałtownie otworzył oczy, jednolite czarne kule.

Zdawało się, że tam, gdzie pada ich chłodne spojrzenie, robi się zimniej. Leżąca na boku istota ani drgnęła, tylko złowrogo wpatrywała się w Bystrego.

– A niech to – powiedział starzec. – To naprawdę podmieniec.

– Przecież ci mówiłam – zadziornie odparła Truczna. Jeszcze nie była aż tak zmartwiona, by nie móc na niego sarkać.

Bystry grzbietem dłoni potarł zarośnięty policzek.

– Lepiej podejdźmy do ognia – mruknął. Uniósł podmienca i ruszył z nim do sąsiedniego pokoju, gabinetu, gdzie naprzeciw żarzącego się jeszcze paleniska stała para podniszczonych krzeseł. Izba była ciemna, okno zasłaniały grube, wytarte zasłony. Panowała w niej ciepła duchota. Przy zaciętej tylnej ścianie stał regał z książkami, którego rozmiary mogły wyprawić

Truciznę w kompleksy.

– Siadaj, siadaj – rzekł, kładąc obok podmieńca, jakby był paczką.

Dziewczyna trochę się uspokoiła. Dopiero teraz zauważyła, iż nogi zmarły jej w butach i że nie włożyła skarpet. Spojrzała na krzątającego się Bystrego. Był wysoki, szczupły, raczej wąty, miał duży, mięsisty nos i uszy, z których wystawały włoski. Kiedy chodził, podrygiwała mu czupryna, mieszanka szarości i bieli, wciąż zaskakująco gęsta jak na starca. Miał na sobie wyblakłą starą kamizelkę i spodnie. Szczerze mówiąc, Trucizna jeszcze nigdy nie widziała go w innym stroju. Nagle przysła jej do głowy pewna myśl:

– Obudziłam cię?

– Hm? – mruknął Bystry przez ramię i przejechał palcami po grzbietach ksiąg, najwyraźniej czegoś szukając.

– No, teraz. Obudziłam cię pukaniem?

– Nie da się ukryć – odparł, niby to zrzędząc. – Zbudziłabyś nawet umarłego.

– Śpisz w ubraniu?

Na chwilę oderwał się od ksiąg. Na trochę zbyt długą chwilę.

– Spałem w tym fotelu, jeśli musisz wiedzieć. Jestem starym człowiekiem. Mogę spać wszędzie. – Jęknął i odwrócił się ku półkom. – Nie mogę tego znaleźć.

– Czego?

– *Bestiariusza Machmusa*. Byłem pewien, że go mam.

Nagły, przerażający obraz. Palce Straszdyła na krawędzi strony, dotykające nadgarstka.

– Jest u mnie – wyjaśniła Trucizna. – I nie zamierzam się do niego więcej zbliżać.

– Aha – odparł Bystry, najwyraźniej rozumiejąc, o co chodzi. Nie takiej reakcji dziewczyna się po nim spodziewała.

– Co miało znaczyć to „aha”? – spytała podniesionym głosem.

– Książki czasem bywają niebezpieczne – odpowiedział. – Żywią twoją wyobraźnię.

Chcesz zupy?

– Zupy?! – Trucizna krzyknęła z niedowierzaniem.

– Zupy. Chcesz trochę? Jak zgaduję, jeszcze nie jadłaś śniadania.

– Bystry, co ja mam z tym zrobić? – zapytała, machając ręką w stronę podmieńca. Leżał cicho i bez ruchu, tam gdzie podłożył go starzec.

– Pozwól, że dam ci trochę zupy – odparł. – A potem ci powiem.

Zupa podgrzewała się w kuchni. Bystry dołożył trochę drewna do ognia, a Trucizna opowiedziała mu wszystko, co zdarzyło się tego ranka. Kiedy jedzenie było już gotowe, wręczył dziewczynie miskę, sobie wziął drugą. Przyniósł też chlupiące bułki – prawdziwe, zbożowe pieczywo, a nie pozbawioną smaku gąbkę z bagiennych trzciny. Potem usiadł na swym ulubionym krześle, Trucizna zaś, nadal odziana w koszulę nocną z grubego płótna, zajęła miejsce nieopodal paleniska.

– Trucizno, faerie są złe – powiedział. – Złe i znają się na czarach. Podmieniec i Straszdyło to stworzenia z rodu faerie. Tam, gdzie pójda, zostawiają za sobą dziwy i uludę. Mówią kłamstwa i mają zmysły. To, co zobaczyłaś w księdze, było jednym ze skutków działania pyłu, którym Straszdyło wywołuje sen. Złudzeniem. – Uśmiechnął się ponuro. – Najczęściej ta rasa trzyma się z dala od naszych spraw, faerie mogą bowiem swobodnie wędrować po naszej Krainie i nie muszą zwracać sobie głowy szukaniem nas na bagnach i wśród gór. Ale czasem nie potrafią się oprzeć pokusie splątania jakiegoś figla.

Trucizna spojrzała tam, gdzie w półmroku, na niskim stole z tyłu izby leżał podmieniec, patrząc na nich swymi czarnymi oczami. Całe jego ciało zamarło w bezruchu i ten spokój niepokoił równie jak jego wzrok.

– Co one z nią zrobiły? – cicho zapytała dziewczyna.
– Zabrały ją do Krainy Faerie – odparł Bystry, gryząc kawał bułki umoczonej w zupie.
– Ale dlaczego? – dociekała Truczna, a w jej fioletowych oczach znów pojawiły się łzy. Próbowała jednak odrzucić smutek. Teraz nie było nań czasu.
– Tego nie mogę powiedzieć – odparł starzec. – Czasem dziecko wraca. Może to się stać po dniu, tygodniu, roku, dwudziestu latach. Bywa, że dzieci wracają w tym samym wieku, w jakim je zabrano, a ich rodzice są już starzy i siwi. Bywa też, że wracają całkiem dorosłe. I żadne niczego nie pamięta.
– Ile... Ile razy to się już zdarzyło? – spytała dziewczyna. Z furią spoglądała w strzeliste płomienie, próbując w ten sposób osuszyć oczy.
– Więcej niż myślisz, Truczno – odpowiedział. – I zdarzyło się to w tej wiosce więcej niż raz. Ale wiesz, dobrze zrobiłaś. Widzę, że nauczyłaś się czegoś z książek, które ci dałem. Gdyby Rosiczka to zabiła, faerie mogłyby już nigdy nie oddać ci siostry, Azalia odeszłaby na zawsze.
– Czy... czy nic nie można zrobić?! – zawołała bezradnie.
– To jest jak błotne pająki i węże, jak drapieżne ryby i gorączka błotna i wszystkie inne takie rzeczy – odrzekł Bystry, żując bułkę. – To część życia. Miałas pecha, Truczno, faerie przyszły po twoją siostrę.
– Pecha... – wolno powtórzyła dziewczyna.
– Nie mogłaś powstrzymać Straszdyła – wyjaśnił Bystry. – Nie obwiniaj się. Obsypało cię pyłem, abyś się nie obudziła. Potem zabrało dziecko i podłożyło na jego miejsce podmieńca. Musisz go teraz karmić... Och, one jedzą mnóstwo, wielu dorobiło się garba od pracy, starając się takiego wyżywić. Ale jeśli chcesz jeszcze zobaczyć siostrę, dasz radę. Niektórzy wierzą, że podmieniec to cały czas ich dziecko, tyle że chore. Myślę, że będzie ci łatwiej, jeśli pozwolisz sobie tak myśleć. Potem, pewnego dnia, jeśli należysz do grona szczęśliwców, znów zobaczysz swoją siostrę w jej łóżeczku, a podmieniec zniknie na wieki. Nie wszystkim dane jest tego doczekać. – Wzruszył ramionami. – Taka jest kolej rzeczy.
I kiedy mówił, Truczna poczuła, jak coś w niej płonie, mocniej z każdym jego słowem. Łzy już obeschły, zamiast nich pojawiło się coś innego, mroczniejszego. Wściekłość.
– Nie wierzę w to, co słyszę! – krzyknęła nagle; zerwała się i odepchnęła nietkniętą miskę zupy. – Ze słyszę to od ciebie!
– Ach, teraz rozlałaś swoją... – zaczął starzec.
– Bystry! – warknęła. – Słuchaj! To nie jest żadna kolej rzeczy, to nie jest część życia. Ktoś przyszedł i porwał moją siostrę! Rozumiesz? Dzień za dniem patrzę, jak wszyscy wokół poddają się, uginają pod ciężarem smutku, śmierci i nędzy, i wszyscy usprawiedliwiają się tymi samymi słowami. To jest część życia, bo na to pozwalamy!
Teraz już wrzeszczała, jej twarz poczerwieniała ze złości. Na Bystrym nie robiło to jednak żadnego wrażenia.
– Nie będę czekała, aż faerie postanowią oddać mi siostrę! Nie będę zaharowywała się na śmierć, żeby wyżywić tego czarnookiego potworka!
– W takim razie, Truczno, co chcesz zrobić? – spokojnie zapytał starzec.
– Pójdę i przyprowadzę ją z powrotem!
Po tych słowach zapadła cisza. Dziewczyna popatrzyła na Bystrego, on zaś bez emocji przyjął owo spojrzenie. Za jej plecami wśród mroków izby trzaskał ogień, budząc cienie, które tańczyły starcowi na twarzy.
– Truczno, nie wiesz, co mówisz – ostrzegł, jego głos nagle stał się zimny. – Świat jest znacznie większy od Mewy i znacznie bardziej okrutny.
– W takim razie ja też będę bardziej okrutna.

– Dokąd chcesz iść? I co zrobisz, gdy tam dotrzesz?
– Pójdę do pana Faerie – stwierdziła ze śmiertelną powagą. – I poproszę, by oddał mi siostrę.
– Nawet nie wiesz, czy on istnieje!
– Straszycie istnieje. Podmieniec istnieje. Dlaczego lord nie miałby istnieć?
– A co z twoim ojcem i Rosiczką?
– Nie martwię się o Rosiczkę. Wiem, mój ojciec pogrzy się w żalu. Ale to lepsze, niż się poddać i zrobić tak, jak mi radziłeś.

A co z podmieńcem? Dziewczyna patrzyła na niego w milczeniu.

– Wiesz, że trzeba powiedzieć ojcu – ciągnął Bystry. – Ta istota nie jest czymś, co można zamieść pod dywan. Nie możesz jej przed nimi ukryć. On i Rosiczka będą się opiekować tym czymś. A jeśli odejdziesz, twój ojciec straci dwie córki, nie jedną.

– Czy mógłbyś się zająć tą istotą? Trzymać ją w ukryciu? – błagała Truczna.

– O nie! – zaprotestował Bystry. – Mam inne obowiązki, poza granicami Mewy. Nie mogę opiekować się tym potworem.

Dziewczyna ucichła, zacisnęła zęby.

– Nawet przez chwilę o tym nie pomyślałaś, co?

– Nie.

– I odchodzisz z wioski.

– Tak.

Przez jakiś czas starzec bacznie jej się przyglądał. Zawsze miała silny charakter, ale teraz... Jeszcze nigdy nie widział jej tak zdecydowanej. Z wolna na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Naprawdę masz w sobie Starszą Krew.

– Bystry, czas ucieka. Chcę ruszyć, zanim ojciec się zbudzi. Pomożesz mi czy nie? Oczywiście, że ci pomogę, Truczno. Musiałaś mnie jednak sama o to poprosić.

Łowca ogników

Łowca ogników wrócił do swego wozu po południu, kiedy pozałatwiał już wszystkie sprawy. Przedzierał się wśród drzew, brzęcząc i grzechocząc metalowymi pojemnikami, które zwisały z parcianego pasa ściskającego jego grubą kurtę. Tegoroczne Święto Dusz nie było ani dobre, ani złe. Znał wiele lepszych miejsc do łapania ogników, ale w Mewie czuł się jak u siebie, podobało mu się też, iż mieszkańcy wioski pomagają mu w pracy. Niektórzy łowcy musieli własnoręcznie zastawiać pułapki, harując przy tym od zmierzchu do świtu. A on tylko posyłał wieśniaków do roboty i nad ranem płacił im za trud, miedziaka za każdy przyniesiony ognek. Zbyt słabo znali świat, by wiedzieć, że poza Czarnymi Bagnami miedziaki nic nie są warte. Zresztą, jak przypuszczał, i tak nie miało to znaczenia. Żaden nigdy nie zapuściłby się dalej.

Wóz łowcy miał szerokie koła z ćwiekowanymi obręczami, a na nich łańcuchy – tak aby bez trudu przejeżdżał przez błoto. Był niski, płaski, brudny, ale mocny. Ciągnął go grint, albowiem grinty jako jedyne z dużych zwierząt pociągowych dawały sobie radę na Czarnych Bagnach. Ich błoniaste stopy, płaskie i wielkie jak łopaty, podobne do bobrzych ogonów, sprawiały, że stwory nigdy nie zapadały się w mule, nawet jeśli ugrzązł w nim cały wóz. Istota zaś miała na tyle silne mięśnie, aby bez trudu go stamtąd wyciągnąć. Wyglądała jak wielki jaszczur o ciemnozielonych łuskach i pięciu nogach. W kłębie mierzyła prawie dwa metry, z boków łba o tępo zakończonym pysku spoglądały mętne, żółte oczy. Stworzenia tej rasy cechowały się uporem i powolnością, zarazem jednak były silne i łagodne. Nie wymagały wiele. W odróżnieniu od prawdziwych jaszczurek żywiły się tylko roślinami i potrafiły strawić wszystko, co rosło na moczarach, czy było to trujące, czy też nie.

Sapiąc, łowca odgarnął z wozu plandekę i cisnął pod nią metalowe pojemniki wraz z ich błyszczącymi więźniami. Upadły na puszkę, które złożył tam wcześniej. Jak się spodziewał, prawie brakowało już miejsca na nowe. Czas odjechać i zacząć je sprzedawać. Zmarszczył nos, gramoląc się na przód pojazdu, i zasiadł na koźle. Czuł prawdziwą ulgę, że opuszcza to cuchnące miejsce.

Wtedy właśnie wśród pobliskich drzew spostrzegł dziewczynę. Miała dziwną twarz, niezwykle zaciętą. Patrzyła nań wielkimi fioletowymi oczami. Wierzchem dłoni pogładził gęsty biały wąs i uważnie przyjrzał się nieznajomej. Ubrana była w podniszczoną sukienkę, prostą szatę z długimi rękawami, uszytą z cienkiej skóry, a na szwach pokrytą zaskorupiałym brudem. Nogi skrywały jej solidne buty, na grzbiecie wisiał ciężki plecak.

– Dziewczynko, nie możesz ze mną iść – powiedział łowca, odgadując jej zamiary. Nikt z wioski nie zabrałby takiego plecaka, jeśli nie chciałby wybrać się gdzieś daleko.

– Zapłacę – odparła.

– Ha! A czym ty możesz mi zapłacić?

Podeszła do wozu i uniosła błyszczącego srebrnego suwerena.

– Tym.

– Tym? – zachnął się łowca ogników – Potrzeba więcej.

Trucizna patrzyła nieustępliwie.

– To więcej niż potrzeba.

Zmarszczył czoło, jego białe, krzaczaste brwi zbiegły się w jedną linię.

– Dziewczynko, a skąd ty masz srebrnego suwerena? Ukradłaś go, prawda?

– Nie twoja sprawa. Chcesz go czy nie?

Zastanawiał się przez chwilę, potem sięgnął po monetę. Truczna szybko cofnęła rękę.

– Dopiero gdy dojedziemy.

– A gdzie jedziemy? – zapytał oburzony. Jak na osobkę trzy razy młodszą od niego miała niesłychany tupet.

– Przedmurze – odparła, smakując nowe słowo. Już samo wymawianie go było dla niej zapierającą dech w piersiach, egzotyczną przygodą.

– Wiem – powiedział, przypatrując się jej. – A co, jeśli ktoś pójdzie twym śladem? Na przykład jakiś chłopiec? Albo twoi rodzice?

– Nikt nie pójdzie – odparła po prostu.

Łowca przygryzł wargę i popatrzył na grinta, zastanawiając się nad całą sprawą. Wreszcie przez ramię zerknął na nieznajomą i skinął głową.

– No to wskakuj, dziewczynko. Ale nie próbuj mnie nabrać, bo wtedy pokażę ci, co to prawdziwe zmartwienie.

– Wiem, czym są zmartwienia – zapewniła, wdrapując się na kozioł i siadając obok. – Na imię mi Truczna.

– Sama je sobie wybrałaś, co?

To miał być żart, ale Truczna odpowiedziała najpoważniej w świecie:

– Tak.

Łowca ogników znów się skrzywił, zastanawiając się, czy jednak dobrze zrobił, godząc się zabrać ją ze sobą.

– Bram – przedstawił się.

– To nie jest imię z bagien – zauważyła.

– Nie jestem z bagien – odrzekł. – Wspomniałaś o Przedmurzu? Masz szczęście, właśnie tam się wybieram.

Truczna pokiwała głową. Oczywiście, że się tam wybierał.

Na bagnach rosło pewne szczególne drzewo, którego liście sływały z rozciągliwości. W dzieciństwie Truczna wzięła kiedyś kilka naraz, przyczepiła do belki platformy i ciągnęła, ciekawa, o ile się wydłużą. Przyglądała się, jak robią się coraz cieńsze i cieńsze, aż wreszcie, gdy rozciągnęły się już zbyt mocno, pękły tak gwałtownie, że aż upadła.

Tego popołudnia czuła się podobna do owych liści. W ciągu godziny z wolna toczący się wóz łowcy zabrał ją dalej od domu, niż dotarła kiedykolwiek wcześniej. Do wieczora świat wokół stał się już całkiem obcy. To, co łączyło ją z Mewą, rozciągało się, stając się cieńsze i cieńsze, im bardziej się oddalała, tym większy stawiało opór. Pomyślała, że już nigdy nie ujrzy Bystrego ani ojca, ani nawet Rosiczki. Zaczynała zdawać sobie sprawę z tego, iż jest teraz całkiem sama. Jeśli łowca ogników wyrzuciłby ją z wozu, nie wiedziałaby, dokąd iść i co ze sobą począć. Dom został daleko, a w sercu pojawił się nagły i dotkliwy ból, tęsknota, której nigdy nie spodziewała się poczuć.

Potem, gdy zapadł zmierzch, więź pękła. Żal i smutek ustąpiły, zmieniając się w podniecenie wędrowną. Wraz ze świadomością, że nie można już zawrócić, zjawiała się pewność, że jedyna droga wiedzie teraz do przodu, przed siebie. Czyż Truczna nie stała się właśnie wolna? Czyż nie rozpoczęło się to, o czym od zawsze marzyła? Czyż pierwszy krok na ścieżce wiodącej z Mewy nie był pierwszym krokiem w świat legend opowiadanych przez Bystrego?

– Z czego się tak śmiejiesz? – spytał Bram. Odezwał się pierwszy raz od kilku godzin.

Truczna, która nawet nie zdawała sobie sprawy, że się uśmiecha, wzruszyła tylko ramionami.

– Dlaczego miałabym tego nie robić?
– Ludzie, którzy uśmiechają się do siebie, zwykle mają coś do ukrycia – mruknął łowca.
– Och, szczególnie ja mam – odparła, uśmiechając się szerzej, specjalnie, by się z nim podroczyć.

Gdy nastąpiła noc, Bram powiódł ich na niskie wzgórze, gdzie ziemia była kamienista i zadziwiająco sucha. Na łysym szczycie pagórka nie rosły drzewa, otaczały go jednak ze wszystkich stron na tyle zwarcie, że zasłaniały od strony bagien – mimo to nie przytłaczały.

– Tutaj przenocujemy – oznajmił łowca, pociągnięciem wodzy zatrzymując grinta. Zwierzę wydało niski pomruk, wyraźnie niezadowolone, że na polanie nie rosną żadne rośliny.

Łowca rozpałił ognisko z drzew zdjętych z wozu. Trucizna kręciła się niespokojnie. Jeszcze nigdy nie spała na dworze. Nocą wypęzła za dużo różnych oślizgłych istot, na bagnach czyhało zbyt wiele niebezpieczeństw. Bram zerknął na nią spod gęstych siwych brwi, potem zamachał kijkiem, którym do tej pory grzebał w ognisku.

– Dziewczynko, usiądź i przestań wiercić się jak wiewiórka. Nie ma się czego bać. Ogień będzie trzymał je z daleka.

Niezbyt ją to pocieszyło, zeżliła się też, iż dała po sobie poznać, że jest zdenerwowana. Położyła plecak nieopodal płomieni i przysiadła na nim, zastanawiając się, czy jakaś wiewiórka równie niechętnie jak ona przyznałaby się do własnej niewiedzy. Ciepło, które czuła na twarzy i dłoniach, zdawało się mieć w tym nowym miejscu jakąś wyraźną granicę, inaczej niż to z domowego ogniska. Gdy brakło bezpiecznych ścian, stanowiło jedyną opokę przeciw nocy. Co czyniło je szczególnie cennym.

– Znalazłem to miejsce już jakiś czas temu – wyjaśnił Bram, wskazując gestem okrytej rękawicą dłoni łysy szczyt wzgórza. – Coś jest tutaj w ziemi, nie wiem co. Sprawia, że jest tu sucho i oślizgłe stworzenia trzymają się z daleka. Kiedy wracam z Mewy, zawsze się tutaj zatrzymuję. To jedno z niewielu miejsc na tym paskudnym bagnie, które nadają się do zamieszkania.

Trucizna nie wiedziała, co na to odpowiedzieć.

– Dlaczego ludzie tu mieszkają? – spytał.

Nie wiedziała, czy mówi do niej, czy też sam do siebie.

– Urodziłam się tutaj – odparła po prostu.

Sięgnęła do plecaka i wyjęła pięto kielbasek. Oderwała cztery, a resztę schowała.

– Wieprzowe? – spytał Bram, spoglądając znad płomieni.

Wzruszyła ramionami.

– Możliwe – odpowiedziała. – Nie wiem.

– Skąd je masz?

– Dał mi je przyjaciel.

Ten sam przyjaciel, który dał jej wszystko, co miała w plecaku: prowiant, koce, nóż, nawet starą, zniszczoną mapę. Ten sam przyjaciel, który powiedział jej, że łowca ogników uda się teraz do miejsca zwanego Przedmurzem, i podał imię człowieka, który może jej tam pomóc. Ten sam przyjaciel, który obiecał wziąć na siebie to brzemię: zanieść podmieńca do jej pograżonego w smutku ojca i wyjaśnić mu, co się stało, oraz dokąd poszła. Dziewczyna wiedziała, że jeśli sama spróbuje spojrzeć Cieśli w oczy i oznajmić mu, iż stracił jedną córkę i właśnie traci drugą, to nie zdoła opuścić wioski. Jeśli kiedykolwiek wątpiła w Bystrego, było to już przeszłością. Okazał się wytrawnym podróżnikiem i prawdziwym przyjacielem. Jedynym, którego miała.

– Mam rybę, złowiłem ją ledwie przedwczoraj – oznajmił Bram. – Chętnie dam ją całą za te cztery kielbaski.

Truczna spojrzała na niego.

– Jeszcze nigdy nie jadłam wieprzowiny.

– Ale lubisz ryby, hmm? Wszyscy na bagnach lubią ryby.

– Ale ja jeszcze nigdy nie jadłam wieprzowiny – odpowiedziała Truczna, tym razem bardziej stanowczo. Apetyt łowcy na kielbaski tylko utwierdził ją w przekonaniu, że nie chce takiej wymiany.

– Wiesz, że będę cię wiozł przez całą drogę do Przedmurza – przypomniał.

– A ja zapłaciłam ci więcej, niż ta cała wycieczka jest warta – odparowała.

Tak przecież mówił Bystry, kiedy dawał jej tę monetę i jeszcze wiele innych.

Bram poburkiwał, przyrządzając kolację. Wyjął szerniały metalowy ruszt na cienkich nóżkach i rozstawił go nad ogniskiem. Pokroił rybę w paski i ułożył na nim. Truczna położyła obok swoje kielbaski. Nie wiedziała, jak długo trzeba je piec, ale ufała swemu wyczuciu i dlatego zbytnio się nie przejmowała.

– Czy dobrze jest być łowcą ogników? – spytała nagle.

– Tak samo dobrze, jak być kimkolwiek innym. Tak sędzę – opowiedział Bram.

Przysunął się bliżej ognia, przez jakiś czas trwał w ciszy, aż wreszcie zdecydował się mówić dalej. – Lecz jest się samotnym. Zawsze wędruje się z miejsca na miejsce, nigdzie nie zatrzymuje na dłużej. Od czasu do czasu widuję innych łowców ogników... Nasze drogi się krzyżują... Ale każdy z nas to samotnik. Trzeba takim być.

Truczna skinęła głową. Wiedziała, o co chodzi. Spojrzała w stronę wozu pełnego metalowych puszek i na śpiącego grinta, wciąż uwiązanego do dyszla.

– Jak myślisz, czy one są żywe? Bagienne ogniki?

– Hm?

– Myślisz, że one czują, tak jak my?

Bram oderwał od rusztu kawałek ryby i obrócił go na drugą stronę.

– Dziewczynko, zadajesz mnóstwo pytań.

– Pytam tylko o to, czego sama nie wiem.

Bram zaśmiał się.

– Nigdy o tym nie myślałem – przyznał. – Może to tylko bezrozumne iskry. Może są takie jak ważki. A może to faerie. Dla mnie to bez różnicy.

– Sądziś, że to mogą być faerie?

– Uważaj, przypalisz – przewrócił kielbaski końcem kijka, ukazując ich brunatną skórę.

– Jeśli to faerie, tym lepiej. Czułbym się mniej winny, zamykając w klatkach faerie, niż gdybym więził robale. Wiesz, że wszystkich stworzeń łączących po Krainie faerie są najgorsze.

– Jak jest tam, daleko?

– Pytasz, jak jest poza bagnami? – upewnił się Bram. – Bez wątplenia lepiej niż tutaj.

Truczna poczuła się dziwnie. Jeszcze nigdy nie słyszała, aby ktoś mówił tak o świecie poza trzęsawiskami. Nawet Bystry, który opowiadał o dziwach i niebezpieczeństwach wszelkiego rodzaju, nawet on nie mówił, że poza moczarami jest lepiej.

– Oczywiście, są miejsca, gdzie lepiej się nie zapuszczać – dodał. – Stare miasta... Pełno tam faerie. Tu i ówdzie mieszkają też plemiona goblinów, wysoko w górach, a w czeluściach żyją trolle i karły. Wiesz, zwykło się mówić o tym świecie Kraina Człowieka. Inne stworzenia powinny więc siedzieć w swoich krainach. Ale już od dawna tak nie jest. Jediną rzeczą, jaką na pewno można powiedzieć o ludziach, jest to, że nie potrafią żyć ze sobą w zgodzie. – Spojrzał ku mrokom bagien rozbrzmiewającym głosami owadów. – Ale my nie nadajemy się do mieszkania w takich miejscach jak to. Człowiek jest przeznaczony do tego, by władać równinami, wzgórzami i dolinami, a nie kulić się w lasach i na bagnach, czy też ukrywać wśród gór. – Znów

spojrzał w ogień. – Myślę, że tak właśnie powinno być.

Truczna nic na to nie odpowiedziała. Zamiast tego spytała:

– Chcesz kielbasę? Cztery to chyba jednak dla mnie za dużo.

Długo leżała przy ognisku, nie mogąc zasnąć. Słuchała chrapania Brama dobiegającego spod koców i podskakiwała przy każdym podejrzanym nocnym odgłosie. Wokół płomieni kłębiły się małe owady, a jakieś stworzenia szurały i łamały gałązki pośród drzew. Nie przeszkadzała jej twarda ziemia. Oka nie pozwalał zmrużyć strach przed małymi, jadowitymi istotami zamieszkującymi trzęsawiska. Dziwiła się, jak Bram może być tak nieostrożny.

Gdy upewniła się, że łowca już śpi, trochę popłakała. Choć tego nie chciała, wyobrażała sobie twarz ojca w chwili, kiedy Bystry przyniósł mu tragiczne wieści. Przyszła do domu, żeby zabrać swoje rzeczy, gdy jeszcze spał. Nie widziała się też z Rosiczką.

Znając macochę, podejrzewała, że wróciła do jego łóżka i udawała, że całą noc głęboko spała. Cieśla nie lubił wcześniej wstawać. Jeśli nie obudził go nawet histeryczny krzyk żony, to na pewno nie ocknął się, kiedy wślizgnęła się pod jego koc.

Bardziej niż czegokolwiek innego dziewczyna żałowała, iż nie zostawiła mu żadnej wiadomości. I tak już wystarczająco dręczyło ją, że tak tchórzliwie wymknęła się z wioski. Nawet jeśli uważała, że spotkanie z ojcem może sprawić, iż zmieni zdanie i zdecyduje się pozostać, to sądziła, że zasługiwał na coś lepszego niż poznanie losu córek z ust obcej osoby. Nie pomyślała, by zostawić mu kilka słów pocieszenia, napisać, że nie opuszcza go na zawsze, tylko na jakiś czas.

Teraz było już za późno. Prawie widziała ojca, jak łka, próbując zrozumieć, co się stało, a obok stoi ponury Bystry. Córka została porwana. Dlaczego? Druga córka odeszła. Gdzie? Kiedy wróci? Wyobraziła sobie Rosiczkę, jak próbuje go uspokoić. Wiedziała, że macocha nie może powiedzieć mu prawdy, tak jak ona sama by nie mogła, a zresztą w głębi ducha cieszy się, iż ta dziewczyna o fioletowych oczach znikła z jej życia. Cieśla stracił naraz obie córki. Ale jeszcze gorsza od tego była świadomość, że jedną z nich mają faerie, że podmieniły ją na jakieś monstrum, a teraz on i jego żona muszą się nim opiekować, jeśli nie chcą stracić nadziei na odzyskanie dzieci.

Ale na Czarnych Bagnach taka już była kolej rzeczy.

Wreszcie Truczna wstała od ogniska i podeszła do wozu. Pod plandeką Bram trzymał też jedzenie oraz rzeczy potrzebne w podróży. Wyciągnęła je i położyła przy ogniu, a sama wgramoliła się z kocem na puste miejsce, po czym zakryła brezentem. Opatulając się, potraçała brzęczące puszki, ale wkrótce zwinęła się w ciasny, ciepły kłębek. I zasnęła, ukołysana spokojnym oddechem grinta oraz cichym szmerem bagiennych ogników miotających się w pojemnikach.

Podróżując z Bramem, Truczna szybko straciła rachubę dni. Dopiero po bardzo intensywnych obliczeniach doszła do wniosku, że od porwania Azalii przez Straszydło minął już tydzień. Tydzień, który upłynął w jednostajnym rytmie pletwiastych łap grinta chlupoczących w błocie, od czasu do czasu przerywany postojami, kiedy wóz gdzieś utknął i trzeba go było wyciągać. Rozmyślała o siostrze, o tym, co teraz się z nią dzieje, ale okazało się, że nawet nie potrafi sobie tego wyobrazić. Nic nie wiedziała o faerie. W żadnej z legend i opowieści o podmieńcach nie było ani słowa o tym, co robiono z zabranymi dziećmi.

I choć czuła się z tego powodu winna, to jednak świetnie się teraz bawiła.

Och, naturalnie, podróż była trudna i pełna niewygód. Muszki i komary gryzły przez cały dzień, a każdego ranka, po kolejnej nocy spędzonej na ciasnym wozie, budziła się cała sztywna. Bram nie marudził, że co dzień znajduje swój bagaż ułożony na ziemi w schludny stosik, ale nigdy też nie przestawał chować go z powrotem – a Truczna znowu go wypakowywać, aby

zrobić sobie miejsce pod plandeką. Ostatniej nocy mocno padało i słyszała, jak łowca klnie – miotał się po obozowisku, próbując znaleźć jakąś osłonę dla wyjętych przez nią toreb i koców. Wreszcie odchylił brezent, pod którym spała, i spojrzął na nią z góry. Z ronda kapelusza ciekła mu woda.

– Moje rzeczy mokną! – zagrzmał.

– Tak jak ja w tej chwili – odparła na wpół przytomna. – Swoją drogą, jak jest teraz na ziemi?

Parsknął oburzony i z powrotem zasłonił ją plandeką. Nie miała pojęcia, co łowca robi, by zabezpieczyć rzeczy przed wilgocią, ale gdy z drugiego końca wozu doszły ją jakieś hałasy, uznała, że Bram wyciąga namiot i zamiast niego wkłada swoje bagaże. Nie przejęła się zbytnio – grunt, że jej jest sucho. Punkt dla mieszkańców bagien, pomyślała złośliwie, zasypiając.

Lecz wszystkie te niewygody nie zakłóciły Truciznie rosnącego w niej podniecenia, podniecenia tym, że naprawdę wyjechała. Wyjechała z Mewy, wyjechała od Rosiczki i od wieśniaków, którzy nią gardzili; a wkrótce wyjedzie też z Czarnych Bagien. Próbowwała stać twardo na ziemi, ale nie mogła się powstrzymać od fantazjowania o zmorach i trollach, mocarnych herosach i sprytnych księżniczkach.

– Głupia dziewczucha – mruknęła do siebie. – To tylko bajki.

Ale jakoś nigdy nie czuła się całkiem o tym przekonana.

Bram okazał się dobrym kompanem. Chociaż małowówny, zawsze jednak chętnie odpowiadał dziewczynie na pytania. Była ciekawa świata, słuchała pilnie nawet opowieści o bardzo przyziemnych sprawach. Choć łowca mówił wiele o miejscach, które odwiedził, i ludziach, których spotkał, sam nigdy o nic jej nie zapytał – może nie czuł potrzeby, może starał się zachowywać uprzejmie – a mieszkance bagien niezmiernie to odpowiadało. Doszła do wniosku, że jej towarzysz jest dobrym człowiekiem. Mrukliwym i samotnym, ale też uczciwym i przyzwoitym. Nie była aż tak naiwna, by nigdy nie pomyśleć o tym, co mogłoby się zdarzyć między takim potężnym mężczyzną i młodą dziewczyną, hen pośród bagien, gdzie nikt nie przybyłby jej z pomocą. Łowca zaś nigdy nie wzbudzał w niej obaw przed czymś takim.

Było właśnie południe, niespodziewanie słoneczne, kiedy Bram oznajmił, iż lada chwila ujrzą Przedmurze. Trucizna poczuła, że serce zaczyna walić jej jak młotem, pochyliła się na koźle i wpatrzyła w majaczące przed nią drzewa. Przez cały dzień las z wolna rzedł, a ziemia, po której jechali, stała się na tyle twarda, że prawie można ją było nazwać drogą. Dziewczyna czekała niecierpliwie, a Bram kątem oka zerkał ku niej z rozbawieniem. Koła wozu skrzypiały.

Wreszcie łowca nie wytrzymał.

– Dziewczynko, spadniesz, jeśli dalej będziesz się tak wychylać.

– Gdzie to jest? – zażądała odpowiedzi, wciąż uparcie wpatrując się w drzewa, które jakoś nie chciały zniknąć.

Postukał ją w ramię, a ona spojrzała nań ze złością. Mrugnął do niej, a potem wskazał coś swoim grubym, skrytym w rękawicy palcem.

– Nie patrzysz w górę – powiedział.

Popatrzyła więc ponad baldachim splecionych gałęzi, a potem jęknęła z zachwytem, po raz pierwszy widząc Przedmurze.

Przedmurze

Właśnie w tej chwili, bardziej niż kiedykolwiek indziej, Truczna uświadomiła sobie prawdziwe rozmiary świata.

Całe życie spędziła pod sklepieniem z gałęzi drzew porastających Czarne Bagna. Widok zasłaniały jej wilgotne liście, nigdy nie mogła dobrze przyjrzeć się niebu. Grunt na moczarach był płaski, a wzgórza takie jak to, na którym ona i Bram po raz pierwszy zatrzymali się na noc, zdarzały się wyjątkowo. Istniało tylko kilka dogodnych punktów obserwacyjnych, z których dawało się popatrzeć nad koronami drzew i zobaczyć rozciągający się wokół ogrom przestrzeni, ale Truczna nigdy nie weszła na żaden z nich.

A teraz, znienacka, zobaczyła to.

Drzewa odsłoniły rozległą, półokrągłą polanę. Nad lasem zaś górował najpotężniejszy mur, jak dziewczyna kiedykolwiek widziała. Sięgał tak wysoko, że aby dostrzec jego szczyt, musiała tak bardzo odchylić głowę, że aż jej się w niej zakręciło. Zdawał się też ciągnąć bez końca, lecz nagle zaginał się z obu stron i niknął z oczu. Tworzyła go ciemna skała, wysmagana przez tysiąclecia zmiennej pogody, naznaczona pęknięciami i rysami. Nie zbudował go człowiek, lecz nieprzejednane siły natury. Za jego krawędzią cała okolica wznosiła się na wysokość kilkuset metrów. Dziewczyna miała wrażenie, jakby całe dotychczasowe życie spędziła na dole schodów i właśnie stanęła u podnóża jednego ze stopni.

Wstrząśnięta – za słabe słowo, by oddać to, co wtedy czuła.

– Niespodzianka, co, dziewczynko? – roześmiał się Bram, nie potrafiąc ukryć zadowolenia, iż jego tak pewna siebie towarzyszka oniemiała zdziwiona.

Niewiele stąd widziała samego Przedmurza, klif sterczał pod zbyt ostrym kątem. Zdołała dostrzec tylko ogromne windy – jeździły w górę i dół ściany, a potem znikwały na szczycie urwiska w dymiących, stalowych budynkach, z których następnie wyłaniały się, pędząc ku ziemi. Zobaczyła jeszcze rząd przedziwnych budynków skupionych nad skrajem przepaści, niektóre wystawały nad nią niebezpiecznie albo też wysuwały ku niebu ramiona dźwigów. Była to tylko przelotna zapowiedź widoków czekających ją w mieście.

Bram szturchnął dziewczynę.

– Zamknij usta. Wyglądasz jak wąż, który próbuje połknąć jajo.

Rzuciła mu rozeźlone spojrzenie, zmieszana, że przyłapał ją na tym, że się gapi. Jechali teraz przez polanę ku grupie budynków u podnóża ściany. Były tam już inne wozy, a także piesi wędrowcy wszelakiego rodzaju. Wszyscy spoglądali na odzianych w hełmy strażników z długimi mieczami przy pasach.

Truczna zebrała się w sobie, zła, iż zdradziła się brakiem obycia. Jeżeli świat jest okrutny i przerażający, tak jak ostrzegał Bystry, to nie może pokazywać, że mało o nim wie. Czuła się jak małe dziecko owładnięte zachwytem i jednocześnie wystraszone rozciągającym się wokół nieznanym.

Bram okrytym rękawicą palcem potarł swoje krzaczaste brwi i mruknął:

– Nazywają to miasto Przedmurzem z powodu tej ogromnej ściany. Nazywa się ją Murem, teren wznosi się tu pionowo. Wiesz, Czarne Bagna są otoczone tym murem. To tak jakby wielki fragment świata, bardzo, bardzo szeroki, nagle zapadł się kilkaset metrów. Trzęsawiska są poniżej poziomu morza. Dlatego zawsze jest tam wilgotno.

Truczna wysłuchała jego słów, nie okazując przy tym żadnych uczuć. Oszłomiła ją ta nowa perspektywa. Przedmurze nie było wyższe od bagien, to bagna leżały poniżej Przedmurza. Miasto znajdowało się na tej samej wysokości, co reszta okolicy. Co znaczyło, że ona całe dotychczasowe życie spędziła w ogromnej jamie.

– Czy ktoś wie, dlaczego tak się stało? – spytała. Bram mruknął coś i spojrzał ku niej. – Dlaczego ziemia się tutaj zapadła?

Łowca popatrzył na wlokącego się noga za nogą grinta, który ciągnął ich coraz bliżej zewnętrznych budynków w mieście.

– Mówią o tym baśnie i legendy. Zawsze mówiły. Nie zwracam na nie uwagi.

Dziewczyna się zmieszała, jednak trwało to tylko chwilę, bo wkrótce znaleźli się przy krawędzi muru i zobaczyli idącego ku nim strażnika. Połowę głowy osłaniał mu hełm, zza którego wystawały tylko usta i podbródek. Ciało okrywał strój z metalu, futra i skóry. Nie była to lśniąca zbroja, w którą wyobraźnia dziewczyny zwykle odziewała rycerzy.

– Kim jesteście? – zagadnął.

– Bram z Płótna, łowca ogników – odparł Bram. – A to jest moja córka, Truczna.

Dziewczyna, słysząc to kłamstwo, lekko zmarszczyła brew. Strażnik przyjrzał się jej uważnie. Na jego badawczy wzrok odpowiedziała swoim niepokojącym, fioletowym spojrzeniem.

– Truczna – powtórzył, udając śmiertelną powagę. – Dałeś swemu dziecku niezwykle imię. Musisz bardzo je kochać.

– Jest dla mnie prawdziwym skarbem – przytaknął Bram, puszczając mimo uszu złośliwą uwagę.

Zbrojny westchnął ciężko, po czym ruszył na tył wozu, uchylając plandekę i zaglądając do środka. Podniósł jedną z puszek, przytknął do ucha. Potem, najwyraźniej zadowolony, rzucił ją z powrotem.

– Możecie jechać – przyzwolił bez dalszych ceremonii.

Bram szarpnął wodze, grint zaskrzeczał, a potem ruszył z wolna. Przeszedł w ciszy kilkanaście metrów, póki nie znaleźli się poza zasięgiem słuchu strażnika.

– Jest dla mnie prawdziwym skarbem – przedrzeźniała Truczna, a łowca się roześmiał.

Wnętrze sterowni było gorące, ciemne, maszyny ryczały. Musieli trochę postać w kolejce za innymi wozami, czekając na załadunek. Wreszcie i na nich przyszła pora. Truczna patrzyła, jak ich winda zjeżdża na dół. Cieszyła się, że jest ciemno, bo mrok ukrywał jej niepokój. Winda wyglądała na bardzo kruchą, była to zaledwie metalowa kolebka o płaskiej podłodze, otoczona mizerną barierką. Bram zmusił niechętnego grinta, by wszedł do środka, podczas gdy grupa spoconych pomocników utrzymywała platformę w bezruchu. Wjechały na nią jeszcze dwa inne wozy, oba ciągnięte przez konie. Łowca i dziewczyna zsiadli ze swojego wehikułu. Woleli stać na metalowej podłodze, wydawało im się to bezpieczniejsze. Kiedy wrota windy zamknęły się ze szcękaniem, Truczna poczuła lekkie mdłości, potem było gwałtowne szarpnięcie, potężne koła zębate szepiły się ze sobą i ruszyły do góry.

Przez pierwszych kilka chwil wokół była tylko ciemność i zgrzyt machin. Nagle cały rumor ustał, wyjechali bowiem poza dach, ku światłu słońca, na otwartą przestrzeń.

Truczna zobaczyła, jak budynki w zastraszającym tempie nikną jej pod stopami, a drzewa, wcześniej zdające się tak wysokie, uciekają, robiąc się coraz mniejsze. Pierwszy raz w życiu dziewczyna znalazła się ponad gęstwą czarnych bagien. Znowu zaparło jej dech w piersiach.

To było ogromne. Do tej pory w każdej chwili życia jej serce biło pod tą budzącą respekt nieskończonością zieleni, pofalowanym kobiercem wilgotnych, bagiennych drzew,

poprzecinanych mulistymi rzekami, o których istnieniu zresztą nie miała dotąd pojęcia. W miarę jak unosiła się coraz wyżej, płaska powierzchnia mokradeł zdawała się odchyłać do dołu, odkrywając coraz więcej, aż ku skrajom znikającym wśród bagiennych oparów. Dziewczyna nie mogła jednak dojrzeć przeciwległej granicy trzęsawiska, gdzie, jak mówił Bram, skała wznosiła się równie wysoko jak tutaj. Połknęła ją krzywizna horyzontu.

– Czuję się taka mała – powiedziała głośno.

– Bo my jesteśmy mali, dziewczynko – odparł łowca, wychylając się za barierkę.

Najwyraźniej nie przerażała go ziejąca pod nim przepaść.

Truczna ostrożnie przysunęła się do krawędzi platformy i też spojrzała w dół.

– Chciałabym, żebyś przestał nazywać mnie dziewczynką – poprosiła, bardziej po to, by zdusić w sobie odczuwaną właśnie dziwną grozę, niż dlatego, że naprawdę jej to przeszkadzało.

– To i tak lepiej, niż mówić na ciebie Truczna. Co cię opętało, żeby wybrać sobie takie imię? – mruknął Bram.

– A co cię to obchodzi? Na tyle ci się podobało, że powiedziałeś je strażnikowi.

Łowca skrzywił się.

– Po prostu w tak krótkim czasie nie zdążyłem wymyślić nic lepszego. Nie chciałem wzbudzić podejrzeń. Gdybym powiedział, że jesteś z bagien... No wiesz, niewielu ludzi opuszcza bagna, oni nie chcą ruszać się ze swoich wiosek. A gdybyś była kimkolwiek innym niż moją córką... i podróżowalibyśmy razem... Hm... – Pod siwymi wąsami cały oblał się rumieńcem. Rondo kapelusza naciągnął głębiej na oczy. – Nie chciałem żadnych kłopotliwych pytań.

Truczna oglądała widoki rozciągające się pod jej stopami. Ze zdziwieniem stwierdziła, że strach gdzieś zniknął i teraz nie bała się ani trochę, choć winda wciąż klekotała, wznosiła się wyżej i wyżej, a świat stawał coraz mniejszy. Spojrzała na Brama i obdarzyła go przelotnym uśmiechem.

– Chyba mi się to podoba – wyznała.

– Ha! – zakrzyknął. – Wiesz, nie jesteś stworzona do życia na bagnach. Nigdy nie spotkałem mieszkańca trzęsawisk, który nie zlałby się w gacie, gdyby kiedykolwiek dotarł tak blisko nieba. – Nagle znów poczerwieniał. – Za przeproszeniem.

Truczna spojrzała na niego szczerze zdziwiona.

– Bram, nie ma sprawy, wiem, że za tymi wąsiskami kryje się dżentelmen!

Łowca jeszcze bardziej pokraśniał, potem jeszcze raz przeprosił i udał, że niezwykle interesuje go to, co robi grint.

Truczna starała się, jak mogła, ukryć zachwyty nad Przedmurzem oraz jego mieszkańcami, ale jak podejrzewała, niezbyt jej się to udawało. Bram wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie, rzucał ku niej ukradkowe spojrzenia, a potem chichotał w kołnierz, gdy patrzyła na niego ze złością. Jechali główną ulicą, przedzierając się przez tłum przechodniów i pojazdów. Truczna jeszcze nigdy nie widziała tylu ludzi naraz ani nie słyszała takiego zgiełku jak ten, który czynili wszyscy razem, trajkocząc wśród rżenia koni oraz pomruków i skrzeku grintów. Przyzwyczała się do szarych strojów mieszkańców bagien, gdzie materiał tkano z niewielu surowców, które były tam dostępne, a jaskrawych barw unikano, bo przyciągały muchy, osy i inne, bardziej niebezpieczne stworzenia. Tutaj nie było takich ograniczeń, stroje były wręcz krzykliwe. Obfite suknie z szerokimi rękawami, koszule o plisowanych brzegach, odsłaniające szyję; wysokie kapelusze i miękkie, skórzane buty. Dla dziewczyny wyglądało to nie tyle imponująco, co zabawnie.

O wiele bardziej zachwycało ją samo miasto. Wszędzie dookoła widziała metal, rzadko spotykany i raczej nieprzydatny wśród mokradeł. W niebo wznosiły się wielkie żelazne iglice. Kopyły ze zmatowiałego brązu otoczone były dymiącymi tłokami, które poruszały się w górę i w

dół niczym odnóża opuchniętych pajaków. Ulice wyglądały na wytyczone w dość przypadkowy sposób, domy zachodziły na siebie, jakby miasto stopiło się niczym wosk, roz płynęło, a potem stwardniało. Brakowało typowych dla bagien skupisk jednakowych chat. Każdy z domów był inny. Jedne okrągłe i jakby grudkowate, podobne do stosu błotnych kul, inne surowe, wysokie i trójkątne, jeszcze inne płaskie, niskie, nie wyróżniały się zbytnio. Przy ulicy, którą jechali, szyldy na sklepach jarzyły się i migotały za sprawą jakiegoś dziwnej energii. Nawet teraz, w świetle dnia, na przemian gasły i błyskały.

– Czy tego się spodziewałaś? – spytał Bram.

– Nie wiem, czego się spodziewałam – odparła Trucizna. – Ale jednak nie tego.

– Wiesz, gdzie chcesz iść? Chcesz, żebym cię gdzieś zabrał?

– Szukam człowieka o imieniu Lamprey.

– Aha – powiedział Bram. A potem niespodziewanie dodał: – A po co chcesz go znaleźć?

Trucizna spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Już od tygodnia jedziemy na tym wozie, a ty dopiero teraz spytałeś mnie, dlaczego ruszyłam do Przedmurza.

Bram wzruszył szerokimi ramionami.

– Właściwie to nie moja sprawa.

– Racja, nie twoja – przyznała Trucizna.

Przez chwilę trwali w ciszy. Łowca szturchnął grinta, by żwawiej przepychał się przez leniwy nurt tłumu.

– Jak sądzisz, czy mógłbyś wiedzieć, gdzie go szukać? – odezwała się w końcu dziewczyna.

– Może. Myślałem, że to nie jest moja sprawa.

– Bo nie jest – rzekła Trucizna. – Potrafię sama go znaleźć.

– Jestem pewien, że potrafisz. Nie potrzebujesz mnie do tego. – Bram pokiwał głową do własnych myśli, i lekko ściągnął lejce.

Znów zapadła cisza.

– Zatem wiesz, gdzie on jest? – naciskała dziewczyna.

– Tego nie powiedziałem.

– Ale gdybyś wiedział, powiedziałbyś mi?

– Gdybyś zapytała.

– Zatem?

– Co zatem?

– Zatem gdzie on jest?

– Skąd mam wiedzieć? Nigdy o nim nie słyszałem.

Trucizna zgrzytnęła zębami i przelknęła kąśliwą odpowiedź.

Bram rzucił jej ukradkowe spojrzenie, po czym naciągnął rondo kapelusza na krzaczaste brwi.

– Proponuję ci interes – powiedział.

Dziewczyna z rozmysłem spojrzała w innym kierunku, udając, że nie zwraca na niego uwagi.

– Jaki interes?
– Pomogę ci go znaleźć. A ty dasz mi za to dwa suwereny.
– A co to za interes? – rzuciła, zdziwiona jego beczelnością. – Sama mogę go znaleźć.
– Mogłabyś – przyznał. – Ale nie znasz tego miasta, nie znasz tych ludzi, nie znasz ich zwyczajów. Teraz może dałabyś sobie radę: jesteś twarda i bystra. Lecz i tak pewnie niedługo skończyłabyś, leżąc twarzą w błocie jakiejś uliczki, i to z powodu znacznie mniejszej sumy niż srebrny suweren, którego mi proponowałaś, albo innej monety, które, jak słyszę, brzęczą w twym plecaku.

– Trzymaj się od nich z daleka – syknęła.
– Powiedz mi, ile kosztuje posiłek w oberży w Przedmurzu? – spytał.
Usłyszawszy te słowa, straciła rezon. Gorączkowo zastanawiała się nad odpowiedzią, zgadując, że musi być tu drożej niż na bagnach.
– Trzy miedziaki – oznajmiła.
– Ha! Byłabyś martwa, zanim wyjęłabyś pieniądze. Tutaj nie płaci się miedziakami.
– W takim razie nie będę kupować jedzenia w oberży – stwierdziła.
– To bez znaczenia. Miasto spostrzeże obcego, a obcy to łatwy cel. Szczególnie ten zamożny. Nie masz pojęcia, ile wart jest srebrny suweren, prawda?
– Więcej niż twoje towarzystwo przez cały tydzień – odparła kąśliwie.
– Dobra, jednego jesteś już mi winna – odciął się nie zmieszany. – Znam to miasto i mogę ci pomóc znaleźć tego człowieka. Ale to będzie kosztować następnego suwerena.
– Zabrakło ci ogników do łapania? – warknęła.
– Wigilia Święta Dusz to koniec sezonu – wyjaśnił spokojnie. – Dlatego tutaj jestem. Nie można przecież łapać bagiennych ogników, kiedy nie jest się na bagnach.

Truczna spiorunowała go spojrzeniem. Nie cierpiała takich sytuacji. Wiedziała, że łowca ma rację, choć zgoda na proponowany przez niego układ oznaczałaby przyznanie się do błędu. Nie zwykła na nikim polegać. Dziwne, ale jedynym powodem, który skłaniał ją w ogóle do zastanawiania się nad przyjęciem pomocy, była pewność, iż łowca stara się ją naciągnąć. Jeśli tygodniowa podróż na wozie miała wartość znacznie mniejszą niż jeden suweren, to niewielka przysługa od Brama winna kosztować jeszcze mniej.

– W porządku – odparła ponuro, na środku zakorkowanej uliczki. – Dwa srebrne suwereny. Kiedy odnajdziemy Lampreya.

– No, wiedziałem, że jesteś rozsądna – stwierdził Bram z niezwykłą dla siebie wesołością. – Uparta, ale nie głupia.

Pod koniec dnia Truczna poddała się uczuciu ulgi i zadowolenia z tego, iż zgodziła się na propozycję łowcy. Była wyczerpana i oszołomiona rzeczami, które dziś widziała i słyszała, a także zmęczona udawaniem obojętności wobec tego wszystkiego. W głębi ducha musiała przyznać, że Bram miał rację. Będąc z nim, nie czuła się w mieście tak całkiem obco, bez niego zaś całkiem by się zagubiła.

Najpierw poszli na ogromne, zadaszone targowisko, większe niż cała Mewa, pełne rozmaitych kramów i straganów. Bezustanne krzyki domokrażców, trajkotanie handlarzy i kupujących odbijały się echem od niskiego, ciemnego sklepienia osłaniającego cały bazar, potem zaś wracały niczym promień światła. Samego światła jednak pod kopułą brakowało, bo dochodziło tylko z zewnątrz. Promienie słońca musiały przeciskać się między niewysokimi kolumnami z brązu, podtrzymującymi dach. Dziewczynę i łowcę owiewały zapachy gotowanego mięsa, a z półmroku ciągle wychylały się przed nimi ciemne twarze, by nieszczerym uśmiechem zwrócić na siebie uwagę i pokazać towar. Bram szedł pieszko, prowadząc grinta bocznymi alejkami targowiska, a Truczna, tak jak jej przykazał, siedziała z tyłu wozu.

– Zwiną mi puszki spod planeki, zanim ktokolwiek się połapie – wyjaśnił, a dziewczyna postanowiła mu pomóc.

Bram poprowadził ich do kramu obwieszonego niezwykle lampami, szklanymi rurami powyginanymi na wszelkie możliwe sposoby. W każdej jaśniało miękkie, delikatnie pulsujące światło bagiennego ognika. Truczna patrzyła, jak małe kule blasku wędrują po swych klatkach, czasem ścigają się ze sobą – często w lampie było ich kilka – a czasem leżą spokojnie. Barwne szkło i kolorowe migotanie światełek sprawiały, że każda z lamp emanowała innym nastrojem. Niektóre były spokojne, jaśniały cętkowanym błękitem i zielenią, inne płonęły czerwono i purpurowo. Były piękne, prawdziwe dzieła sztuki, ale Truczna czuła smutek, że takie cudowne stworzenia jak bagienne ogniki są więzione dla uciechy bogaczy. Zastanawiała się, czy mieszkańcy Mewy, zakładając pułapki w wigilię Święta Dusz, choć przez chwilę pomyśleli, na co skazują te niezwykle istoty.

Pilnowała wozu, jednym uchem słuchając, jak Bram targuje się z niewysokim, pomarszczonym handlarzem. Łowca wyjął spod planeki kilka ogników i pokazał mu. Metalowe puszki tak zbudowano, że wieko po przekręceniu unosiło się nieco, dzięki czemu powstawała szpara na tyle szeroka, by dało się przyjrzeć ognikowi, nie ryzykując, że ucieknie. Bram sprzedał w końcu pięć puszek i raczej nie wyglądał na zadowolonego z ceny. Potem wdrapał się na wóz i ponaglił grinta.

Na tym zszedł im prawie cały dzień. Odwiedzili jeszcze sześć miejsc w różnych częściach miasta, które Bram nazywał hurtowniami, gdzie kupowano od niego ogniki, by sprzedać je w innych rejonach Krainy. W Przedmurzu popyt na taki zbytek, jak lampa z ognikami, był za mały, aby dochód ze sprzedaży wystarczał na utrzymanie całego kramu. Dziewczyna zadowolona czekała, aż łowca skończy, chłonęła obrazy i dźwięki, mierząc wszystko swym niepokojącym spojrzeniem.

Był już późny wieczór, kiedy Bram przyszedł do wozu z jakąś nieznajomą, na oko rówieśniczką Truczny. Mieszkancka bagien przyjrzała się jej krytycznie. Towarzyszka łowcy wyglądała na bardzo znużoną. Miała na sobie proste, podniszczone podróżne ubranie, na głowie zaś gęstwę zmierzwionych płowych włosów. Pewnie i byłaby ładna, gdyby tylko nie wyglądała na taką steraną. Truczna spostrzegła, że jej oczy są dziwnie przygaszone, jakby nieobecne.

– No proszę. Dopóki ciebie nie poznałem, rzadko spotykałem człowieka z bagien, który wystawiłby nosa z rodzinnej wioski – oznajmił łowca. – A teraz spotkałem jedyną osobę tak zagubioną, że chce tam iść. I to ni mniej, ni więcej, ale do Mewy.

– Idziesz do Mewy? – Truczna zagadnęła nieznajomą.

– Jeden z moich hurtowników załatwiał jej właśnie podróż w tamte strony – wyjaśnił Bram. – Kiedy wspomniałem o tobie, wskazała na nią. Pomyślałem, że mogłybyście się spotkać, na wypadek, gdybyś... hm... chciała się jeszcze zastanowić. Nad powrotem.

Jego troska mile zaskoczyła mieszkankę bagien. Obca dziewczyna patrzyła na nią obojętnie.

– Dlaczego tam idziesz? – spytała ją Truczna.

– To moja sprawa – niegrzecznie odparła nieznajoma, rzucając Bramowi spojrzenie pełne złości. Najwyraźniej nie cieszyła się, że ją tu przyprowadził.

Truczna zastanowiła się przez chwilę i ku swemu zdziwieniu spostrzegła, że w ogóle nie kusi jej propozycja łowcy. Odwrot okazałby się gorszy niż rezygnacja z dalszej drogi. Była jednak jeszcze jedna sprawa...

– Czy mogłabyś zanieść tam wiadomość ode mnie? – zapytała.

– Dla kogo?

– Dla Cieśli i Rosiczki.

Dziewczyna spojrzała na nią chłodno. Miała wręcz przerażająco ciemne oczy.

– Co to za wiadomość?

– Powiedz im... – zaczęła i nagle uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia, co chciałaby im przekazać, nie przychodziło jej do głowy żadne słowo, które sprawiłoby, żeby ją zrozumieli. Nie rozumieli jej przecież do tej pory. Była dla nich obca, podobnie jak dla reszty wieśniaków. Jaka wiadomość zdjęłaby z nich choć odrobinę ciężaru? Dostrzegła teraz, że od rodziców dzieli ją wielką przepaść.

– Czemu po prostu nie powiesz im, że jest ci przykro? – bez ogródek zaproponowała nieznajoma.

Truczna była zaskoczona. Otworzyła usta, by spytać, skąd ona o tym wie, ale zaraz je zamknęła.

– Wszystko masz wypisane na twarzy – stwierdziła dziewczyna.

Trucznię spieszyło to, że nieznajoma tak łatwo ją przejrzała.

Zazwyczaj to, co czuła, pozostawało ukryte nawet dla ludzi, którzy dobrze ją znali.

– Tak będzie najlepiej – stwierdziła. – Dziękuję.

Nieznajoma skinęła głową, bez pożegnania odwróciła się i ruszyła w stronę hurtowni, gdzie czekała na przewóz do Mewy.

Bram, patrząc, jak odchodzi, podrapał się po karku.

– Bardzo dziwna – zauważył.

Truczna, mrużąc oczy przed zachodzącym słońcem, wpatrywała się w dziewczynę.

– Zapomniałam jej podać swoje imię – rzekła nieobecny głosem.

– Jestem pewien, że się go domyślą, kiedy dostaną wiadomość – odparł łowca.

Mieszkanka bagien, wciąż nieobecna duchem, mruknięciem przyznała mu rację.

– Byłaś bardzo cierpliwa, dziewczynko – zauważył Bram, kiedy po zmroku jechali przez miasto.

Teraz na ulicach panowała cisza. Łowca odwiedził już wszystkich klientów. Zostało mu jeszcze kilka puszek, ale się tym nie przejmował. Prędzej czy później znajdzie na nie chętnych. Pod koniec sezonu zawsze wracał jako jeden z pierwszych łowców ogników i zawsze też sprzedawał w końcu cały swój towar.

– Mówiłam ci, żebyś nie nazywał mnie dziewczynką – odpowiedziała. Potarła kark, obolały po całym dniu schylania się w wozie. – Co teraz?

– No, gdy znów zacznie się sezon, zbiorę pojemniki i wrócę na bagna – odparł Bram nieco zrezygnowany głosem.

– Chodzi mi o to, co teraz, właśnie teraz? – wyjaśniła. – Wydaje mi się, że do czegoś cię wynajęłam.

Zaśmiał się serdecznie, aż zadrżały mu wąsy.

– Jakże mógłbym zapomnieć? Najpierw chodźmy coś zjeść. Jestem ci zobowiązany za to, że cały dzień pilnowałaś mi wozu.

– A co z Lampreym? – naciskała Truczna.

– Ach! – puścił do niej oko. – On nie wstanie przed nocą.

– Znasz go? – spytała, łapiąc go za słowo.

Wiem, gdzie on jest. Wierz mi, dziś nie pierwszy raz sprzedawałem bagienne ogniki, mam znajomości. Choć podejrzewam, że jednemu z moich hurtowników jestem teraz winien przysługę za wiadomość. Truczna uśmiechnęła się szeroko.

– Bram, gdybyś mnie nie naciągał, to uściskałabym cię teraz.

– Możesz zmienić zdanie po tym, jak spotkasz Lampreya – lekko się rumieniąc, mruknął łowca. – Kiedy będziemy jedli, dam ci kilka wskazówek, jak po zmroku nie dać się zabić w

Przedmurzu.

Lamprey

Nocą panowała niesamowita cisza.

Truczna nigdy dotąd nie zdawała sobie sprawy, jak głośne były owady na trzęsawiskach. Każdej nocy swego dotychczasowego życia zasypiała przy cykaniu bagiennych świerszczy. Podczas pełni dolatywały też dalekie odgłosy kwarli, przesuających pośród drzew swe włochate cielska przypominające rozgwiazdy. W domu zawsze słyszała chlupot wody, skrzypienie pali podtrzymujących chatę i cichy oddech Azalii w łóżeczku.

W Przedmurzu cisza zdawała się być głośniejsza od wszystkiego, co dziewczyna dotąd słyszała. Skrzyp kół wozu, pomrukiwanie człapiącego grinta, nawet szelest skórzanej kurtki Brama zdawały się ogłuszać. Zamiast odgłosów owadów, niski dźwięk jakichś niedalekich machin, a od czasu do czasu skrzyp drzwi albo niezrozumiały krzyk z ulicy. I to wszystko.

Jechali powoli, uważnie się rozglądając. Wędrujący grupkami ludzie odwracali głowy, aby na nich popatrzeć, mierzyli wóz budzącym niepokój wzrokiem. Łowca i Truczna mijali jasno oświetlone szyldy, które trzeszczały i migotały nad ciemnymi czeluściami bram. Siedzieli na koźle, zasłonięci skózanymi płaszczami, starając się nie zwracać uwagi na kierowane ku nim zewsząd spojrzenia.

– Nie daj po sobie poznać, że się boisz – radził Bram. – Nie unikaj ich wzroku, ale długo się w nich nie wpatruj. Kiedy odwrócisz oczy, i lepiej, żebyś ty pierwsza to zrobiła, bo oni tego nie robią, patrz przed siebie, rozumiesz? Nie w dół, ale przed siebie. Patrzenie w dół to poddanie się, to słabość. Musisz wyglądać tak, jakbyś miała wszelkie prawo tu być, lecz nie rzucaj im wyzwania. Rozumiesz?

Truczna wtedy jeszcze nie rozumiała, ale skinęła głową. A teraz już dobrze wiedziała, o co chodzi. Nie miała odwagi ignorować tych złych oczu ani też odpowiadać spojrzeniem może według innych napastliwym. Przypomniała sobie starą opowieść, którą kiedyś czytał jej Bystry, o księciu z dalekiego kraju, w klatce pełnej głodnych tygrysów. Pamiętała, jak domagała się od starca, aby wciąż na nowo opisywał wspaniałe zwierzęta, ich pasiaste futra i śmiertelnie niebezpieczne piękno. Teraz pomyślała, że już wie, jak musiał się czuć tamten książę.

Ulice jakby ich osaczały, a światła pojawiały się coraz rzadziej. Bram zdawał się wiedzieć, dokąd zmierza, jednak poznała, że jest bardzo spięty, widziała, jak zaciska i rozluźnia rękę na schowanej pod płaszczem pałce. Znaleźli się w dzielnicy biedoty, gdzie budowane bez ładu i składu domy zaczynały już walić się na siebie. Z kanałowych studzienek wydobywała się para, a po rynsztokach biegały szczury. Wóz skrzypiał, grint zdawał się nie zwracać na nic uwagi, ale Truczna dostała gęsiej skórki, jakby przeczuwając niebezpieczeństwo.

– Musiałem być skończonym idiotą, aby najpierw przybyć tutaj... – łowca mruczał do siebie, garbiąc się.

– Wiesz, gdzie jest Lamprey? – spytała dziewczyna.

– Wiem to, co ci mówiłem – odparł Bram. – Dobrze, żebyś miała naprawdę ważny powód, aby się z nim zobaczyć. Będę dziękował swojej szczęśliwej gwiazdce, jeśli wyjedziemy stąd żywi.

– To dlaczego ze mną jesteś? – dopytywała się Truczna, bardziej po to, aby usłyszeć

brzmienie własnego głosu niż z prawdziwej ciekawości.

Skręcili w pełną wybojów uliczkę, wóz terkotał na niej hałaśliwie i trząsał się tak, że aż podskakiwali na koźle.

– Truczno, jestem prostym człowiekiem – rzekł łowca – i myślę, że ty jesteś uczciwą dziewczyną i nadal chcesz korzystać z moich usług. Srebrny suweren to tyle, ile zarabiam w ciągu roku. Rozumiesz?

Truczna rozumiała. Rok pracy. W kieszeni miała niewielką monetę, która warta była dla tego człowieka rok pracy. Gdy pomyślała, ile takich monet dał jej Bystry, przeszył ją dreszcz. Albo Bram był bardzo biedny, albo jej przyjaciel bardzo bogaty.

– Teraz dwa srebrne suwereny – ciągnął spokojnym, cichym głosem. – Dwa srebrne suwereny i pieniądze, które zarobiłem dzisiaj... to bardzo dużo dla kogoś takiego jak ja. Może będę mógł kupić za to dom. Może farmę. Sprzedać ten stary wóz i tego tępego grinta i dać sobie z tym wszystkim spokój, póki nie jest jeszcze za późno. Bagna nie są dobrym miejscem dla ludzi, a ja się starzeję. Wracam tam co roku, igrzm z bagienną gorączką, czarnym gnilcem albo z innym chorobstwem, jakie można tam złapać. Co roku jest mi ciężiej.

Popatrzył na Trucznię, pod rondem kapelusza zalśniły rozmarzone oczy.

– Moje miejsce na ziemi jest w górach, gdzie rosną trawy i gdzie do najbliższych ludzi bardzo daleko. Dla czegoś takiego warto ryzykować.

Truczna usłyszała w jego głosie tęsknotę. Znała się na ludziach, a zresztą Bram i tak serce miał na dłoni. Zrozumiała prawdziwą wagę tego, co ich ze sobą łączyło. Cały czas przecież wiedział, że ona ma w plecaku tyle monet, aby uczynić go bogaczem, tyle, by resztę życia mógł spędzić wśród wygód i luksusu. W każdej chwili mógł je po prostu zabrać. Nie miała szans w starciu z tak dużym mężczyzną. Ale on uważał, że na pieniądze trzeba zapracować, i oto znalazł się tutaj, wśród najciemniejszych uliczek Przedmurza, bo zawarł z nią taki układ. Nawet najlepsza z okazji nie uczyniła go złodziejem.

Jednak człowiek, który się na nich rzucił, na pewno nim był.

Krzyknęła zaskoczona, ale napastnik okazał się szybki. Nie dostrzegła go, gdy wyslizgnął się z mroków poprzecznej uliczki i skradął obok kół wozu. Jednym płynnym susem skoczył na ławkę po jej stronie. Nim zdołała zareagować, poczuła na gardle chłodny dotyk stalowego ostrza.

– Zostaw ją! – zagrzmiął Bram, ciągnąc wodze grinta i sięgając po pałkę. Zwierzę zwolniło, potem się zatrzymało.

– Ach! Ach! – zawołał rabuś, mocniej przyciskając nóż, tak że Truczna musiała odchylić głowę. – Nie robiłbym tego na twoim miejscu. Bo wytnę jej drugie usta!

Przeżrana dziewczyna szeroko otworzyła fioletowe oczy, serce waliło jej młotem. Czuła się jak sparaliżowana na ciele i umyśle, owładnęła nią panika. Przez kilka sekund, długich jak minuty, oddychała z drżeniem, próbując odsunąć się od noża, który bezlitośnie parł na skórę.

Po stronie Brama na kozioł wgramolił się drugi mężczyzna i przyłożył mu ostrze do boku.

– Teraz bądź grzeczny – nakazał. – Chyba nie chcesz, żeby twojej dziewczynce coś się stało.

– Weźcie wóz – powiedział Bram, równie przeżony jak Truczna. – Weźcie wóz i grinta. Nie róbcie nam krzywdy. Po prostu to weźcie.

Pierwszy z bandytów schylił się nad dziewczyną, by zajrzeć pod plandekę. Na twarzy poczuła jego cuchnący oddech. Prawie nic nie znalazł, tylko kilka nie sprzedanych jeszcze pojemników z ognikami, ich bagaże oraz zapasy. Oczywiście w plecaku Truczny były jej pieniądze. Ale teraz nawet o tym nie myślała.

Pamiętała tylko baśń o księciu i tygrysach, i twarz opowiadającego ją Bystrego skapaną w blasku ognia.

– Co my zrobimy z wozem i grintem? – zaszydził złodziej. – Może coś jest w bagażach. Może nie podetniemy wam gardel, jeśli znajdziemy tam coś cennego.

– Tak! Tak! Nie róbcie nam krzywdy – szybko powiedział Bram.

– Zaraz się dowiemy, komu tu się stanie krzywda – syknął rabuś.

– Tobie się stanie – odezwała się Truczna, a gdy tylko głos wydobył się jej z ust, pożałowała tego i zamilkła. Lecz było już za późno. Złodziej zwrócił na nią uwagę.

– Co mi się stanie? – warknął.

Postanowiła mówić dalej. Wycofując się, okazałyby słabość, a na to nie mogła sobie pozwolić.

– To wam stanie się krzywda.

– Naprawdę? – szyderczo uśmiechnął się typek, przysuwając się bliżej. – A kto nas skrzywdzi? Ty?

Wiedziała już, co robić, i zrobiła to.

– Lamprey – odparła.

Rabuś nie zdołał ukryć błysku strachu, który mignął mu w oczach, a Truczna nie przegapiła również tego, iż na chwilkę ucisk noża zelżał.

– Nigdy o nim nie słyszałem – powiedział.

– Kłamiesz – odrzekła dziewczyna z tak wielkim przekonaniem, na jakie tylko było ją stać. – Tutaj każdy o nim słyszał.

Złodziej odsunął się, w jego wzroku dostrzegła pełną szaleństwa groźbę. Gdzieś w środku cała dygotała, jednak zmusiła się, by spokojnie patrzeć na mężczyznę. To, co właśnie czyniła, czyniła wbrew temu, co podpowiadał jej instynkt; jeśli się myliła, prawdopodobnie podpisała na siebie wyrok śmierci. Ale teraz rezygnacja z podstępu znaczyłaby, że zarówno ona, jak i Bram nie dożyją świtu. Bystry mówił, że niewiele wie o Lampreyu – ten człowiek, znany mu tylko z imienia, będzie wszakże wiedział, którędy Truczna winna iść, aby dotrzeć do pałacu Pana Faerie. Ostrzegł ją jednak, by zachowywała się bardzo, bardzo ostrożnie. To, co słyszał o Lampreyu, wystarczyło, by się o nią martwić. Zakładała więc, że sława Lampreya będzie jeszcze większa tutaj, nieopodal jego domu.

Rabuś spoglądał na nią przez chwilę długą niczym wieki całe. Widziała, jak na jego skroni pulsuje żyła. Czyżby, nazywając go kłamcą, posunęła się za daleko?

– Mów szybko, mała jędo – powiedział. – Zanim wydlubię ci te ślipia.

Bram patrzył na dziewczynę, a na jego twarzy niedowierzanie mieszało się ze zgrozą. Czują, jak włosy stają jej dęba, jednak zmusiła się, by mówić sucho i spokojnie.

– To jest Bram, najlepszy łowca ogników w Krainach. Tam, w tych pojemnikach, są jego najwspanialsze ogniki. Lamprey chce kupić kilka do swoich latarni i zobowiązał mnie, bym znalazła te najlepsze.

– Zobowiązał cię – zakpił złodziej. – A kim ty jesteś?

Truczna zebrała się w sobie.

– Jego krewną.

Bandyta nie roześmiał się, tak jak oczekiwała. Wręcz przeciwnie, wyglądał na zbitego z tropu. Spojrzał na swego kompana, który ledwie dostrzegalnie wzruszył ramionami.

– Lamprey nie ma krewnych – powiedział, jednak tonem dalekim od przekonania.

Truczna zdobyła przewagę.

– A ty, oczywiście, doskonale o tym wiesz, co? Jesteś jego bliskim kumplem? Jesteś tylko kolejnym śmierdzącym złodziejem, niewartym tego, by mój wuj na ciebie spojrział.

Oczy napastnika załśniły, warknął, odsłaniając poczerwiałe zęby.

– Uważaj, co mówisz – burknął, jednak zdjął nóż z jej gardła.

– Jeśli mój wuj szybko nie dostanie tych ogników, zapewniam cię, że będzie bardzo, bardzo zły – dodała dziewczyna spokojnym głosem, choć w środku wszystko przewracało się w niej ze strachu. – Na pewno opowiem mu o was.

Bandyta zamruczał coś pod nosem i sięgnął po jeden z metalowych pojemników leżących z tyłu wozu.

– Tutaj one są? – spytał. – Ogniki? Dobra, popatrzmy. Zobaczmy, czy mówisz prawdę. Odkręcił puszkę, ale zrobił to zbyt gwałtownie. Zamiast tylko uchylić wieko, zdjął całe. Ognik natychmiast wyskoczył. Migocząca iskra z błękitu i purpury pomknęła w niebo i znikła nad dachami, zapewne wracając na Czarne Bagna.

Bandyta przez chwilę przypominał chłopca, który właśnie stłukł ulubiony talerz swojego ojca.

– Jesteś zadowolony? – zaatakowała go Trucizna. – Najlepiej otwórz je wszystkie. Lampreyowi zapłacisz za nie swoją skórą.

– Zamknij się, jędzo – ostrzegł złodziej, ale jego głos zdradzał niepewność. – Pewnego dnia cię zabiję.

Powiedziawszy to, ruszył ku swemu towarzyszowi, obaj zeskoczyli z wozu i znikli w ciemnościach.

Bram westchnął potężnie, wypuszczając powietrze, które dobrych kilka chwil trzymał w płucach. Zerknął przez ramię, potem na Truciznę, następnie potrząsnął głową i szarpnął lejce. Grint, który cały czas stał spokojnie, znów ruszył przed siebie.

– To było głupie ryzyko – powiedział rozeźlony łowca.

Dziewczyna zaczesła za ucho swe długie czarne włosy i pomacała gardło, na którym pozostał ślad noża.

– Godziłeś się, by zabrali wszystkie twoje pieniądze. I wszystkie moje. Jak to się ma do twoich marzeń o ryzyku, które warto podjąć?

Bram skrzywił się, zgarbił swe szerokie ramiona.

– Co właściwie cię opętało, żeby próbować czegoś takiego? – spytał.

– Książę i tygrysy – odparła. – Stara bajka, którą Bystry opowiedział mi w Mewie. Książę musiał przejść przez miejsce pełne głodnych tygrysów. Zrobił to, udając tygrysa większego od pozostałych.

Bram parsknął.

– To tylko bajka. Mogłaś zostać tygrysim żarciem.

Trucizna wzruszyła ramionami.

– Bajka czy nie, morał jest jeden. Ludzie nie wiedzą, jak się zachować, gdy ty nie robisz tego, czego po tobie oczekują. Nieważne, kim jesteś, ważne, na kogo wyglądasz.

Wyraz twarzy łowcy mówił wszystko o tym, co sądzi na ów temat.

– Dobra, wiemy przynajmniej jedno o Lampreyu. Ludzie się go boją. Zatem my też powinniśmy.

Spotkanie z bandytami jakby wyłamało ulicom kły i pod dom Lampreya dotarli już więcej nie niepokojeni. Ujrzeni skromne drzwi pośrodku słabo oświetlonego rzędu kamienic, chyłących się pod wielkimi nadprożami i przytłoczonych masą balkonów. Bram rozpoznał wejście po widniejącym na nim znaku, dwóch okręgach połączonymi prostą linią. Wyglądało na to, iż poza nimi na ulicy nie było nikogo. Zdawała się wręcz niesamowicie pusta.

– Lepiej zostań na wozie – poleciła Trucizna, unosząc plecak. – Nie możemy tak po prostu go zostawić.

– Nie możesz iść tam sama – zaprotestował łowca.

– A ty nie możesz sobie pozwolić na utratę wozu i grinta – odparła. – Wątpię, by ktoś tu

cię zaczepił, tak blisko Lampreya. – Bram wciąż nie wyglądał na przekonanego, więc dodała: – Już zarobiłeś drugiego suwerena. Nie musisz nic robić. – A potem uśmiechnęła się do niego słabo. – Choć będę wdzięczna, jeśli zabierzesz mnie stąd, gdy będzie już po wszystkim.

Zeszła z wozu. Poczowała na ramieniu jego mocną, odzianą w rękawicę dłoń.

– Uważaj na siebie – powiedział.

Położyła rękę na jego ręce, w niemym podziękowaniu, a potem ruszyła ku drzwiom Lampreya. Zapukała.

Były otwarte, już siła pierwszego stuknięcia wystarczyła, by je lekko uchylić. Trucizna obejrzała się za siebie, na Bramę, który spoglądał na nią spod runda kapelusza. Potem pchnęła drzwi i zajrzała do środka.

Zobaczyła długie drewniane schodki prowadzące na dół. Delikatne światło latarni ukazywało malowidła na ścianach. Przedstawiały rafy koralowe, ryby, sztormowe krajobrazy.

– Jest tam kto?! – zawołała nieśmiało, jednak nikt nie odpowiedział. Na końcu schodów dostrzegła zasłonę z koralików i szklanych paciorków.

Skoro zaszła już tak daleko, nie mogła zawrócić. Wślizgnęła się więc do środka, zamknęła za sobą drzwi i ostrożnie ruszyła schodami. W połowie drogi znów zawołała, ale raz jeszcze odpowiedziała jej cisza. Nie wiedząc za bardzo, co innego powinna zrobić, odsunęła zasłonę i spojrzała na to, co było za nią.

Ku swemu zaskoczeniu zobaczyła pokój urządony z zadziwiającym przepychem, czerwono-purpurowo-złoty. Wysoko na gładkich ścianach wisiały oprawione w ramy wypchane morskie stworzenia. Ośmiornice, rekiny oraz inne istoty, zbyt obce, by Trucizna знаła je z opisów Bystrego. Dostrzegła też wielki, bulwiasty piecyk o barwie mosiądzu – wewnątrz migotał ogień – przed nim zaś zdobny fotel, odwrócony do niej tyłem.

– Ach – usłyszała głos, cichy niczym szept, a jednak zdający się tak hałaśliwy, jakby ktoś krzyknął jej prosto do ucha. – Trucizna.

Dziewczyna aż podskoczyła, szybko omiotła izbę wzrokiem. Dostrzegła nieznaczny ruch i wystający zza oparcia fotela łokieć okryty purpurową szatą.

Już miała spytać, skąd zna jej imię, ale wiedziała z bajek, że na takie pytania zwykle padają mętne i zagadkowe odpowiedzi. Postanowiła więc zachować się w mniej przewidywalny sposób.

– Lamprey – powiedziała wprost. – Wiesz, kim jestem, przypuszczam zatem, że wiesz też, po co przyszedłam.

– Oczywiście. Siadaj.

Trucizna zobaczyła drugi fotel obok tego, na którym siedział Lamprey. Zastanawiała się, jak to się stało, że nie ujrzała go wcześniej.

Podeszła bliżej. Miała wrażenie, że oczy wypchanych stworzeń z niepokojem śledzą jej ruchy. Czowała, iż coś jest tutaj nie w porządku, coś bardzo nie w porządku. Zatrzymała się kilka kroków za Lampreym. Zakrywało go oparcie fotela.

– Wolę stać – powiedziała.

Lamprey wydał z siebie dźwięk – ni to śmiech, ni wściekłość, kocie syknięcie.

– Nalegam – szepnęła.

Podeszła do fotela, spoglądając ku ośmiornicy na ścianie nad piecykiem. Mogłaby przysiąc, że stwór podążył za nią swoim szklanym wzrokiem...

Poczowała ciarki na karku.

– Mam pytanie – rzekła, gdy położyła dłoń na swoim fotelu i przeszła obok niego.

Szerokie skrzydła fotela, na którym siedział Lamprey, nadal go zasłaniały. Teraz widziała już nie tylko łokieć, ale i rękę mężczyzny. Zatrzymała się. Dłoń miał bladą, wyglądała, jakby pokrywał

ją ślady ukąszeń setek małych rybek. Paznokcie były szerniałe i połamane.

– Zbliź się.

Truczna wstrzymała oddech. Nagle zaczęła się okropnie bać tego, co zobaczy, kiedy Lamprey zwróci ku niej twarz. Spojrzała na piecyk, na ogień buzujący za kratą. Przynajmniej on istniał naprawdę, był czymś, w co mogła uwierzyć. Zatopiła w nim spojrzenie i wślizgnęła się na fotel.

– Dziecko, nie chcesz na mnie spojrzeć – wyszeptał głos po jej lewej stronie.

Nie mogła się powstrzymać, zerknęła na tę rękę, dłoń topielca, szybko jednak znowu wlepiła wzrok w płomienie.

– Ja... – zaczęła, czując, że powinna coś powiedzieć, chociaż nie potrafiła wymyślić co. Wreszcie wydusiła z siebie jedyne słowa, które przychodziły jej do głowy: – Boję się ciebie.

– Bardzo mądrze. Bo powinnaś – stwierdził cichy szept. – Oni nie boją się mnie wystarczająco.

– Kto? – spytała Truczna. Już zwracała ku niemu twarz, ale w ostatniej chwili zapanowała nad odruchem.

– Oni – powtórzył, nieznacznie ruszając dłonią.

Spojrzała tam, gdzie wskazywał. Ośmiornica ze ściany. Patrzyła na nią. Dziewczyna poczuła mocny ucisk w dołku. Rekin, foka, płaszczka, inne stwory, których nie potrafiła nazwać... Wszystkie na nią patrzyły. To nie było złudzenie.

– Co im się stało? – zapytała cichutko.

– Nie znali odpowiedzi na zagadkę.

Nagie poczuła się tak, jakby to wszystko nie działo się naprawdę. Czy on rzeczywiście powiedział to, co usłyszała?

– Zagadkę?

Lamprey przytaknął, jego szata zaszeleściła.

– Jeśli źle odpowiesz, dołączysz do tych na ścianie. A jeśli rozwiążesz zagadkę...

– To ty odpowiesz na moje pytanie – dokończyła.

Te słowa brzmiały jak ze snu. Czy naprawdę mogło przytrafić jej się coś takiego? Ileż to razy czytała o tym w klechdach Bystrego. W każdej baśni bohatera wyprawa docierała do miejsca, gdzie zadaje się zagadki – na które trzeba odpowiedzieć, by strażnik pozwolił przejść dalej albo też pokonany został wróg, którego nie ima się żadna broń. Ale to przecież były baśnie! Zmyślenia, sztance, rzeczy tak dalekie od prawdziwego życia jak zły król albo szczęśliwe zakończenie.

– Dlaczego? – zapytała.

– Dlaczego? – powtórzył Lamprey. – Dziecko, nie ty jesteś tu tym, kto mówi „dlaczego”.

Skrzywiła się, jeszcze uporczywiej wpatrując się w ogień.

– Chcę tylko zrozumieć – powiedziała. – Dlaczego zadasz mi pytanie? Jeśli chcesz mi pomóc, to mi pomóż. Jestem pewna, że już wiesz, czego pragnę się dowiedzieć. Jeśli chcesz, żebym zawisała na twojej ścianie, to wątpię, bym zdołała cię powstrzymać. Mam pieniądze, czy zamiast tego mogę zapłacić? Wtedy oboje odniesiemy jakąś korzyść. Co będziesz miał z odpowiedzi na zagadkę?

Lamprey milczał przez chwilę. Kiedy przemówił, zdawał się już mniej pewny siebie.

– Chcesz poznać moją zagadkę czy nie? Możesz teraz odejść, jeśli masz ochotę, ale gdy pytanie zostanie zadane, nie będzie już odwrotu.

Truczna usłyszała w jego głosie nutkę złości, ale to była jego gra, a ona w nią grała.

– Zawsze byłam dobra w zagadkach – odparła.

– Zobaczymy – stwierdził Lamprey i ciągnął dalej:

Panem jest on morza i falami włada

Ślizga się po wodzie, wznosi, lecz nie spada.

– Księżyc – natychmiast odpowiedziała Truczizna – To było łatwe.

– Nie lekceważ mnie! – zawył Lamprey, a jego zimna, martwa dłoń zacisnęła się na jej nadgarstku i pociągnęła tak, że dziewczyna spojrzała mu w twarz. Krzyknęła, widząc zamiast oczu dwie gnijące jamy. Skórę miał białą niczym kość, suchą i przylegającą do czaszki, szczękę krzywą, jakby złamaną. Jego nos był tylko kawałkiem chrząstki z kilkoma poszarpanymi pasmami mięśni przyczepionymi do policzków i luków brwiowych, z tyłu głowy wisiały zmierzwiłone brudne włosy. Próbowła się od niego odsunąć, lecz trzymał ją w żelaznym uścisku. Czują stęchły, zgniły zapach, odór tak mocny, że zebrało jej się na wymioty. – Patrz na mnie – syknął, ale Truczizna nie mogła patrzeć. – Kiedyś byłem taki jak ty. Młody, arogancki... Myślałem, że wiem, jaki jest świat. Truczizno, czytam w twoich myślach, widzę, że sądzisz, iż jesteś bardzo sprytna. Ja też tak o sobie myślałem. Myślałem, że jestem tak mądry, że zdołam przechytrzyć rusalkę kelpie. Truczizno, wiesz, jak złapać kelpie?

Truczizna łkała z przerażenia, ale zdołała odpowiedzieć:

– Zagadki...

– Tak, zagadki. Możesz zwabić ją zagadkami. Myślałem, że popłynę jej rzeką i gdy zbliży się do mnie, będę zwodził ją zagadkami tak długo, aż wyjdzie na brzeg, a potem ona zostanie moją żoną i będzie mi posłuszna, aż po kres swoich dni. Czy to nie byłoby wspaniałe?

– Utopiła ciebie...

– Zadałem złą zagadkę – w głosie Lampreya cicho zabrzmiała nienawiść. – We wszystkich opowieściach, we wszystkich baśniach nic o tym nie było! Była taka piękna, taka piękna... ale musiałem pamiętać tyle zagadek i ona odpowiadała na nie tak szybko, i zapomniałem o jednej linijce...

Puścił dziewczynę. Odsunęła dłoń i przycisnęła do siebie. Pochylił głowę w geście rozpaczy, kaptur opadł mu na twarz.

– Wtedy przybrała straszliwy wygląd, swoją prawdziwą postać, zębatą i szponiastą. Niech będą przekłete wszystkie faerie! Tak, utopiła mnie, ale to jeszcze nie był koniec. To była rzeka faerie i śmierć w niej nie była ostateczna. Uciekłem po wielu długich tygodniach, kiedy przyszedł kolejny biedny głupek, co chciał próbować szczęścia. Tak oto przybyłem tutaj, tutaj już zostałem i zadaję swoje zagadki. Rzeka faerie robi z tobą różne rzeczy, rozumiesz, dziecko? Myślałem, że wiem już wszystko, lecz tak jak ty nie wiedziałem nic.

Truczizna drżała, ale Lamprey wyglądał teraz tak, jakby się skurczył. Już się go nie bała. Rozpaczliwie pragnęła stąd wyjść, jednak zostało coś jeszcze.

– Odpowiedziałam na twoją zagadkę. Musisz odpowiedzieć na moje pytanie.

– Lamprey jakby usychał i zapadał w sobie, stawał się mały i kruchy. Przez trzy dni podążaj traktem, aż zobaczysz wielką wieżę na wzgórzu. Stamtąd idź przez dzień na zachód, a znajdziesz przejście.

– Przejście? – zapytała Truczizna.

– Krainy stykają się ze sobą w wielu miejscach. W tych miejscach, w sprzyjających okolicznościach można prześlizgnąć się z jednej do drugiej.

– I takim przejściem dostanę się do Krainy Faerie?

– To zależy – odparł ze złowieszczym chichotem – od tego, czy złapie cię ta, co w nim mieszka.

Dom Kościanej Wiedźmy

Masz – powiedziała Truczna, podnosząc monety. – Dwa srebrne suwereny za dotychczasową pomoc i trzeci za to, że przyprowadziłeś mnie tutaj z Przedmurza. Zapracowałeś na nie.

Bram pozwolił wcisnąć sobie pieniądze w dłoń. Nad ramieniem Truczny niespokojnie spoglądał na rudę stojącą na szczycie wzgórza. W jasnym blasku chłodnego popołudnia wyglądała niczym strup na okolicznym krajobrazie.

Dziewczyna zacisnęła mu palce na monetach i obejrzała się za siebie, podążając za jego spojrzeniem. Ku domowi. Lekki wietrzyk zmierzwił jej czarne włosy.

– Jak zgaduję, nie uda mi się skusić cię czwartym suwerenem? – zapytała na wpół żartem.

– Nawet wszystkie pieniądze Krain nie kuszą mnie, by tam wejść – odparł, wrzucając monety do trzosa przy pasie. Poklepał grinta po głowie, myślami najwyraźniej był już daleko. Poprawił swój szerokoskrzydły kapelusz i skrzywił się. – Namawiałbym cię, żebyś zmieniła zdanie, ale za dobrze cię znam.

Truczna zrobiła przeproszącą minę.

– Chociaż wyjaśnij mi, dlaczego – powiedział. – Jeśli nie mielibyśmy się już nigdy spotkać, wytłumacz, dlaczego.

– Faerie ukradły mi siostrę – odparła. – Chcę ją odebrać.

– Aha.

Wiedziała, że Bram mówi tak, kiedy wszystko rozumie.

Przez jakiś czas milczeli, spoglądając na dom. Był wielką, prawie zapadającą się pod swym ciężarem zbieraniną nierównych iglic, balkonów, brudnych okien i poczerńniętych dachów. Wyglądał przytłaczająco, zdawał się rosnać i poszerzać ku górze. Nawet w świetle dnia miało się wrażenie, iż ten dom czeka, głodny i cierpliwy, aż wejdzie do niego następna ofiara. Otaczał go krzywy, byle jak zbity płot majaczący czernią na tle błękitnego nieba. Nawet z daleka nie wyglądał na drewniany, jednak Truczna nie potrafiła rozpoznać materiału. Zatem miała oto przed sobą przejście, most między Krainą Człowieka a Krainą Faerie.

A w środku czekała na nią Maeb, Kościana Wiedźma.

Przypomniała sobie słowa Lampreya:

– Maeb jest strażniczką wrót. Jest ślepa i głucha, ale nie da się oszukać. Może cię wywahać. I ma dwa psy, które, gdy cię dostaną, rozerwą na strzępy. Bądź ostrożna, dziecko. Ona zawsze czeka na obcych. Chce twoich kości.

– Co mam robić? – spytała wtedy.

– Musisz wejść do domu, kiedy księżyc będzie w pełni, i wyjść po północy, gdy znów zapadnie mrok – wyszeptał Lamprey. – W ten sposób trafisz do Krainy Faerie. Wszystko, co masz zrobić, to przeżyć aż do tego czasu. Ale nie próbuj wychodzić z domu wcześniej. Są... pewne istoty, które żyją w przestrzeni między Krainami. Nie chciałybyś się z nimi spotkać. – Wykrzywił gnijące wargi w grymasie niby uśmiechu. – Kiedy na niebie świeci słońce, nie musisz przejmować się Maeb. Ale psy nigdy nie śpią. Zawsze czuwają.

Próbowała wydobyć jeszcze jakieś szczegóły, jednak Lamprey nie chciał już niczego powiedzieć. Zrezygnowała więc, nie chciała już dłużej przebywać w pobliżu tego żywego trupa.

Gdy wróciła do Brama, zaproponowała mu trzeciego srebrnego suwerena za odprowadzenie do przejścia. Tam mieli się pożegnać. Chciała wejść do Krainy Faerie, łowca nie mógł dalej z nią iść.

A gdy przyszedł już na to czas, poczuła dziwny smutek na myśl, że może już nigdy więcej nie zobaczyć tego marudnego, starego człowieka. Kiedy wspólnie podróżowali, jakoś się do niego przywiązała, nawet bardziej niż do Bystrego. Razem z nim przeżyła swą pierwszą przygodę, był z nią również teraz, kiedy wyprawiała się do świata znanego jej tylko z baśni. I choć za wszystko mu zapłaciła, czuła, że ostatnie dwie monety przyjął tylko dlatego, iż wiedział, że ona nie zgodzi się, aby pomagał jej z czystej dobroci. Nie chciał zostawić jej na łasce i niełasce Przedmurza, zatem doprowadził do układu, który mogła przyjąć, nie wystawiając na szwank swej dumy. Była pewna, że gdyby poprosiła, zabrałby ją tutaj, nie żądając zapłaty; jednak znów dała mu suwerena, żeby utwierdzić się we własnym poczuciu niezależności. W jakiś dziwny sposób stał się jej przyjacielem i wiedziała, że będzie za nim tęsknić.

– Dobra – oświadczyła, zerkając na słońce chylące się ku horyzontowi. – Chyba muszę iść.

Na zachodzie wzeszedł już księżyc, doskonale kolisty, niczym duch wisząc na błękitnym niebie. Bram zdjął z wozu plecak Truczny i podał jej. Jego twarz przybrała dziwny wyraz, coś między żalem a złością. Wiedziała, jak bardzo nienawidził faerie, uważał też, że ona idzie na pewną śmierć. Myślał, że mógłby ją obronić, ze smutkiem patrzył więc, jak odchodzi. Wzięła plecak, założyła go, a potem uściskała łowcę. Jej drobna postać znikła w potężnych ramionach. Przez chwilę pomyślała, jak by to było zostać tutaj, cieszyć się życiem i nie iść na spotkanie z grozą. Nie istniała jednak inna droga.

– Wrócę i cię odnajdę – obiecała.

– Truczno, nie składaj obietnic, których nie będziesz mogła dotrzymać – odparł swym dudniącym głosem. – Idziesz do Krainy Faerie. Czas nie płynie tam tak jak tutaj. Możesz wrócić jutro albo za sto lat.

Nie wspominał o trzeciej możliwości: albo nie wrócisz nigdy.

– W takim razie obiecuję, że chociaż spróbuję – powiedziała. – Będę szukała starego człowieka, który ma farmę na trawiastym zboczu góry i żyje tylko dla siebie.

Bram zaśmiał się gorzko.

– Podoba mi się.

Puścił ją, a ona cofnęła się o krok. Spojrzał na nią z czułością.

– Truczno, dałaś mi drugą szansę. Nie zapomnę ci tego.

– Zobaczysz, że zapomnisz – odparła, mrugając okiem, by pokazać, że żartuje. Spojrzała na dom, a potem znów na niego. – Zatem żegnaj, Bramie z Płótne.

– Żegnaj, Truczno z Mewy. Powodzenia. Chyba rozbiję się tutaj na noc i wyruszę dopiero o poranku. – Podrapał się po karku i chrząknął zakłopotany: – Na wypadek gdybyś jednak zmieniła zdanie.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Bramie – powiedziała i ruszyła po zboczu wzgórze ku domowi. – Zaslugujesz na żonę!

Łowca stał przy wozie i patrzył na nią, ale ona się nie obejrzała. Nie mogła, bo wtedy na pewno by zawróciła.

Tak jak można się było spodziewać, płot zbudowano z kości. Bardziej jednak szokowały jego proporcje. Dom już z daleka wyglądał jakoś dziwnie, z bliska wrażenie to jeszcze się potęgowało. Gdy patrzyło się z dołu wzgórze, płot zdawał się sięgać do bioder, kończył się bowiem na poziomie najniższych okien. Ale teraz, gdy Truczna stała tuż przy nim, sięgał jej do głowy. Mogła jednak bez trudu przemknąć się na rozciągający się za nim zdziczały trawnik,

gęsto porośnięty ostem i chwastami.

Nawet rośliny były tu ogromne, o kolcach tak wielkich, by móc przekłuć żyłę, a liściach długich jak ramię dziewczyny. Wszystko, co rosło za płotem, było co najmniej dwa razy większe niż przed nim.

Przypomniała sobie, że ten dom znajduje się przecież w połowie w Krainie Faerie i w połowie w Krainie Człowieka. Na takich poganiczach wszystko jest możliwe.

Budynek złowrogo piętrzył się nad Trucizną, która przedzierała się przez gęstwą chwastów. Szła w stronę jego boku, nie do frontowej ściany. Jeśli chciała pozostać niezauważona, to raczej nie powinna pukać do drzwi. Ostrożnie podkradła się do jednego z ciemnych okien, przytrzymała parapetu i podciągnęła się, chcąc zerknąć do środka.

Wewnątrz było ciemno, brak światła i brudne szkło sprawiły, iż prawie niczego nie dostrzegła. Zobaczyła tylko jakieś niewyraźne kształty. Żadnego ruchu. Gdyby nie wiedziała, czego się spodziewać, mogłaby pomyśleć, że w domu nikogo nie ma.

Skoczyła z powrotem między chwasty i ruszyła naokoło budynku. Dłonie miała zziębnięte i spocone ze zdenerwowania. Wytarła je o swą zgrzebną sukienkę. Wszystkie okna były zamknięte naглуcho, żeby je otworzyć, musiałaby je wybić. Tego zaś nie powinna robić, chyba że nie miałaby innego wyjścia. Na pewno istniał jakiś sposób, żeby wkraść się do tego domu.

I rzeczywiście istniał, a ona dosłownie nań wpadła.

Na tyłach domu znalazła zsuwnię na węgiel, ukrytą za gęstymi kępami trawy. Zasiała ją deski, zniszczone deszczem i nadgryzione przez robaki. Weszła na nie, zanim je spostrzegła, a drewno od razu pękło. Skuteczne ostrzeżenie, lepsze nawet niż darń pod stopami, więc w porę zdołała złapać równowagę. Do szybu wpadła jej tylko noga.

Trucizna kucnęła na krawędzi prostokątnego otworu, masując stłuczoną kostkę i zerkając w ciemność. Zsuwnia biegła ukosem, była na tyle szeroka, by dało się nią czołgać. Nim jednak dziewczyna zdecydowała się skorzystać z tej drogi, okrążyła naokoło dom. Tak jak podejrzewała, nie spostrzegła wejścia innego niż frontowe drzwi i okna. Wspinać się nie mogła. Po prostu budynek był na to za duży. Wróciła do zsypu, popatrzyła na zachodzące słońce i zebrała się w sobie. Przecież księżyc wisiał już na niebie, co znaczyło, że może wejść do domu. Nim zapadnie noc, obawiać musi się tylko psów. Jeśli u Kościanej Wiedźmy wszystko było dwa razy większe, to wołała ich nie spotkać.

Odepchnęła deski i nachyliła się nad krawędzią zsypu. Owionął ją powiew zimnego powietrza pachnącego stęchlizną. Chwyciła plecak, który wcześniej położyła obok siebie na ziemi, i wsunęła go do szybu. Zaczął się ześlizgiwać z coraz głośniejszym szmerem, aż wreszcie połknęła go ciemność. Trucizna odwróciła się, zaparła nogami o boki zsuwni i zaczęła pełznąć w dół. Najpierw stopy, potem reszta ciała. Sukienka owinęła jej się wokół kolan.

Samo schodzenie nie było trudne. Zsyp okazał się akurat na tyle szeroki, by zmieściła w nim ramiona i nogi, a nachylony pod takim kątem, że gdyby się poślizgnęła, nie spadłaby na złamanie karku. Bardzo się jednak bała i tylko dlatego, że nie zastanawiała się, co może napotkać tam, dokąd zmierza, potrafiła zmusić się jakoś do parcia naprzód. W zsuwni panowała zupełna ciemność, jedynie prostokąt nieba majaczący nad głową mówił dziewczynie, że nie oślepla. Powoli schodziła na dół. Miała wrażenie, jakby czołgała się gardłem domu, wprost do jego zimnych trzewi. Uwolniona wyobraźnia mieszkanki bagien zaczęła tworzyć obrazy Kościanej Wiedźmy i jej psów, czających się gdzieś na dnie zsuwni, jędy ostrzącej noże w oczekiwaniu na kąsek, który właśnie pchał jej się w łapy.

Nagle stopy Trucizny dotknęły nierównej powierzchni. Uświadomiła sobie, że to jej plecak. Zakłęła pod nosem. Czyżby zsyp był zamurowany? Z pewnością nie dotarła jeszcze do

komórki na węgiel. Pomacała nogą w pobliżu plecaka i przycisnęła nią blokującą go przeszkodę. Ta zaskrzypiała. Drewno. Nie zbutwiałe, ale za to cienkie.

Mam nadzieję, że ona naprawdę jest głucha, pomyślała dziewczyna i mocno tupnęła. Deski złamały się z przyprawiającym o dreszcze hałasem. Teraz spostrzegła słabe światło, dochodziło z dołu. Wiedziała, że tam jest piwnica. Czekala w ciszy, nasłuchując. Serce waliło jej jak młotem. Ale jeśli zaalarmowała psy, to jednak siedziały gdzieś cicho. Wyłamała jeszcze dwie listwy i powstałym tak otworem przepchnęła plecak, a potem prześlizgnęła się sama. Cały czas nasłuchiwała z uwagą, jednak w domu panowała niemalże straszliwa cisza. Żadnego hałasu, nawet skrzypnięcia.

Jeśli w tej piwnicy stał jakiś pojemnik na węgiel, to dawno go już stąd zabrano. Dziewczyna upadła wprost na kamienne płyty. I znowu przytłoczył ją ogrom tego miejsca. Czuła się jak karzełek, nawet cegły w ścianach zdawały się olbrzymie. Z wąskich otworów przy suficie, zasłoniętych ciemnym szkłem, dochodziło przyćmione światło. W pomieszczeniu panował chłód, walały się w nim wory węgla i czegoś, co mogło być ziarnem albo płatkami owsianymi, sądząc z osiadłego na nich pyłu. Wysoko majaczyły ciemne drzwi, do których wiodły kamienne schody.

Dziewczyna przez kilka chwil stała spokojnie, wciąż nasłuchując. Teraz była już wewnątrz budynku. Cokolwiek się stanie, będzie tu również po zapadnięciu zmroku. Do wieczora miała jeszcze kilka godzin, mogła się rozmyślić i wyjść. Jednak kiedy zajdzie słońce, ucieczka stanie się niemożliwa. Pamiętała ostrzeżenie Lampreya przed stworami, żyjącymi między Krainami, i zastanawiała się, czy są gorsze od Kościanej Wiedźmy. Pomyślała też o Bramie czekającym na zewnątrz.

Coś w niej radziło, by zostać w piwnicy, po prostu zaszyć się gdzieś w kącie i czekać odpowiedniej chwili, a potem uciec zsysem. Jednak tutaj, na dole, było niewiele kryjówek, ledwie kilka stosów worków, a Trucizna nie chciała wpędzić się w pułapkę. Jeśli ją tutaj znajdą, pewnie zdoła wejść do zsypu i ukryć się gdzieś w połowie drogi, jednak nie tak szybko, by psy, kiedy tu wpadną, nie zdołały jej pochwycić. Nie, powinna schować się gdzie indziej. Muszę się rozejrzeć, doszła do wniosku, starając się zdławić chęć ucieczki. Potem zdecyduje.

Ostrożnie weszła po schodach, stawiając ogromne kroki. U szczytu znów zaczęła nasłuchiwać, ale ciągle panowała cisza. Na wysokości oczu dziewczyny w drzwiach tkwiła szerniała mosiężna klamka. Nacisnęła ją, a drzwi gwałtownie uchylły się do wewnątrz. Zajrzała przez szparę.

Zobaczyła potężny hol, korytarz o brudnych ścianach z chropowatego kamienia, na który z zewnątrz padały smugi światła. Wysoko w górze spostrzegła osadzone w lichtarzach czaszki, ze szczęk wystawały im na wpół stopione, zgaszone świece. Oczodoły i zęby poczerniały od dymu i czerepy wyglądały upiornie. Ale Trucizna jakoś szczególnie się nie wystraszyła. Czaszki wydały jej się dziwne, dopiero po kilku chwilach zrozumiała dlaczego. Oczywiście, przecież były normalnej wielkości, w tym domu wyglądały więc na niezwykle małe.

Kąt, pod którym światło słońca wpadało przez okno na końcu korytarza, zdawał się mniejszy, niż Trucizna się spodziewała. Może w szybie spędziła więcej czasu, niż myślała? Nadal jednak uważała, że nadchodzącym zmierzchem powinna się przejmować dopiero za co najmniej godzinę.

Strach sprawiał, że zachowywała się bardzo ostrożnie. Przystanęła w drzwiach i znów nasłuchiwała, jednak w domu panowała niesamowita cisza. Niczym oddech wionął przezeń zimny wiatr. Wylatywał lekko, by wkrótce na powrót zostać wessany przez brudne płuca budynku.

Trucizna już miała wyjść z piwnicy, kiedy usłyszała mocne uderzenie w drewniany strop. Cofnęła się, gotowa zamknąć drzwi, gdy tylko coś zobaczy. Jednak nic się nie wydarzyło.

Słyszała tylko dochodzące z góry odgłosy stąpania jakiejś wielkiej istoty. Spokojne kroki psa. Nigdy nie mieszkała w piętrowym domu, dlatego nie знаła dźwięków z wyższej kondygnacji. Minęła dłuższa chwila, zanim pojęła, iż ten huk był odgłosem czworonoga skaczącego z jakiegoś podwyższenia. Wciąż słuchała uważnie, serce trzepotało jej z przerażenia, ale zwierzę chyba się zatrzymało.

Przynajmniej wiem, gdzie jest jeden z nich, pomyślała, szukając jasnych stron całej sytuacji. Postanowiła, że jeszcze przez jakiś czas zostanie na parterze.

Wreszcie, zebrawszy się na odwagę, opuściła względnie bezpieczne czeluści piwnicy i wyszła na korytarz. Poczua się tam wręcz straszliwie odsłonięta, niczym mysz na pustej podłodze. Mimo to szła dalej, skradając się tak cicho, jak tylko pozwalały jej buty. Korytarz kończył się wielką kamienną izbą, gdzie na palenisku bulgotał ogromny czarny kocioł, a pod ścianą stał żelazny piecyk. Wszystko miało rozmiary odpowiednie do reszty domu, w oczach Trucizny wyglądało na olbrzymie. Sam tylko kocioł był od niej wyższy.

Nad piecykiem spostrzegła półkę, a na niej mnóstwo glinianych garnków. Uznała, że pewnie są w nich przyprawy albo jakieś czarodziejskie mikstury. Żadne z naczyń nie miało etykiety.

Jasne, że nie są opisane, pomyślała. Przecież ona jest ślepa.

Nie znalazła również okna, a jedyne źródło światła stanowił płomień pod kotłem; wypełniał komnatę duszącym skwarem i malował wszystko wokół odcieniami czerwieni. Z prawej strony dziewczyny znajdowały się schody; wiodły ku górującemu nad pomieszczeniem balkonowi, gdzie spostrzegła drzwi prowadzące na piętro. Balustradę zbito z okopconych kości, nad środkiem izby zaś zwisał kościany żyrandol. Właśnie on przykuł uwagę Trucizny: wielkie koło o szprychach z kości udowych, na każdej tkwiła czaszka ze zgaszoną świecą. Tak zauroczył ją ten makabryczny widok, że dopiero po chwili dotarła do niej, zdawałoby się, oczywista myśl:

Kto dokłada do ognia?

Poczua nagły niepokój. Ogień z pewnością nie płonął od ostatniej nocy; gdyby tak było, teraz zostałyby po nim tylko żar. To znaczyło, że ktoś dokłada węgla. I to na pewno nie są psy.

Czyżby żyło tu jeszcze coś, coś, przed czym nie ostrzegł jej Lamprey?

Zakłęła pod nosem. Nie powinna naiwnie ufać istocie tak zgorzkniałej i niebezpiecznej jak ten żywy trup. Jeśli połowa rzeczy, które opowiadał o tym miejscu, miała okazać się prawdą, to i tak było tego aż nadto. A co, jeśli skłamał, mówiąc, że jest tu przejście? Co, jeżeli wysłał ją na śmierć?

Cichy pisk, który dobiegł od strony tarasu, sprawił, że wpadła w panikę. Już rzuciła się do ucieczki, gdy wreszcie pojęła, iż dźwięk ten wydał kot. Spojrzała w górę i zobaczyła go na krawędzi balkonu: czarnego kocura, wlepiającego w nią ślepią, teraz, w blasku płomieni, skrzące się zielenią. Był to kocur normalnych rozmiarów, a to znaczyło... znaczyło... no dobra, nie wiedziała, co to znaczyło. Patrzył z niepokojącą ciekawością, a gdy padało na nią owo spojrzenie, czuła się dziwnie, tak jakby ją oceniał. Po chwili odszedł i zaczął delikatnie drapać w drzwi prowadzące na piętro, jakby prosząc, by go przez nie wpuszczono.

– Przykro mi, kotku – wyszeptwała Trucizna. – Za nic nie wejdę na górę.

Nie zamierzała ufać czworonogowi, nawet jeśli jakoś ominął psa, którego słyszała w piwnicy. Lepiej jeśli zostanie po tej stronie drzwi.

W komnacie nie spostrzegła więcej nic ciekawego, a nie miała odwagi zostać tam dłużej. Ruszyła korytarzem w drugą stronę. Wciąż nie wiedziała, gdzie jest drugi pies, no i musiała znaleźć jakąś dobrą kryjówkę, zanim...

Zapadnie...

Noc...

Poczuła, jak krew zastyga jej w żyłach. Za oknem panowała już ciemność. Słońce zaszło. Mogła przysiąc, że spędziła w tym domu najwyżej kwadrans, jednak czasu tego starczyło, by dzień zmienił się w zmierzch, a potem w mrok.

Piwnica! Musi wrócić do piwnicy! Jednak było już za późno. Zza odległego zakrętu korytarza dobiegło ją głośnie skrzypienie schodów, a pośród murów zabrzmiał cienki, skrzekliwy głos:

– Czuję twój zapach, kochaniutka! Będę miała twoje kości!
Kościana Wiedźma zbudziła się ze snu.

Kot i dziewczyna

Truczna przerażona zastygła w bezruchu. Po głowie przelatywały jej coraz to nowe, szalone pomysły. Czy zanim Kościana Wiedźma tutaj dotrze, zdąży schować się w piwnicy? Czy uda jej się wdrapać zsysem i wyjść stąd, nim będzie za późno? Miotła się między strachem przed dalszym zagłębianiem się w czeluści domu a lękiem przed istotą schodzącą właśnie skrzypiącymi schodami, gdzieś poza zasięgiem jej wzroku. Słyszała psy skaczące na górze, uradowane głosem swej pani. Niezdecydowana stała w drzwiach izby, tracąc cenne sekundy.

– Nie chowaj się, maleńka. Z twoich gnatów zrobię sobie kostki do gry! Powysysam cały szpik!

Kot zamiauczał, drapiąc w drzwi.

Truczna wreszcie się zdecydowała. Wszystko było lepsze od spotkania z istotą o tak straszliwym głosie. Wdrapała się na schody. Ogromnymi krokami przeskakiwała stopnie, aż do ud podciągając sukienkę. Kiedy dotarła na balkon, spojrzała w dół, zaglądając do kotła. Gotowały się w nim kości. Mogła się tego spodziewać.

Gdy znalazła się pod drzwiami, kot uskokoczył zaniepokojony. Nie zwróciła na niego uwagi i nacisnęła klamkę. Drzwi się uchylili.

Zwierzak przemknął obok niej, szybko niczym błyskawica, i wypadł przez szczelinę. Na drugim korytarzu, zaczynającym się za progiem, nie spostrzegła nikogo, postąpiła więc do przodu i zamknęła za sobą drzwi.

Pobiegła przed siebie, ścigana straszliwymi obietnicami Kościanej Wiedźmy. Gdzieś niedaleko usłyszała niski psi warkot, do którego wkrótce dołączył jeszcze jeden. Było zbyt ciemno, aby mogła coś dostrzec. Tak jak na dole, wzdłuż ścian tkwiły czerepy, jednak świeczek w nich od dawna nikt nie zapalał. Bo czemuż ślepy miałby martwić się o światło?

Kot zatrzymał się przed bocznymi drzwiami, obrócił i popatrzył na nią wyczekująco. Warkot zbliżył się, stawał się coraz bardziej wściekły. Truczna słyszała, jak inne drzwi, gdzieś na końcu korytarza, drżą pod uderzeniami szalejącego za nimi brytana. Krzyknęła ze strachu. Od uwięzionego potwora dzieliło ją tylko kilka centymetrów drewna.

– Złapię cię, moja śliczna! Wywęszę cię! – dobiegło z dołu wołanie Maeb.

Dziewczyna uznała, że kot zmierza pewnie tam, gdzie nie mogą iść psy, otworzyła mu zatem boczne drzwi i sama przez nie przeszła. Zobaczyła krótkie strome schody, wiodły w górę, ku następnym drzwiom. Gdy już prawie do nich dotarła, otwarły się. Stała w nich dziewczyna, mniej więcej w jej wieku, ubrana tylko w nocną koszulę. W ręku trzymała metalowy świecznik.

– Wchodź do środka! Szybko! – ponagliła, jej szeroko otwarte oczy były pełne strachu.

Truczna wahała się tylko chwilę. Wpadła do pokoju, a nieznajoma zatrzasnęła za nią drzwi.

Izba, w porównaniu z resztą domu, zdawała się maleńka, meble miały tu zwyczajne rozmiary. Łóżko pod oknem zasłoniętym kotarami, przy ścianie szafka o rzeźbionych szufladach, na blacie lusterko, grzebienie i kościane spinki do włosów. Truczna dostrzegła też szafę, mały wiklinowy koszyk dla kota oraz palenisko, gdzie czekały węgiel i suche gałęzie. Całkiem zwyczajny dziewczęcy pokój, choć bardzo ciemny, gdyż jedynym źródłem światła była świeczka obok zwierciadła.

Nieznajoma okazała się delikatną, ładną dziewczyną o złotych kręconych włosach i dużych jasnoniebieskich oczach. Gdy tylko mieszkanka bagien weszła do izby, jasnowłosa chwyciła flakonik z pachnidłem i spryskała ją od stóp do głów. Truczizna wzdrygnęła się, ale nie protestowała. Perfumy miały woń fiołków, niemiłą, mocną i mdłą. Bez wątplenia były osłoną przed czułym węchem Kościanej Wiedźmy.

– Wchodź pod łóżko! – zawołała blondynka, gorączkowo rozglądając się po pokoju. – Szybko, pod łóżko! – powtórzyła, widząc, że Truczizna nie kwapi się, by to zrobić.

Tym razem posłuchała. Nieznajoma też ochlapała się pachnidłem, potem jeszcze spryskała nim izbę. Mieszkanka bagien, schylając się przy łóżku, odkryła, że kot już pod nim siedzi. Obrzucił ją urażonym spojrzeniem i przesunął się, robiąc miejsce.

– Wyłaż, wyłaż, kochaniutka – z dołu zaskrzeczała Kościana Wiedźma. Truczizna usłyszała, że jędza wchodzi po schodach, tych zaraz za drzwiami. – Nie możesz wiecznie uciekać!

Truczizna patrzyła, jak nieznajoma z zapartym tchem czeka przy wejściu, poprawiając nocną koszulę i składając ręce. Potem skrzypnęły zawiasy i w progu pojawiła się Maeb.

Truczizna zamarła. Kościana Wiedźma niemal wypełniała sobą pokój, jej garbaty grzbiet prawie dotykał sufitu. Była wielka, wysoka na ponad trzy metry – nawet teraz, kiedy się schylała. Miała na sobie czarną suknię pociętą przez mole, na niej zaś brudny fartuch. Głowę okrywała brudna chustka zawiązana pod brodą. Z pomarszczonych dłoni jędzy wyrastały obrzydliwe brodawki, palce były długie, cienkie, zakończone połamanymi paznokciami. Maeb zdawała się też dziwacznie pokrzywiona, proporcjami ciała raczej przypominała dziecięcy rysunek czarownicy niżli żywą istotę. Nad pustymi, pozbawionymi wyrazu oczami zwisały fałdy skóry, a także siwe włosy, wystające spod chustki. Nos, wielki i szpiczasty, podobny do dzioba, miał duże, okrągłe nozdrza; drgały, kiedy wiedźma wciągała powietrze. Podbródka prawie nie było, usta zaś wyglądały jak wąska, pomarszczona szczelina. Gdy czarownica je otworzyła, Truczizna dostrzegła, iż pełne są zachodzących na siebie, trójkątnych zębów, jak paszcza rekina, którą oglądała u Lampreya.

Wielki nos Maeb zmarszczył się z obrzydzenia, wiedźma lekko się wzdrygnęła.

– Och, och, ty zepsuta dziewucho! – zaskrzeczała. – Znów oblałaś się pachnidłem! Nie mówiłam ci, żebyś tego nie robiła? Nie mówiłam?

Dziewczyna tupnęła dwa razy.

– Co, nie mówiłam? No to nie rób tego więcej, słyszysz?

Jedno tupnięcie.

Kościana Wiedźma pochyliła się, wyciągnęła rękę. Przejechała nią po twarzy i ciele jasnowłosej, badając ją, tak jak zwykli to robić ślepcy. Nieznajoma skrzywiła się ze wstrętem, ale ani drgnęła.

– Chowasz tu kogoś, prawda? – zakrakała jędza.

Dwa tupnięcia. Maeb schyliła się jeszcze bardziej, jej nos prawie dotknął nosa blondynki.

– Nie okłamuj mnie, malutka. Czułam jej zapach przez całą drogę tutaj.

Nieznajoma tupnęła dwa razy.

Jędza znów zaczęła węszyć.

– Jesteś bardzo nieposłusznym dzieckiem. Ciągłe kłamiesz. Jeśli ją znajdę, pójdziesz do gara. Do gara, mówię!

Dziewczyna spojrzała w dół, tam gdzie pod łóżkiem chowała się Truczizna.

– Siedź spokojnie – wyszeptowała. – Jeśli się poruszysz, ona cię wyczuje. Przez podłogę.

Truczizna przeraziła się, myśląc w pierwszej chwili, że nieznajoma właśnie ją wydała. Ale przecież Maeb była głucha, niczego nie mogła usłyszeć.

– Wyłaż, kochaniutka – zaskrzeczała Kościana Wiedźma, idąc w głąb izby. – Maeb potrzebuje świeżych kości, a ty pachniesz młodością i siłą.

Zaczęła macać wokół siebie pokrytymi brodawkami dłońmi, strącając przy tym grzebienie z szafki. Dziewczyna rzuciła się, aby złapać lustro i świecę. Jędza niczego nie znalazła, ale zaczęła ostukiwać też podłogę, powoli podchodząc do łóżka. Swoim cielskiem zatarasowała dostęp do drzwi. Truczna odruchowo próbowała się skurczyć, zrobić mniejsza. W migotliwym blasku świecy zobaczyła, jak długie palce przysuwają się bliżej i bliżej, macają podłogę, nogi łóżka, tuż-tuż leżącego na nim materaca. Skuliła się, czując nad sobą uderzenia tych dłoni. Kościana Wiedźma zaskrzeczała i cicho jęknęła sama do siebie:

– Nie ma jej tutaj? Może jest pod łóżkiem, he?

Truczna zastygła niczym kamień.

Dłonie Maeb po omacku dotykały spodu materaca. Truczna odsunęła się, nie ważąc się nawet odetchnąć, a połamane pazury wiedźmy przesuwały się tuż obok jej policzka.

– Tak, pod nim...

Nagle przed dziewczyną w blasku świecy pojawiła się twarz jędzy, która schyliła się, by węszyć pod posłaniem. Truczna omal nie krzyknęła, gdy wyschnięty i pokryty żyłkami nos, drżąc, wcisnął się do jej kryjówki.

– Czuję twój zapach – zanuciła wiedźma.

Kot skoczył z głośnym miauknięciem, drapnął wrażliwy nos czarownicy i czmychnął między jej nogami. Wrzasnęła zaskoczona, zamachała rękami i cofnęła się pod drzwi, zasłaniając nos.

– Och! Co za brutalne małe stworzenie! Mój nos! Mój nos! Złapię je, złapię! Kot pójdzie do gara!

Ale zwierzak już uciekł, popędził w dół schodów i dalej przed siebie. Kościana Wiedźma stęknęła i, kuśtykając, wyszła z pokoju.

– Wróć, ty złośliwy dzieciaku! – obiecała, stąpając po schodach. – Też pójdiesz do gara! Ty i twój przeklęty kot!

Trzasnęły drzwi. Odeszła.

Gdy jasnowłosa podbiegła do łóżka i trzymając świecę, schyliła się, aby pod nie zajrzeć, Truczna wciąż miałały dreszcze.

– Nie martw się – powiedziała blondynka. – Ona ma strasznie słabą pamięć. Do rana zapomni nawet to, co teraz mówiła.

Mieszkancka bagien wygramoliła się spod łóżka, pozwalając sobie pomóc.

– Nazywam się Ziarnko Pieprzu – nieśmiało przedstawiła się jej wybawicielka.

– Truczna – odparła dziewczyna, siadając na łóżku.

– To twoje imię? – niepewnie spytała Ziarnko. – Ładne.

– Sama je sobie wybrałam.

Jasnowłosa ożywiła się.

– To tak jak ja! To znaczy, ja sama. Maeb nigdy nie nazywa mnie żadnym imieniem.

Postawiła świeczkę na podłodze i usiadła obok Truczny.

– Masz ładne włosy. Też bym chciała mieć takie proste.

Truczna nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć, zmieniła więc temat.

– Co ty tutaj robisz?

– Mieszkam – z dumą odparła blondynka. – To mój pokój! – Wstała i zaczęła zbierać rzeczy rozrzucone przez Kościaną Wiedźmę. – No, zrobiło się tu trochę bałaganu – usprawiedliwiła się.

Truczna patrzyła na nią ze zdumieniem. Nieznajoma chyba całkiem zapomniała, że przed

chwila jej gościa tylko centymetry dzieliły od łap Kościanej Wiedźmy. Posprzątawszy nieco, mówiła dalej:

– Myślę, że zawsze tu byłam. Zresztą i tak nie pamiętam niczego, co mogłoby zdarzyć się wcześniej. Sprzątam tu, podtrzymuję ogień i w ogóle robię różne takie rzeczy. Wiesz, muszę cały dzień gotować kości, żeby zmiękły na tyle, aby Maeb mogła je jeść. No i ona lubi też zupę z gotowanego szpiku.

– Ty zajmujesz się domem? – spokojnie zapytała Trucizna.

– Zjadłaby mnie, gdybym tego nie robiła – odparła Ziarnko, jakby było to coś oczywistego.

I znów mieszkanka bagien nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– A czy temu kotu nic się nie stanie? – spytała wreszcie, nasłuchując odgłosów wydawanych przez Kościaną Wiedźmę. Jęzdz gramoliła się schodami na dół, cicho pojękiwała, psy czekały i skowytały.

– Andersenowi? Nic mu nie będzie – zapewniła jasnowłosa. – No, dlaczego tutaj jesteś?

– Chcę się dostać do Krainy Faerie. Muszę uratować siostrę.

– Naprawdę? Niesamowite.

Trucizna rzuciła jej poważne spojrzenie, chcąc zaznaczyć, że traktuje swą wyprawę bardzo serio. Jednak Ziarnko Pieprzu tylko uśmiechnęła się słodko, jakby niczego nie rozumiała. Chwilę później czarny kocur wkradł się do pokoju i otarł o jej nogi.

– Andersen! – zawołała, kucając, robiła przy tym mnóstwo zamieszania.

Zwierzak, zanim poddał się jej pieścizotom, rzucił Truciznie pełne wyrzutu spojrzenie; zdawał się mówić: Widzisz, uratowałem ci skórę, ratowałem ją już niejednemu...

Trucizna uspokajała się kilka minut, paplając, starała się odprężyć po tym, jak niemalże otarła się o Kościaną Wiedźmę. Musiała też ochłonąć po dziwnym spotkaniu z tą miłą dziewczyną i jej kotem, co mieszkali w samym środku upiornego domu.

– Mogę się tu schować? – spytała wreszcie.

– Och, lepiej nie – odparła Ziarnko, prostując się.

Andersen, zdziwiony, że nikt już go nie głaszcze, wskoczył na szafkę, po czym zaczął lizać przednią łapę, od czasu do czasu zerkając, czy ktoś zwraca na niego uwagę.

– Dlaczego nie?

– Ona tu wróci. Jest bardzo sprytna. Jeśli myśli, że tu jesteś, odrobina perfum długo jej nie powstrzyma. I przyprowadzi psy. Niczego nie wywęszą, ale za to widzą i słyszą.

Trucizna zakłęła cicho.

– Jest jakieś inne miejsce, gdzie mogę się schować?

– Och, ten dom jest pełen kryjówek – wesoło odparła jasnowłosa. – Ale teraz, gdy już wpadła na twój trop, musisz się bardzo starać, by cię nie złapała. Większość tych, którym udało się stąd wydostać, to ludzie, o których Maeb nie wiedziała. A ciebie szuka.

– Przyłapała mnie po zmroku – wyjaśniła Trucizna.

Ziarnko pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Dni płyną tutaj bardzo szybko, ale noce ciągną się długo. Właśnie dlatego palę tylko jedną świeczkę. Wiesz, nie mogę marnować świec.

Trucizna zastanowiła się chwilę.

– Ilu ludzi tędy przeszło?

Jasnowłosa znów zabrała się do sprzątanania.

– Kilka osób. Mam tu kalendarz – odparła.

Trucizna spojrzała ku ścianie, gdzie wisiał ów kalendarz, ale świeca, stojąca po drugiej stronie izby, dawała zbyt mało światła, by mogła coś dojrzeć. Postanowiła nie zawracać sobie już

tym wszystkim głowy i znowu usiadła na łóżku.

– Maeb mówi, że to jeden z niewielu mostów między Krainą Ludzi a Krainą Faerie – wyjaśniła Ziarnko. – Właśnie dlatego faerie postawiły ją tutaj na straży. Niektórzy próbują uciec z Krainy Faerie, niektórzy chcą się do niej dostać. Ona ma ich powstrzymywać. Wiesz, faerie nie lubią ludzi. Chyba że na obiad.

– Wielu się udało?

– Jednemu albo dwóm. Andersen przychodzi i mówi mi, jeśli im się uda. Lepiej, żeby Maeb nie złapała mnie z którymś z nich. Wpadłaby w szal.

– Kot ci mówi?

Dziewczyna popatrzyła na nią ze zdumieniem.

– Tak, kot – najwyraźniej nie rozumiała, co w tym dziwnego.

Truczna wzruszyła ramionami.

– Czy nie... – Zamilkła, jednak po chwili zdecydowała się pytać dalej. – Czy nie przeszkadza ci, że jesteś pokojówką potwora, który zjada ludzi, takich jak ty i ja?

Ziarnko Pieprzu obejrzała się przez ramię, a na jej twarzy, oblanej blaskiem świecy, pojawił się ogromny smutek.

– Nie mam wyboru. Myślisz, że podoba mi, iż mieszkam tutaj z Andersenem jako jedynym towarzyszem? Każdy, kogo spotykam, zostaje na jedną, dwie noce, a potem albo odchodzi, albo ona go zjada. Nie mam wyboru.

– Nie, to nieprawda – powiedziała Truczna, zrywając się na równe nogi. – Kiedyś byłam taka jak ty. Marzyłam o odległych miejscach i gardziłam innymi za to, że tkwią na tym okropnym bagnie i nie chcą go nigdy opuścić. Ale byłam uwięziona tak jak oni i wbrew temu, co mówiłam, mogłabym nigdy nie odejść, gdyby w końcu nie porwano mi siostry. Mogłam tam zostać i ciągle chciałam odejść, ale zawsze odkładałam to na później i co roku zdarzałoby się coś, co sprawiałoby, że trudniej by mi było zostawić dom, aż wreszcie pewnego dnia zorientowałabym się, że jestem już za stara na wędrowkę.

Ziarnko podeszła bliżej, przysuwając świecę.

– Nie bałaś się?

– Byłam przerażona. I wciąż jestem. Ale nie wróciłabym teraz do domu nawet za tysiąc suwerenów. Widziałam ledwie drobną część tego, co jest poza moją wioską, a już nigdy nie zdołam zaznać szczęścia zamknięta tylko w swoim małym świecie.

– Och, ty to masz szczęście – powiedziała Ziarnko, jej oczy błyszczały. – Jak ja bym chciała odejść i zobaczyć świat! Ci, którzy tu przychodzili, opowiadali mi takie rzeczy...

– Co cię powstrzymuje? Przecież możesz stąd po prostu wyjść!

– Nie mam dość siły. Jestem tylko dziewczyną.

– Ja też – odparła Truczna.

– Co mogłabym zrobić? Gdzie pójść? – załkała Ziarnko.

– O tym możesz pomyśleć, kiedy już wyruszysz – odrzekła Truczna. – Właśnie to jest w tym wszystkim piękne. Teraz muszę już iść. Nie chcę być tutaj, gdy ona wróci.

– Powodzenia! – zawołała jasnowłosa już weselej. – Wróc za dnia. Kiedy Maeb zaśnie, znajdę ci coś do jedzenia.

Truczna pożegnała się i odeszła, zmierzając po schodach ku drugim drzwiom prowadzącym na korytarz. Nasłuchiwała uważnie, ale znów panowała tam cisza. Bardzo chciała zawrócić i błagać jasnowłosą, by pozwoliła jej zostać, ukryć się pod łóżkiem aż do rana. Jednak Ziarnko na pewno wiedziała, co mówi. Kościana Wiedźma nie odeszła na długo, a kiedy nadejdzie, nie będzie gdzie się przed nią schować. Zresztą w tym beztroskim podejściu dziewczyny do wszystkiego wokół było coś niepokojącego. Za łatwo godziła się z życiem w

blasku świecy, w domu pełnym śmierci, z potworną, pożerającą gnaty wiedźmą jako gospodynią. Truczna nie zdziwiłaby się, gdyby Ziarnko Pieprzu okazała się niespełna rozumu. Przecież już chyba myślała, że rozmawia z kotem.

Wyrzała na korytarz, był pusty. Znów zaczął rosnać w niej strach, teraz jeszcze większy, kiedy wiedziała już, kto na nią poluje. Kościana Wiedźma była za daleko, by dało się ją usłyszeć, albo też przestała skrzeczeć. Podobnie psy. Dla Truczny tak było gorzej, niż kiedy je słyszała. Przynajmniej wiedziała wtedy, gdzie są.

Skradając się, ruszyła korytarzem, z powrotem do izby z kotłem. Nasłuchując, prześlizgnęła się na balkon. Poczowała falę ciepła. Cała komnata zdawała się falować w migotliwym blasku ognia płonącego pod wielkim żelaznym garem. Ze zgrozą popatrzyła na dół, na bulgoczącą kościaną breję i wiszący nad nią makabryczny świecznik. Widok ten przypomniawszy jej, co może się zdarzyć, jeśli da się złapać. Natychmiast zaczęła myśleć o czymś innym. Nigdzie nie było ani śladu wiedźmy i psów. Dziewczyna zeszła po schodach i wyrzała na korytarz dzielący ją od loszku.

Nikogo tam nie zobaczyła. Dom nadal zdawał się spokojnie oddychać.

Uznała, że teraz, gdy wiedźma jest na jej tropie, bezpieczniej będzie nie szukać nowych kryjówek. Postanowiła wrócić do piwnicy. Co prawda raczej trudno by było schować się wśród worków z mąką i węglem, ale przecież był tam jeszcze zsyp. Na tyle szeroki, żeby w nim przesiedzieć do rana, a nawet do następnej nocy, kiedy już opuści budynek. Swoją zapach mogła ukryć, nacierając się właśnie węglem albo mąką.

Żałowała, że nie pomyślała o tym wcześniej, zanim ruszyła na wędrowkę po domu.

Jakiś czas trwało, zanim znalazła w sobie tyle odwagi, by przejść z izby z kotłem do piwnicznych drzwi. Bała się, że zaraz coś na nią skoczy, jednak szczęśliwie nic takiego się nie wydarzyło. Pobiegła ciemnym korytarzem, drogę oświetlał jej słaby blask księżycy, który sączył się z okna na końcu holu. Zajrzała do piwnicy i serce jej zamarło.

Zapomniała o jednej rzeczy. Słońce już zaszło. W pomieszczeniu było zupełnie ciemno.

Wlepiła wzrok w czerń. Okienka u stropu, zasłonięte ciemnym szkłem, ledwie widoczne w pełnym blasku dnia, nocą nie wpuszczały ani promyka światła. Z trudem dostrzegała kontury worków.

Z drugiego końca korytarza dobiegł ją pomruk i rytmiczne uderzenia. Przerazona, szeroko otworzyła oczy. Na dół zbiegał właśnie jeden z psów, w każdej chwili mógł popędzić w jej stronę.

Nie było czasu do namysłu. Wślizgnęła się do piwnicy i cicho zamknęła za sobą drzwi, napierając na nie plecami. Oddychała szybko. Gdzieś przed nią ku kamiennej podłodze wiodły potężne stopnie schodów, ale ona ich nie widziała. Niczego nie widziała. Wszystko było ciemnością.

Usłyszała psa, wyskoczył właśnie na korytarz. Brak światła wyostrzył inne jej zmysły. A może po prostu ogrom potwora sprawił, że tak dobrze słyszała jego ziajanie i stukot pazurów uderzających o posadzkę. Nie ważyła się nawet drgnąć z obawy, że zdradzi, gdzie jest. Zdawało się, że nawet jej serce wali na tyle głośno, aby drżały od tego całe drzwi.

Pies skoczył pod wejście do piwnicy i zatrzymał się.

Dziewczyna wstrzymała oddech. Odczekała chwilę, która zdawała się wiecznością, i dopiero wtedy wciągnęła powietrze. Stwór się nie poruszał.

Nagle szarpnięcie niemal zważyło ją ze schodów. Odruchowo przycisnęła się do drzwi, na tyle mocno, że nie dały się otworzyć. Właśnie przed chwilą pies rąbnął w nie głową. Zaparła się stopą o szczelinę w kamieniu, czując, jak po czole spływa jej zimny pot. Zwierzę uderzyło znowu, tym razem mocniej. Jednak była już na to przygotowana, drzwi nie ustąpiły.

Idź stąd, nic tutaj nie ma, pomyślała, pragnąc, by te słowa dotarły do potwora.

Kolejne uderzenie, jeszcze mocniejsze, ale teraz Trucizna stała całkiem pewnie. Zza progu dobiegło ją pełne zawodu skomlenie. Potem nastąpiła cisza. Dziewczyna zacisnęła powieki, modląc się, by pies wreszcie dał za wygraną i poszedł sobie.

Ku jej zdziwieniu zrobił to. Ledwie wierząc swemu szczęściu, usłyszała cichnący stukot pazurów, pies zmierzał w stronę izby z kotłem. Oczekała kilka minut, by upewnić się, czy nie wraca, ale dom znów ogarnęła cisza. Z trudem uwierzyła, że niebezpieczeństwo minęło.

Oczy dziewczyny trochę już przywykły do ciemności, ale tylko trochę, na granicy całkowitej ślepoty. Zaczynała dostrzegać jakieś niewyraźne kształty. Ostrożnie mszyła w dół schodów; dostała dreszczy, nie wiedziała, czy ze strachu, czy z zimna. Nikt przecież nie lubi ciemności, a w miejscu takim jak to były one po prostu okropne. Ruszyła w poprzek piwnicy, kierując się tam, gdzie, jak sądziła, znajdował się szyb. Gdyby tam dotarła, poczułaby się bezpieczniejsza. Idąc przez izbę drobnymi kroczkami i z dala od muru, miała wrażenie, że zaraz coś ją złapie. Uczucie, iż ktoś na nią patrzy, było tak silne, że musiała na chwilę się zatrzymać i uspokoić. Wsłuchiwała się w ciszę, w dochodzący zewsząd spokojny, złowieszczy oddech domu. Nie, nie zewsząd. Za nią.

– Czuję twój zapach, moja piękna – pośród mroków cicho zaskrzeczała Kościana Wiedźma.

Trucizna wrzasnęła, gdy na głowę spadł jej worek. Wkrótce znalazła się w nim cała, jak schwytany królik.

Skóry i kości

Do domu Kościanej Wiedźmy zawitał blask świtu, był jednak dziwny, niebo miało bowiem niezwykle kolor bursztynu i purpury. Mgła opadła, zakryła wszystko na zewnątrz kościanego płotu, ale go nie przekroczyła. Poruszały się w niej jakieś słabo oświetlone kształty. Czy były to tańczące kłęby oparów, czy też wśród mgieł harcowało coś gorszego? Tego już Truczizna nie wiedziała.

Ze zwieszoną głową siedziała w porzewiałej żelaznej klatce, a długie czarne włosy zasłaniały jej twarz. Klatka wisiała na łańcuchu pod sufitem izby z kotłem. Niżej stały tajemnicze mikstury jędy, mnóstwo rozmaitych proszków, liści i smarowideł. Z żyrandola czaszki szczyrzyły na dziewczynę swoje zębiska. Przez otwarte drzwi widziała korytarz, wzrokiem sięgała daleko, aż po jedyne okno, dzięki czemu widziała, jaka jest pora dnia. W kotle ciągle bulgotało, gotowały się tam nowe kości. Panował skwar, jeszcze dotkliwszy tutaj, pod sufitem, gdzie gromadziło się całe ciepło.

Truczizna pogrążyła się w rozpaczy.

Próbowała już wszystkiego: przeciskała się przez kraty, grzebała w zamku kawałkiem metalu, nawet wołała o pomoc. Bez skutku. Nijak nie mogła wydostać się z pułapki. A nawet gdyby jakoś jej się to udało, to był jeszcze pies wielkości konia; zwinięty na podłodze, chrupał gnat.

Jakiś czas mu się przypatrywała, spoglądała na długie, chude, szare cielsko i szeroki, tępy pysk. Zwierzę wyglądałoby całkiem normalnie, gdyby nie jego wielkość. Równie wielki był jego brat bliźniak, którego późną nocą ujrzała nieopodal klatki. Kiedy jednak zobaczyła, jak te bestie unoszą wargi, ukazując poźółkłe zęby, jak roztrzaskują i chrupią kości, przypomniała sobie, co mówił Lamprey – że gdy tylko ją dopadną, rozerwą na strzępy.

Noc okazała się udręką dla jej zszarpanych nerwów. Widziała, jak Maeb wyławia kości z gara i chrupie je albo rzuca psom. Większość czasu spędziła jednak w samotności, rozmyślając nad swym losem. Jędza bez słowa wyjaśnienia wsadziła ją do klatki i zostawiła zawieszoną nieopodal bulgoczącego kotła. Wróciła dopiero przed świtem, aby przez kraty pomacać swoją zdobycz.

– Kochaniutka, pozbędziemy się tego paskudnego ciała – powiedziała. – Dziś wieczorem będziesz w garze. – Oblizła wargi i wyszczerzyła w uśmiechu swe rekinie zęby. – Niezły z ciebie kąsek.

I pokuśtykała do łóżka, zostawiając dziewczynę samą, by rozmyślała o tym, co czekają po zmierzchu, który zapadnie o wiele za wcześniej. Ziarnko Pieprzu mówiła prawdę. Tutaj noce ciągnęły się długo, ale dni mijały wyjątkowo szybko.

Świt trwał boleśnie krótko. Na końcu korytarza zajaśniało światło, a Truczizna usłyszała, jak na balkonie skrzypią otwierane drzwi, i ujrzała w nich Ziarnko Pieprzu. Mieszkanka bagien drzemała, nie spała bowiem całą noc, jednak hałas sprawił, że ocknęła się gwałtownie. Pies także zerknął w górę, ale gdy zobaczył jasnowłosą, znów rzucił się na kość.

– Widziałś mojego kota? – zawołała blondynka. Twojego kota?! – odkrzyknęła Truczizna. – Pomóż mi się stąd wydostać!

Dziewczyna niespokojnie kręciła w palcach swe płowe loki i rozglądała się po izbie.

– Nie widziałam go od nocy – powiedziała. – Zniknął zaraz po tym, gdy sobie poszłaś.
– Ziarnko, proszę! Musisz mnie stąd wydostać! – naciskała Truczna. – Tutaj u góry jest łańcuch, widzisz? Widzisz, gdzie jest przyczepiony, to wielkie żelazne ogniwo? Po prostu odczep go i powoli przez nie przesuwaj. Dasz radę!

Spojrzenie jasnowłosej powędrowało ku łańcuchowi. Biegł od góry klatki przez trzy ogniwa: na suficie, murze i podłodze, gdzie tkwił zaczep.

– Ale ja nie mogę znaleźć mojego kota! – zapłakała.

– Pomogę ci go znaleźć! – skłamała Truczna, starając się mówić jak najbardziej zachęcającym tonem. – Możemy znaleźć Andersena razem!

Ziarnko przygryzła wargę, namyślając się.

– Nie mogę – odparła niepewnym głosem.

Dziewczynie z bagien chciało się wyć.

– Możesz! Jeśli mnie tu zostawisz, Maeb mnie zje! Czy tego chcesz?

– Nie. – Jasnowłosa przestępowała z nogi na nogę. Wyraźnie pragnęła znaleźć się teraz gdzie indziej. – Ale nie mogę cię wypuścić. Gdyby Maeb się dowiedziała, wpadłaby w szal. Mogłaby mnie zjeść!

– No to uciekajmy razem! Znam drogę!

– Nie mogę odejść – powiedziała Ziarnko. – Nigdy nie opuszczałam tego domu!

– Zaopiekuję się tobą – zapewniła Truczna. – Czy nie mówiłaś, że chcesz zobaczyć świat? Czyż nie chcesz zobaczyć Krainy Faerie?

– Tak, chcę, ale...

– Chcesz spędzić resztę swoich dni, opiekując się tą starą wiedźmą, żyć w strachu, że wrzuci cię do kotła, patrzeć, jak twoi nowi przyjaciele są pożerani albo odchodzą i nigdy nie wracają?

– Nie, ale...

– To opuść klatkę!

– A co z psem?

– To już mój kłopot! – odparła Truczna, choć nie miała pojęcia, jak sobie z nim poradzi. Musiała przede wszystkim wyjść z klatki. Teraz miała już w sobie więcej nadziei niż jeszcze kilka minut wcześniej.

Ziarnkiem najwyraźniej targały wątpliwości. Jak Truczna zdążyła już zauważyć, podejmowanie decyzji nie przychodziło jej łatwo.

– Nie odważę się – załkała wreszcie. – Nie możemy opuścić domu przed północą! Inaczej dopadną nas istoty z mgieł! A do tego czasu ona się zbudzi i zobaczy, że ciebie nie ma. Złapie nas i zje obie!

– Możemy się schować! – z rozpaczą zawołała Truczna. – Proszę!

Mieszkanka bagien nigdy nie dowiedziała się jednak, czy Ziarnko w końcu by jej pomogła. W tej właśnie chwili obie usłyszały głośnie miauknięcie od strony drzwi na korytarz. To był Andersen. Pies poderwał się z głuchym warkotem, a kot czmychnął. Brytan rzucił się za nim.

– Andersen! – pisnęła Ziarnko i pobiegła w dół schodami z balkonu i jeszcze dalej, nie zwracając uwagi na wzywającą ratunku Trucznę. Odgłosy pościgu ucichły gdzieś w dali, a dziewczyna znów została sama.

Ciężko opadła na podłogę klatki. Chciało jej się płakać.

– Truczna! – spokojnie zawołał jakiś głos. – Jesteś tam, na górze?

Na twarzy dziewczyny pojawił się pełen niedowierzania uśmiech. Zerwała się na równe nogi i uczepiła prętów.

– Bram! – krzyknęła. Słuch jej nie mylił. To właśnie Bram stał teraz w drzwiach, w

swoim ciężkim skórzanym płaszczu, grubych rękawicach i szerokoskrzydłym kapeluszu. Burknął coś i pomachał do niej wielką dłonią.

– Co ty tu robisz? – zapytała.

– Wygląda na to, że ratuję twoją skórę – odparł. – Muszę chyba być szalony.

– Tutaj jest łańcuch – ponagliła. – Odczep go i opuść mnie na ziemię. Powoli!

Zrobił, jak mówiła. Żelazne ogniwa brały na siebie część ciężaru klatki, tak więc mógł stopniowo przesuwając łańcuch. Ten zaś chrobotał z tak wielkim hałasem, że Truczna była pewna, iż rumor zaraz zwabi któregoś z potwornych strażników. Mijały pełne napięcia minuty, odmierzane rozbrzmiewającym co jakiś czas brzękiem metalu, aż wreszcie klatka grzmotnęła o podłogę. Łowca podszedł szybko.

Dziewczyna uściśnęła poprzez kraty jego dłonie w rękawicach.

– Bram, jesteś wspaniały! Jeszcze nigdy nie cieszyłam się z żadnego spotkania tak jak teraz. Skąd wiedziałeś?

Oblał się rumieńcem aż po gęstwinę swych białych wąsisk i wymruczał, puszczając ręce Truczny:

– To przez tego cholernego kota. Mogę przysiąc, że to nie jest zwykłe zwierzę. Zresztą nie pora teraz na gadanie. Zobaczmy, jak cię stąd wydostać.

Złapał pręty i na próbę nimi potrząsnął, spoglądając ku górze klatki, tam gdzie łączyły się ze sobą.

– Pordzewiałe, widzisz? Bo od niepamiętnych czasów zwisały nad bulgoczącym kotłem. Odsuń się.

Dziewczyna posłuchała, głowiąc się, co zamierza łowca. Szybko się dowiedziała: Bram kopnął jeden z prętów. Rozległ się głośny brzęk. Kopnął znowu i kawał metalu odleciał u góry klatki. Jeszcze raz – i wgiął się do środka, tak że prawie odpadł od jej dna. Bram złapał go, szarpał, szarpał, aż w końcu wyłamał, robiąc otwór na tyle szeroki, by szczupła Truczna zdołała się przecisnąć.

Wygramoliła się na zewnątrz, a potem z radości objęła szeroką pierś łowcy. Kiedy niezgrabnie klepał ją po plecach, niemal czuła ciepło oblewających go rumieńców.

– Dziękuję, że przyszedłeś mi z pomocą – powiedziała, tak szczerze wdzięczna, jak jeszcze nigdy w życiu. – Wiem, ile musiało cię to kosztować.

– Po prostu stąd chodźmy. Pewnie znasz tu jakąś kryjówkę?

Truczna już miała zaprzeczyć, bo przecież Kościana Wiedźma złapała ją tam, gdzie myślała, że będzie bezpieczna, ale przyszła jej do głowy pewna myśl. Mając u boku sprzymierzeńca, czuła się teraz pewniej, to miejsce nie wzbudzało już w niej tak wielkiego lęku.

– Nieważne. Potrzebuję teraz twojej pomocy i mam pomysł – oświadczyła.

Bram zaklął.

– Bałem się, że powiesz coś takiego.

– Głowa do góry – roześmiała się dziewczyna i poklepała go po ramieniu.

Nie było łatwo przenieść pojemniki na balkon z półki nad paleniskiem. Piec sięgał łowcy do ramion, a od pojemników dzieliło go drugie tyle. Bram musiał na nim stanąć, ostrożnie, podtrzymywany przez Trucznię, a potem równie ostrożnie schodzić zeń na podłogę. Następnie oboje z mozołem dźwigali naczynia po schodach, na balkon, a potem z trudem je po nim przesuwali. Każde miało wielkość beczułka i było pełne po brzegi. Truczna kątem oka zerknęła na korytarz, na wypadek gdyby zechciał tu wrócić któryś z psów. Sprawdzała też uważnie, jak wysoko świeci słońce mknące po zasnutym mgłą niebie.

– Powiedz mi – wystękała – o tym kocie...

Bram miał twarz czerwoną z wysiłku. Na chwilę odstawił garniec i wytarł czoło.

– Przyszedł ostatniej nocy – odparł. – Siedziałem w obozowisku, wiatr niósł głos tej wiedźmy. Już miałem odejść, bo nie mogłem dłużej tego słuchać, kiedy pojawił się kot. Przysięgam, on prawie ciągnął mnie za nogawkę do tego domu. Nigdy nie widziałem, żeby kot robił coś podobnego. – Wzruszył ramionami. – No, nie miałem zamiaru zbliżyć się do tego miejsca. Myślałem, że wysłała go wiedźma, żeby mnie zwabił. Ale potem on mnie puścił i zamiauczał, i... no. Nigdy nie myślałem, że zobaczę kota proszącego o pomoc, ale... ale ten zwierzak... Nie potrafię powiedzieć, skąd to wiedziałem, ale wiedziałem, tak jasno i wyraźnie, jakby mi mówił...

– Naprawdę? – zdziwiła się Truczna, przypominając sobie, że Ziarnko Pieprzu opowiadała, iż umie rozmawiać z Andersenem.

Bram wymamrotał:

– Wszedłem przez zsypany węgiel. To nie było łatwe dla kogoś mojej postury. Ale wiedziałem, że muszę wejść, zanim wstanie świt, bo gęstniały mgły i sądziłem, że jak całkiem opadną, dom zniknie. Ukrywałem się w piwnicy aż do rana, czekałem, kiedy kot uzna, że można już bezpiecznie wyjść. Wiesz, on odciągnął psy. Wyobrażasz sobie? To nie jest zwykły kot.

– Przyszedłeś tutaj, żeby mnie ratować – stwierdziła Truczna, łapiąc oddech. – Dlaczego? Mogłeś przecież wziąć swoje pieniądze i szczęśliwie spędzić resztę życia.

– Nie mogłem cię tak zostawić – wzruszył ramionami i odwrócił się, by znów dźwignąć garniec. – Jakim wtedy okazałbym się człowiekiem?

Dziewczyna uśmiechnęła się do siebie, słysząc ze zdumieniem, jak łowca zbagatelizował swoją decyzję. Wiedział równie dobrze jak ona, jaki los wybrał. Pomijając już wszystko inne, pozwolił uwięzić się w tym miejscu razem z nią, w królestwie Kościanej Wiedźmy i jej psów, a wyjść stąd mógł tylko do Krainy Faerie. Każdy inny porzuciłby Trucznię, zatrzymując to, co już zyskał. Przecież dziewczyna uczyniła łowcę zamożnym. Ale on postąpił inaczej. Czuła się wręcz porażona jego bezinteresownością. Zastanawiała się, cóż takiego zrobiła, że zasłużyła sobie na tak wspaniałego przyjaciela, i czy zdoła mu się odwzajemnić, jeśli role kiedyś się odwrócą.

Prawie godzinę trwało, nim wnieśli pięć garnców na balkon. Sądząc po miejscu, w którym znalazło się przysłonięte mgłami słońce, ranek zmienił się w późne popołudnie. Na szczęście nigdzie nie widać było psów. Tylko od czasu do czasu hałas z góry przypominał, że wciąż uganiają się za Andersenem.

– Czy ty w ogóle wiesz, co jest w środku? – spytał Bram, uchylając kapelusza i ocierając czoło wierzchem schowanej w rękawicy dłoni. Żar paleniska czynił pracę podwójnie ciężką.

Truczna spojrzała na stojące u jej stóp garnce z proszkami i ziołami.

– Ona jest wiedźmą. Wątpię, żeby było to coś dobrego.

Łowca wzruszył ramionami.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

– Nie – odparła dziewczyna zgodnie z prawdą i wysypała zawartość pierwszego naczynia prosto do bulgoczącego kotła. Wrząca ciecz, do tej pory gęsta, brązowożółta, natychmiast przybrała różową barwę.

– Nie chciałbym się tego napić – stwierdził Bram, patrząc na nowy, obrzydliwy kolor płynu.

– To jest właśnie ten pomysł – oświadczyła Truczna, a potem razem wrzucili do kotła zawartość wszystkich garnców.

Trochę czasu zabrało im wyłowienie z brei kilku kości. Znaleźli wielką chochlę, którą utrzymać mogli tylko wspólnie, oparli ją o balustradę balkonu i zanurzyli w mieszaninie. Była teraz zgnilobrazowa, wydobywał się z niej odrażający smród. Kiedy grzebali wśród kości, lży ciekły im z oczu, wreszcie udało im się znaleźć dwa duże gnaty, przenieść nad krawędzią kotła i

zrzucić na podłogę.

Truczna chciała usiąść, kiedy nagle coś ciężkiego wylądowało jej na plecach. Wrzasnęła.

– Spokojnie, spokojnie – szybko powiedział Bram. – To tylko kot.

Andersen zjawił się znikąd. Najwyraźniej uznał, że dziewczyna będzie świetnym miejscem do lądowania po susie z kościanej balustrady. Jak gdyby nigdy nic zeskoczył z Truczny. Mieszkanka bagien wyprostowała się i popatrzyła na niego. Jej uważne, fioletowe spojrzenie przyjął z godnością.

– Kogo jak kogo, ale właśnie ciebie chciałam zobaczyć – powiedziała do kota. – Możesz wyświadczyć nam przysługę? Znajdź psy i przyprowadź je tutaj. Mamy dla nich kości.

Zwierzak mrugnął do niej. Czują się trochę nieswojo, rozmawiając z nim tak, jakby był człowiekiem. Zwierzę odwróciło się i pobiegło w dół schodów.

– Widzisz? – mruknął Bram.

– Uwierzę, gdy wróci tutaj z psami – odparła dziewczyna. – Musimy się schować.

Wrócił. Do tego czasu Truczna i Bram ukryli się za garncami, które pozostały na półce nad paleniskiem. Byli tam poza zasięgiem psów. Andersen z piskiem wpadł do izby, a za nim obie bestie, skacząc i szczekając w pogoni za nieuchwytnym kąskiem. Zwierzak dał susa za kocioł i zniknął, psy rzuciły się w tym samym kierunku, ale chwilę później wróciły, nigdzie nie mogąc znaleźć zbiega. Zdziwione, przepatrywały poblizze gara, badały cienie wywoływane blaskiem płomieni. Kot okazał się jednak sprytniejszy i kiedy go szukały, siedział bezpiecznie na balkonie, liżąc sobie łapę. Psy rozglądały się jeszcze przez chwilę, aż wreszcie znalazły leżące na podłodze kości.

– O to chodzi. Piękne, soczyste kosteczki – zamruczała Truczna.

Breja, w której wcześniej leżały gnaty, przesyciła je dziwnym zapachem – mógł oszołomić psa o wrażliwym nosie. Jednak Ziarnko mówiła, że brytany Kościanej Wiedźmy nie mają węchu. Truczna, wstrzymując oddech, patrzyła, jak badają znalezisko, a potem jak jeden z nich chwyta kość w łapy i zaczyna gryźć. Drugi zrobił to samo, wkrótce oba już chrupały i roztrzaskiwały gnaty, chlepcząc szpik. Andersen wyniośle spoglądał na nie z góry, pełen obrzydzenia.

Po chwili sporządzona przez Trucznię mikstura zaczęła działać.

Dziewczyna nie miała pojęcia, co wrzuciła do kotła, ale cokolwiek to było, dała tego o wiele za dużo. Psami niemal jednocześnie targnęły drgawki. Najpierw bestiom zadrżały nogi, zaczęły się potykać. Potem mięśnie całkiem odmówiły posłuszeństwa i zwierzęta zwały się na bok, rżąc. Spazmatycznie przeżyły łapy, miotały łbami. Wywaliły jęzory, z pysków toczyły krwawą pianę. Wreszcie zamarli w bezruchu, ich oddech stawał się coraz bardziej chrapliwy, aż w końcu ustał.

Bram i Truczna przyglądali się temu oniemiałi, z prawdziwym obrzydzeniem.

– Chciałam tylko, żeby zdechły – stwierdziła dziewczyna. – Nie musiały przy tym robić takiego przedstawienia.

Łowca zmarszczył brwi.

– Przynajmniej wiemy, że to działa. Co teraz?

Odgarnęła włosy z twarzy.

– Teraz zajmiemy się Kościaną Wiedźmą.

Zapadła noc.

Mgła nadal była gęsta, ale pośród niej świecił ogromny księżyc, większy i bliższy, niż Truczna kiedykolwiek widziała. Dom otuliły ciemności, jednak miesiąc rzucał przez okna twarde, zimne światło, tworząc pośród cieni romby błękitu. Gdy jego blask wpadał do izby z kotłem, mieszał się z blaskiem migotliwych płomieni i odbijał od świeżych kałuż krwi.

Gdzieś u góry zaskrzypiały drewniane wrota. Kościana Wiedźma przebudziła się ze snu.

Truczna i Bram stali w korytarzu prowadzącym z balkonu do sypialni Ziarnka. Słyszając hałas, spojrzeli na siebie. Dziewczyna nie wiedziała, czy weselić się, czy też czuć obrzydzenie.

– Jesteś pewna, że to zadziała? – po raz dziesiąty spytał łowca.

– Mówiłam ci, ona jest ślepa i głucha – odparła. – Musi tylko nas wywęszyć.

Bram przełknął ślinę i skinął głową, mocniej otulając się psią skórą. Oboje mieli na sobie psie futra, zarzucone na ramiona niczym płaszcze z kapturem zakrwawione płachty lepiane się im do włosów, rąk i policzków. Oboje wysmarowali się też posoką. Obdzieranie martwych bestii ze skóry nie należało do przyjemności. Łowca słabo też się na tym znał. Użyli noża, znalezionego przy palenisku, ale był wielki jak szabla i trudno było go utrzymać. Gdy się tak trudzili, na balkonie pojawiła się Ziarnko, która wreszcie odnalazła swojego Andersena. Kiedy zobaczyła, co robią, pisnęła cicho i zbladła. Truczna zaciągnęła ją w kąt balkonu i tam zostawiła. Lepiej, by jasnowłosa im teraz nie przeszkadzała. Nie wiadomo, jak mogłaby się zachować, jeśli dowiedziałyby się, co planują.

Usłyszeli, że Kościana Wiedźma skrzeczy teraz nad ich głowami, jej głos zmieniał się w złowrogie podśpiewywanie.

– Jesteś już gotowa, kochaniutka? Gotowa, aby iść do gara Maeb? Delikatne, soczyste kostki.

– Jeszcze możemy uciec – naciskał Bram. – Już za chwilę będzie północ. Możemy wyjść przez zsyp na węgiel.

– Nie – odparła Truczna. – Powinniśmy zmierzyć się z nią na naszych warunkach. Jeżeli złapie nas, gdy będziemy się ukrywać, pójdziemy do gara.

Łowca, niezbyt pewny siebie, przysłuchiwał się gadaninie jędzy.

– Poza tym – dodała dziewczyna – już czas, żeby ktoś dobrał się jej do skóry.

Nic nie odpowiedział.

– Idziemy – poleciała i razem ruszyli ku drzwiom, do korytarza. Chcieli, by wiedźma przez nie tutaj weszła. Truczna dotarła tam pierwsza i uderzyła w nie ramieniem. Bram zrobił to samo, a dziewczyna tupiała głośno w podłogę. Potem wspólnie jeszcze raz uderzyli w drzwi, aż zadrżały we framudze. Wyglądało to dosyć dziwnie, żadne z nich się nie odzywało, po prostu hałasowali jak najgłośniej.

– Och! Moje biedaczki są zamknięte na dole? Mama już idzie, zwierzątko moje, nie trąpcie się.

Kiedy Maeb ruszyła w ich stronę, odsunęli się od drzwi. Łowca bardzo się bał, wąsy mu drżały, Truczna czuła się jednak dziwnie spokojna. Nie chciała już chować się przed tą paskudną, starą jędzą. To było takie męczące. Ale wszystko mogło się zmienić.

Drzwi się otwarły i stanęła w nich Kościana Wiedźma, wysoka na ponad dziesięć metrów i powykręcana niczym konar starego drzewa. Bram już brał się do ucieczki, ale Truczna stała niewzruszona. Maeb zatrzymała się i wciągnęła powietrze swoim ogromnym nosem.

– Czuję krew – zaskrzeczała. – I to nie ludzką!

Dziewczyna uznała, że pora się wycofać. Bram już się odsunął, całkiem nie jak bohater, i stał teraz kilka metrów za nią, w głębi korytarza.

– Chodźcie, moje zwierzątko! – zawołała jędza. – Jesteście ranne. Ktoś was skrzywdził?

– Ruszyła przed siebie, cały czas wężąc. – Wracajcie!

Truczna puściła się biegiem. Chciała, by wiedźma ją tropiła, to była część planu, co nie znaczyło, że dziewczyna może czuć się bezpieczna. Łowca stał już w drzwiach na balkon i gorączkowo machał ręką. Wiedźma zwolniła, aż wreszcie się zatrzymała. Truczna obejrzała się przez ramię, czując ciarki na plecach.

– Nie jesteście moimi psami – syknęła Maeb. – Czuję wasze kroki. Pachniecie jak moje bestyjki, ale nie jesteście nimi. Dwie nogi! Dwie nogi! – Wciągnęła powietrze i nagle zawyła: – Co zrobiliście z moimi psami?

Raptownie z wrzaskiem rzuciła się naprzód, rozwierając usta w okropnym grymasie nienawiści. Jej szybkość zaskoczyła Truciznę, która ledwo umknęła przed wielkimi łapskami. Poczula, jak ześlizguje się z niej zakrwawiona psia skóra. Maeb wrzasnęła ze zgrozy, gdy futro zostało jej w dłoniach. Odrzuciła je i rozwścieczona ruszyła przez uchylone drzwi na balkon.

– Zmielę wasze kości na mąkę i upiekę z niej chleb! – krzyczała. – Złapię was i obrócę w proch!

Ale kiedy sunęła przez izbę, wdepnęła w jedną z licznych, świeżych kałuży krwi. Poślizgnęła się, zamachała rękami, ale pędziła zbyt szybko, żeby się zatrzymać. Z wrzaskiem uderzyła o balustradę, która pękła pod jej naporem. Głową w dół poleciała wprost do kotła. Wrząca breja trysnęła z głośnym, skwierczącym sykiem, potem, opadając, zgasła ogień. Zapadła cisza.

Truczna i Bram, którzy stali przyciśnięci do ściany obok drzwi, podeszli do balustrady i zerknęli w dół. Zobaczyli tylko ciemne, nieruchome podeszwy butów Maeb. Wystawały z trującej, brązowej mazi, oparte o krawędź kotła.

– Hm – mruknął łowca.

Dziewczyna roześmiała się, nagle i głośno, oszołomiona ulgą.

– Zdejmiesz tę psią skórę? Dziwnie w niej wyglądasz.

Bram popatrzył na Truciznę, unosząc brew. Sama wyglądała, jakby właśnie wykapała się we krwi. Zrzucił psią skórę i cisnął do kotła z Kościaną Wiedźmą.

– Co z nią? – spytał, ruchem głowy wskazując Ziarnko Pieprzu, wciąż skuloną w rogu balkonu. Andersen, wykorzystując sytuację, zwinął się w kłębek na kolanach swej pani.

– Z nią? – powtórzyła mieszkanka bagien. – Nic nam do niej. Niech robi, co chce.

Bram mruknął i pogładził wąs, sprawiając, iż krwista czerwień zalała ostatnie skrawki bieli na jego ciele.

– Truczno, tak nie wolno. Nie można jej tutaj zostawić.

– A dlaczego nie? – zadziornie spytała dziewczyna.

– To nie byłoby w porządku – odparł po prostu.

Truczna jęknęła. Nie czuła urazy do Ziarnka, miała jednak wrażenie, że jasnowłosa będzie dla nich tylko ciężarem. Ale jeden rzut oka na łowcę powiedział jej, że on nie zmieni zdania. Ukłuła ją dziwna zazdrość. Poczula się taka ważna, kiedy Bram zdobył się na to, by wejść do domu, by ją ratować; ale teraz, gdy swą życzliwością otoczył także tę dziewczynę, owo wrażenie osłabło.

– No dobrze – wzruszyła ramionami.

Podeszła do blondynki. Andersen niechętnie opuścił swoje ciepłe gniazdko i zaczął krążyć wokół Truczny, zerkając na swoją nieprzytomną panią. Truczna potrząsnęła Ziarnkiem.

– Wstawaj, Ziarnko Pieprzu! – zawołała. – Czas w drogę!

Jasnowłosa cicho westchnęła i otworzyła oczy. Spojrzała na stojącą przed nią, umazaną posoką postać, krzyknęła i znów zemdląła.

Truczna uniosła ze złością rękę.

– Jeśli chcesz, by z nami szła, to radź sobie z nią – burknęła do Brama.

Ale łowca wyglądał właśnie przez okno. Księżyc rozbił nagle intensywnym światłem.

– Mgła rzednie – stwierdził. – Nadchodzi północ. Musimy iść.

Rzuciła mu przeciągłe, wnikliwe spojrzenie.

– Bram, jesteś tego pewien? Może jeśli tu zostaniesz, dom wróci do miejsca, z którego

zniknął.

– Może tak. A może nie. To magia faerie. Nie chcę ryzykować.

Truczna próbowała wpłynąć na jego decyzję, jednak łowca uciszył ją, podnosząc okrytą rękawicą dłoń.

– Teraz jestem tutaj – rzekł. – Nie mogę powiedzieć, żebym był z tego powodu szczęśliwy, ale dokonałem wyboru. Wiedziałem, gdzie trafię, jeśli pójdę za tobą. Teraz nie ma co o tym gadać.

I tak, kiedy księżyc znalazł się wysoko na niebie, Truczna i Bram razem opuścili dom Kościanej Wiedźmy.

Ziarnko Pieprzu zwisała na szerokim ramieniu łowcy, a Andersen skakał im pod nogami. Otworzyli kościaną furtę i wyszli na zewnątrz. W tej właśnie chwili znaleźli się w Krainie Faerie.

Mędrzec rybak

Było zupełnie jak w bajkach.

Truczna nie mogła się nie uśmiechać, widząc, że wszystko wokół doskonale pasuje do tego, co wyobrażała sobie, słuchając opowieści Bystrego. Naturalnie, on nigdy nie twierdził, że postawił stopę poza Krainą Człowieka – Truczna w tych odległych dniach przed opuszczeniem Mewy od razu uznałaby, iż kłamie – ale mówił, że zna tych, co tak daleko zawędrowali. Były też jego książki, które czytał dziewczynie, zanim zaczęła je pożyczać, by czytać sama. Między jedną opowieścią a drugą mieszkanka bagien zaczęła sobie przedstawiać, jak mogłaby wyglądać ta cudowna, baśniowa i niebezpieczna kraina. I tak rzeczywiście wyglądała.

Widok zapierał dech w piersiach. Stali na niewysokim wzgórzu, ono zaś znajdowało się na szczycie większego wzniesienia, mogli więc spoglądać z góry na całą okolicę. Niebo miało dziwną, bursztynową barwę, miejscami przechodzącą w purpurę, słońce zdawało się bliższe, świeciło tak jasno, iż nie sposób było na nie spojrzeć. Na zachodzie rzeka w kolorze najczystszej turkusowej wiała się przez falujące łąki, lśniąca w świetle poranka. Na północy i wschodzie rósł wielki las, drzewa mieniły się czerwienią, zielenią i żółcią, tak jakby naraz zawitały tam wszystkie pory roku.

Pośród jego gęstwiny Truczna dostrzegła też wysepki błękitu i indygo – to były drzewa o liściach w nieznanym jej jeszcze barwach. Za puszcza, hen daleko, wznosiło się pasmo gór, zamglonych wielką odległością. Na południu we wzgórze wdzierały się parowy i doliny, a rzeki tworzyły fantastyczne wodospady.

Bram obejrzał się przez ramię, na pokrzywiony stary dom, jakby trochę się bał, że zaraz wypadnie z niego skrzecząca Kościana Wiedźma i ich zaatakuje. Poprawił sobie Ziarnko na ramieniu, coś mruknął, a potem uniósł swą krzaczastą brew.

– Truczno, masz jakiś pomysł, dokąd iść? To byłoby całkiem zabawne, gdybyśmy, już w Krainie Faerie, wędrowali bez celu i pomarli z głodu.

Dziewczyna wzruszyła ramionami, a potem popatrzyła na Andersena.

– Kotku, masz jakiś pomysł?

Andersen zmrużył oczy, zamrugnął ze zrozumieniem i potruchtał w dół wzgórze, ku lasowi.

– Przysięgam, że to nie jest zwykły zwierzak! – mruknął Bram.

Truczna wzruszyła ramionami.

– Lepiej się do tego przyzwyczaić. Zwykły czy niezwykły to już bez znaczenia.

Ruszyli za kotem. Zwierzak raczej się nie spieszył, od czasu do czasu zbaczając z drogi, aby obwąchać fantastyczny kwiat albo rzucić się na jakiegoś niewidocznego owada. Dziewczyna przyłapała się na tym, że rozkoszuje się ciepłym dniem, oszołomiona pięknym rozciągającej się wokół krainy. Wszystko tutaj zdawało się wyraźniejsze i jaśniejsze, jej zmysły jakby się wyostriły. Słyszała szelest trawy. Dostrzegała pojedyncze liście, drżące gdzieś w dalekim lesie, jak gdyby przejrzyste powietrze pozwalało jej widzieć nawet bardzo odległe rzeczy.

Kusiło ją, by uznać to miejsce za wcale nie takie złe, wiedziała jednak dobrze, że gdyby tak pomyślała, zaraz mogłoby wydarzyć się coś strasznego. Czemuż życie, niczym opowieść, zawsze miało w sobie taki dziwny dramatyzm?

Dotarli na skraj puszczy, gdzie znaleźli niewielki strumyk. Położyli Ziarnko na ziemi, a sami obmyli się z krwi psów Maeb. Nieopodal toaletę robił też Andersen. Kiedy skończyli, obudzili jasnówłosa – tak długo leżała bezwładnie, aż zasnęła. Truczna spodziewała się, że kiedy dziewczyna zobaczy, iż jest poza domem, znowu zemdleje, jednak ona chyba już całkiem doszła do siebie. Gdy osuszyło ich słońce, ostrożnie wyjaśnili, co się stało, pominęli obrzydliwe szczegóły i podali tylko suche fakty. Maeb odeszła i nie ruszy za nimi. Ziarnko jest wolna, czy tego chce, czy nie. Są w Krainie Faerie. Wędrują na spotkanie z jej Panem.

Jasnówłosa wysłuchała tego, a jej twarz wyrażała napięcie bliskie przerażeniu. Spojrzała za siebie, ku wznoszącemu się na wzgórzu domostwu Kościanej Wiedźmy.

– Tak to wygląda z zewnątrz – szepnęła do siebie.

– Wciąż możesz tam wrócić, jeśli chcesz – stwierdziła Truczna, przekonana, że winna jej o tym powiedzieć, aby później nie czuć się jak porywacz.

Dziewczyna potrząsnęła głową, jasne loki zatańczyły. To starczyło za odpowiedź. Mieszkanka bagien spojrzała na Bramę, dając mu do zrozumienia, że zupełnie nie wie, co z tym wszystkim począć. Jednak kiedy wyschli już na tyle, aby ruszyć w las, Ziarnko bez słowa poszła za nimi.

W środku puszcza wyglądała równie pięknie jak ze szczytu wzgórza. Jakimś cudem nie było w niej gnijącej ściółki, zalegającej zwykle w lasach Krainy Człowieka. Prawdę mówiąc, każdy liść zdawał się tkwić dokładnie na swoim miejscu, każda gałązka rosła tak, a nie inaczej, chyba tylko po to, by jeszcze bardziej wydobyć piękno drzewa. Nie było tam żadnej skazy, żadnego rozkładu, który na Czarnych Bagnach stanowił nieodłączną część życia.

Las wyglądał jak malowidło, jak wizja. Był doskonały.

W Truciźnie nie wzbudzał ani odrobiny zaufania.

– Jak pięknie! – zawołała Ziarnko, w zachwycie przyciskając dłonie do piersi.

– Owszem, ale nie tak pięknie, żeby te cudne kwiaty nie zabiły cię, gdy je powąchasz – rzekł Bram, na głos wyrażając to, o czym myślała Truczna.

– Och, nie przesadzaj – odparła jasnówłosa, oburzona zrządzeniem łowcy.

– On ma rację – zawtórowała Truczna, przypominając sobie, co słyszała od Bystrego. – Faerie lubią złudzenia. Nie daj się omamić. Ta Kraina jest dla nas niebezpieczna.

Ziarnko, słysząc radę, odwróciła się nadąsana, ale mieszkanka bagien spostrzegła, że teraz zaczęła się nerwowo rozglądać.

Nadeszło popołudnie, potem wieczór, a przez cały dzień nie ujrzeli żadnych żywych istot. Choć las rozbrzmiewał śpiewem ptaków i odgłosami najróżniejszych niezwykle zwierząt, nie widzieli nawet małego owada. Zatrzymali się na polanie, pożywili zimną strawą z plecaków Truczny i Brama, a choć konary nad nimi drżały, jakby poruszane przez ptaki, pobliskie gałązki zaś potrzaskiwały, nie widzieli sprawców owych hałasów. Bardzo ich to niepokoiło.

Łowca zaczął głośno powątpiewać, czy kot w ogóle ma pojęcie, którędy iść, jednak zwierzak wyglądał na pewnego obranej drogi, a Ziarnko Pieprzu zapewniała, że Andersen wie, co robi.

– Pojawił się, kiedy dom był w Krainie Faerie – wyjaśniła. – Pamiętam, bo był wtedy jasny dzień. Zresztą tu zawsze jest za dnia bardzo jasno, jaśniej niż w innej Krainie. Wyglądałam przez okno, kiedy on się pojawił. Musiał przywędrować z zewnątrz. Zobaczył, że jestem samotna, więc został, żeby być moim przyjacielem. Czyż nie jest słodki?

Uniosła kota, który miauknął zdziwiony, i potarła go policzkiem, gaworząc i mrużąc. Andersen wyraźnie okazywał niezadowolenie, chciał choć w ten sposób zachować swoją godność, a potem odbiegł, mrużąc. Truczna z niedowierzaniem patrzyła na to żenujące przedstawienie.

– Mówisz, że to jest kot faerie? – spytał Bram, zanim jego towarzyszka zdążyła rzucić jakąś kąśliwą uwagę.

– Nie wiem – odparła blondynka, dając zwierzakowi spokój. – Ale właśnie stąd przyszedł, kiedy mnie znalazł. Myślę, że on bywał już wszędzie, lecz wiele mi o tym nie mówił.

I tak oto wędrowali, podążając za Andersenem, nie do końca pewni, dokąd kot ich prowadzi, czy nawet w ogóle gdzieś ich prowadzi. A że nie mieli pojęcia, gdzie są, każdy kierunek zdawał się im równie dobry.

Kiedy wreszcie kogoś spotkali, zapadała już noc.

Znaleźli go na końcu wąskiej ścieżki obrzeżonej korzeniami, rosnącymi tak, jakby ktoś starannie je ułożył, by wyglądały naturalnie – a przecież nie było na nich ani krzty brudu czy mchu. Szlak wiódł do polany, której sporą część zajmowało niewielkie jezioro, błyszczące w świetle zachodzącego słońca miedzianą czerwienią. Przy brzegu stał domek, wyglądał tak, jakby z niego wyrastał, omszała kupa wikliny z pożółkłą trzciniową strzechą przypominającą wieko. Przy ścianie od frontu zaczynał się drewniany pomost wrzynający się w jezioro. Na jego skraju siedziała jakaś dziwna istota z wędką.

Patrzyli na nią z pewnej odległości. Chyba ich nie zauważyła. Była chuda, o wilgotnej zielonej skórze, przypominającej żabią. Po obu stronach nosa, zaledwie pary szczelin w twarzy, miała dwoje dużych, wyłupiastych oczu. Brak podbródka sprawiał, że małe usta zniknęły gdzieś przy szyi. Swe długie, guzowate palce stwór zaciskał na pręcie wędki. Cienkie nogi zwiesił za krawędź pomostu.

Reszta jego ciała tonęła w wielkim płaszczu z czegoś, co przypominało niedźwiedzią skórę, tyle że zamiast włosiem pokrytą piórami. Niewiele go zatem widzieli. Głowa istoty zdawała się nieproporcjonalnie mała.

– Jakiś taki smutny – ze współczuciem zauważyła Trucizna.

Rzeczywiście, kiedy patrzyli na stwora, jęknął głośno i dalej posępnie spoglądał w odmęty.

– On jest faerie – burknął Bram – Nie możesz mu ufać.

Dziewczynę zastanowiło, czemu wszyscy uznali, że obcy jest samcem, przecież wyglądał tak dziwnie, iż właściwie nie dawało się określić jego płci.

– Dobrze, już prawie noc. Andersen nas tu przyprowadził, myślę więc, że wie, co robi – odparła.

Kot potwierdził to miauknięciem i zadowolony otarł się o jej nogi.

– Przedstawimy się?

– Tylko bądźmy ostrożni, wszyscy – ostrzegł łowca, jego brwi się złączyły, gdy zmarszczył je pod rondem kapelusza.

Kiedy się zbliżyli, stwór się poruszył na znak, że ich zauważył, ale nie zrobił nic więcej. Dalej wędkował, znów jęknął. Ostrożnie weszli na pomost. Trucizna zobaczyła, że w jeziorze leniwie pływają wielkie ryby, mieniające się kolorami tęczy, ale żadna nie interesowała się przynętą.

Bram kaszlnął.

– A więc przybyli nasi bohaterowie – rzekła istota, jej głos był cichym, bulgoczącym mamrotaniem.

– To znaczy? – spytała Trucizna.

Stwór odłożył wędkę na małe drewniane widelki i wstał. Spojrzał na nich swoimi wielkimi żółtawymi oczami.

– Hm – burknął ponuro. – Nie wyglądacie na bandę.

Przepchnął się między nimi i zaczął kuśtykać do chaty.

– I gdzie tu typowy, muskularny wojownik, piękna czarodziejka i zabawny złodziej-pomagier? Na wody! To szybko robi się męczące.

Truczna i Bram spojrzeli po sobie ze zdumieniem. Potem widząc, że dziwny rybak najwyraźniej nie ma zamiaru zwolnić kroku, dziewczyna pobiegła za nim.

– Hm... dzień dobry. Mam na imię Truczna.

Zatrzymał się i obrzucił ją spojrzeniem od stóp do głów.

– Dobre imię – stwierdził z uznaniem. – Myślałem, że jesteś Melizanda albo Arial.

– Dlaczego tak myślałeś?

– Bo tak zwykle mają na imię takie jak ty. Nie jesteś królewną, prawda?

– I nie chciałabym być. Każda chce być królewną, to nudne.

– Ach! No to kim chcesz być?

– Chcę być w pałacu Pana Faerie, poprosić go, by oddał mi siostrę.

– Dobrze sobie. Ja powiedziałbym, że to tylko początek.

– Początek czego? – spytała podekscytowana dziewczyna.

– Dopiero wyruszyliście! Myślisz, że Pan Faerie po prostu odda ci siostrę? Nie, będą różne sprawdziany, próby, potyczki; komplikacje, zwroty akcji, odkrycia. Musisz zasłużyć na swoją siostrę. Nie spotkałaś jeszcze nawet połowy wszystkich bohaterów! Wierz mi, przed tobą wciąż daleka droga.

Dziewczyna nie mogła pojąć, o czym mówi ten dziwny stwór, więc po chwili zakłopotania potrząsnęła głową i rzekła:

– Wiesz, jak trafić do pałacu Pana Faerie, czy nie?

– Oczywiście, że wiem – westchnął ciężko. – Wejdz do środka, to ci powiem.

I wkroczył do swej lepianki z mułu i badyli, a oni ruszyli za nim.

Wewnątrz było ciemno i ciasno. Stały tam ławy, kominek, stół oraz inne sprzęty. Płytką jama, wymoszczona słomą, służyła za łóżko. Strop zwisał tak nisko, że Bram musiał się garbić, a Ziarnko, wchodząc, uderzyła się w łokieć i głośno krzyknęła.

– Stwór podszedł do paleniska. Używając krzemienia i hubki, tak długo krzesał iskry, póki nie pojawiły się płomienie. Ogień rósł szybko – na co padły iskry, świetnie się paliło. Kiedy nieznajomy uznał, że wysokość płomieni jest już odpowiednia, chwycił poczerniały kociołek i umieścił nad paleniskiem. Mam na imię Myrrk – powiedział. – Czyż dziwnym trafem to imię nie jest odpowiednie dla kogoś tak ponurego jak ja? Zabawne, jak bardzo imiona mogą być opisowe. Chcecie herbaty? Zaproponowałbym wam coś do jedzenia, ale nic dzisiaj nie złowiłem. Prawdę mówiąc, nic nigdy nie złowiłem. Jezioro pełne tłusciutkich ryb, a ja nigdy żadnej nie złowiłem, ani jednej przez całe sto lat.

– Sto lat! – zawołała Ziarnko.

– W takim razie, co jesz? – zapytała Truczna.

– Ryby, jeśli zdołam je złapać.

– Ale powiedziałaś, że przez sto lat ani jednej nie złowiłeś.

Myrrk zamrugał.

– Owszem.

– Więc jak, nic nie jadłeś przez sto lat?

Stwór wzruszył ramionami.

– Na to wygląda.

– W takim razie jakim cudem żyjesz? – spytała wprost.

– Dobrze pytanie – odparł Myrrk. – Przypuszczam, że on się zbyt nad tym nie zastanawiał, kiedy mnie tutaj umieścił.

– Kto?

– Hierofant. Czyż nie jestem postacią tragiczną? Zawsze łowię ryby, dzień w dzień, a nigdy żadnej nie złapałem. Ja nawet wyglądam smutno, prawda? Ale on pewnie nie zwraca sobie głowy takimi drobiazgami jak to, co ja jem, skoro nie mogę złapać ryb. Beznadzieja, jeśli chcesz znać moje zdanie.

– Nie jesteś głodny? – zapytała Ziarnko, na jej twarzy pojawiła się troska.

– Przecież już mówiłem, że nie jadłem niczego od stu lat – burknął Myrrk. – Czy ty nie byłabyś głodna?

– Ja to bym nie żyła – wesoło stwierdziła blondynka.

– Chcesz herbaty czy nie? – powtórzył stwór.

– Tak, poproszę – pisnęła.

Truczna i Bram również poprosili o herbatę, by nie urazić gospodarza, najwyraźniej nieco dziwnego, jeśli nie całkiem szalonego. Truczna nawet nie zadała sobie trudu, by wypytywać o Hierofanta. Nie potrafiła sobie wyobrazić, czy umacniając w ten sposób złudzenia Myrrka, jakoś by mu się przysłużyła. Wołała skupić się na prawdziwym zadaniu, czyli odnalezieniu Azalii. Jednak dostrzegała w jego słowach jakąś pokrętną logikę, jakiś sens, który sprawiał, że sądziła, iż stwór może mówić mądrze – tyle że tej mądrości nie rozpoznawali.

– Co do pałacu... – po dłuższej chwili odezwał się Bram.

Myrrk krzątał się za jego plecami. Wygrzebał kilka filiżanek, a oni musieli się skulić, bo zawadzał o wszystko wielkim płaszczem z piór.

– Tak, tak, pałac. Oczywiście, możecie dotrzeć do pałacu z każdego miejsca w Krainie, jeśli na pewno tego chcecie. Czy słyszeliście kiedyś o kochii, ognistym ziele?

Odwrócił się, wymachując wielkim pękiem zielonych badyli.

Truczna przytaknęła. Ziele rosło na bagnach, tam gdzie się wychowywała.

– Musicie być naprawdę nowi w Krainach, skoro nie wiecie, co można z tym zrobić.

Kochia pali się w szczególny sposób. Rozniecacie ogień, kiedy słońce chyli się ku zachodowi, wrzucacie ziele i czekacie, aż się zapali. To jest właśnie to, co nazywają skrótami. Dzięki temu wszystko idzie do przodu, no nie?

Dziewczyna naprawdę nie miała pojęcia, o czym on mówi, ale całą sobą była za robieniem skrótów. Nigdy nie należała do cierpliwych.

– Chcecie dotrzeć do pałacu, prawda? – spytał Myrrk, wyciągając swą wilgotną szyję i spoglądając na nich ponuro. – Kiedy już sygnał zostanie wysłany, nie będziecie mogli zrezygnować.

– Chcemy tam iść – stanowczym głosem odparła Truczna.

Ziarnko pisnęła, ale później już nie protestowała. Myrrk wrzucił ziele do płomieni, zakłócając spokój Andersena, który zdążył wygodnie ułożyć się przy największym źródle ciepła w izbie. Ogień przygasł, potem zapłonął na nowo. Truczna spostrzegła, że między wirującym karmazynem kłębi się teraz czarny dym, a sam ogień wygląda, jakby od wewnątrz rozjarzył się czerwienią niczym stopiona skała.

– On się zbliża – powiedział Myrrk.

– Kto taki? – spytał Bram.

– Woźnica – odparł stwór.

– Pojedziemy wozem? – spytała podniecona Ziarnko Pieprzu, która najwyraźniej nie dosłyszała, jak Myrrk dobitnie zaznacza, że wypowiedziane przezeń słowo rozpoczyna się wielką literą.

– Prosto do pałacu Pana Faerie – przytaknął stwór.

Trucznie nie podobał się ton jego głosu.

Myrrk zaparzył im herbaty, a oni w zamian poczęstowali go jedzeniem z plecaków. Napar

był zielony i gorzki, pływały w nim gałązki i drobiny ziół, miał jednak nie najgorszy smak, który Truczna uznała nawet za całkiem przyjemny. Spozregła, że Bram nie pije. Aż biła od niego nieufność.

Stwór, wstrząsając grzbietem, usiadł na ławie. Teraz mała chatka wypełniła się miłym ciepłem, a blask ognia dawał przyjazne, domowe światło, które powstrzymywało gęstniejące ciemności. Dziewczyna trochę się odprężyła. Myrrk wyglądał na bardzo smutnego, a czy był groźny? Wątpiła. Ale w Krainie Faerie oczywiście wszystko mogło się zdarzyć.

– Myrrk, mam pytanie – odezwała się po dłuższej chwili. – A właściwie dwa. Nie wyglądasz na zadowolonego z życia tutaj. Nigdy nie złapałeś ryby, nigdy nic nie jadłeś, choć jesteś tutaj już od stu lat. Mam więc takie oto pytania: Skąd się tutaj wziąłeś? I dlaczego nie odszedłeś?

Myrrk zamrugał i z trudem uniósł głowę, jak gdyby była wielkim ciężarem.

– Wiesz, nikt mnie o to nie pytał. Dlaczego nie odszedłem? Przez sto lat?

– Właśnie – dociekała dziewczyna. – Dlaczego?

– Kiedyś spróbowałem – odparł. – Nie polecam.

– Co się stało? – naciskała Truczna. Nagle zaczął jej przypominać Lampreya, który zbywał jej pytania niejasnymi odpowiedziami. Ale ona nie zamierzała dać Myrrkowi spokoju, póki czegoś się nie dowie.

Stwór przez długi czas mierzył ją wnikliwym spojrzeniem.

– Może któregoś dnia poznasz prawdę... Tak, jesteś jedną z tych... Takich jak ja. Zadających pytania. Mogę najpierw odpowiedzieć na pierwsze? Jak się tu dostałem? Nie wiem. Pewnego dnia po prostu się tu znalazłem, tylko to pamiętam. I zacząłem zadawać pytania. Ale nikt ich nie słuchał. Każdy chciał pójść swoją drogą, tak szybko jak to tylko możliwe, i nigdy nie zastanawiał się nad tym, co robi.

Siorbiąc, napił się herbaty.

– Ale gdy wędkuje się cały dzień, ma się czas na rozmyślania, więc rozmyślałem.

Słuchałem opowieści tych, którzy tędy przechodzili, i domyśliłem się.

– Czego się domyśliłeś?

– Skąd się tu wziąłem?

– I skąd?

– Lepiej spytaj Hierofanta.

– Dlaczego nie możesz mi po prostu odpowiedzieć?

– To nie tak – jęknął Myrrk. Wyglądał na dotkniętego. – Są prawa, których trzeba przestrzegać, droga wskazująca, jak robić różne rzeczy. Nie możesz się jeszcze dowiedzieć. Za wcześnie.

Truczna ze złością zgrzytnęła zębami.

– A co z moim drugim pytaniem?

– Ach tak... Dobrze, tak jak mówiłem, są różne drogi wskazujące, jak robić różne rzeczy. Każdy ma swoją, by po niej kroczyć, swoją własną rolę do odegrania. A jeśli przestaniesz czynić to, co do ciebie należy, odbije się to niekorzystnie na wszystkich innych. Wszystko jest połączone, wiesz? Mam tu być. Mam być tym, który zna odpowiedź. Kiedy ktoś się gubi, znajduje mnie i ja sprowadzam go na właściwą drogę. Pokazuję mu skrót, tak jak pokazałem tobie.

Myrrk na chwilę stracił pewność siebie, spojrzenie żółtych oczu utkwił w podłodze, skąd Andersen, udając, że śpi, patrzył na niego ukradkiem spod przymkniętych powiek.

– Wędrowka nie jest moim przeznaczeniem. Gdy ruszałem w drogę, ludzie zaczęli się gubić. I wszystko się psuło.

– Bo nie zrobiłeś tego, co miałaś zrobić? – spytała Ziarnko, szeroko otwierając oczy ze zdumienia.

– Bo domyśliłem się, jaka jest kolej rzeczy – wymamrotał stwór. – Miałem swoją historię, kiedyś, ale mi się nie podobała i próbowałem ją zmienić – jęknął. – Odradzałbym to.

Trucizna chciała zadać jeszcze jedno pytanie, przeszkodził jej jednak nagły powiew wiatru; imbryk i spodki zadrżały. Gdy ucichł, usłyszeli stukot podków i odgłosy zatrzymujących się koni.

– Lepiej już idźcie – powiedział Myrrk, wykrzywionym palcem wskazując drzwi. – Woźnica nie będzie długo czekał.

Ziarnko zabrała kota i wyszli z chaty. Na brzegu jeziora stał powóz. Gdy jasnowłosa go ujrzała, załśniły jej oczy. Po raz kolejny Trucizna uprzytomniła sobie, że nie wolno dać się uwieść pięknu Krainy Faerie. A pojazd wyglądał tak cudownie, iż naprawdę trudno było o tym pamiętać.

Powóz, cały w czerni i bieli, miał osie z kości słoniowej i złote szprychy w kołach o kołpakach zdobionych srebrem. Ciągnęły go cztery rącze konie, śnieżnobiałe niczym chmury, w odzieniu z białych i lśniących płyt. Z ich grzbietów zwisały złote kolczugi. Gdy rumaki poczuły na sobie wzrok ludzi, wstrząsnęły łbami ze zgrzytem zębów. Choć piękne, zionęły straszliwym chłodem, a ich oczy zdawały się spoglądać na śmiertelników ze złowrogą pogardą.

Woźnica siedział na koźle, zgarbiony, okrywał go wielki biały płaszcz z kapturem. Wystawały spod niego tylko dłonie trzymające lejce. Miał ponad dwa metry wzrostu i gdyby się wyprostował, nawet Bram wydałby się przy nim karzełkiem. Spojrzał na nich z wysokości powozu. Ujrzeni jego twarz, jakby z porcelany, o doskonałych rysach, wystających kościach policzkowych, gładkiej i bladej skórze. Oblicze, choć przystojne, tchnęło takim samym zimnem jak konie, albowiem zielone oczy Woźnicy patrzyły na nich jak na robaki, a jego usta krzywiły się w grymasie odrazy.

Drzwi karocy otwały się same.

Ziarnko zerknęła na Brama i Truciznę, widać było, że nie ma ochoty wsiąść do pojazdu. Mocno przytuliła Andersena do piersi. Mieszkanka bagien odwróciła się i zerknęła na Myrrka, który odpowiedział jej pełnym szacunku, współczującym spojrzeniem.

– Jedź i spotkaj się z Hierofantem. On zna niejedną odpowiedź.

Dziewczyna milczała. Wsiedli do powozu i zatrzasnęli drzwi.

Pakt

Pałac Władcy Faerie stał pośród tuzina rzek i strumieni, piękny, wytworny niczym klejnot. Był jak odłamek jadeitu wznoszący się nad krainą jezior, zdobny mnogością delikatnych iglic i wieżyczek, których liczba malała wraz ze wzrastającą wysokością. Na samym szczycie była już tylko jedna wieżyca, największa i najbliższa środka budowli, sięgała hen ponad pozostałe, a u samego szczytu stawała się cienka jak igła.

Gdy Truczna i jej przyjaciele zbliżali się do pałacu, ogromne słońce Krainy Faerie już wstało, a z wyżyn, na których teraz byli, mknąc poprzez bursztynowe niebo, ujrzeli przeczudny widok. Światło poranka migotało na bladozielonej powierzchni pałacu, połyskiwało złotem w płataninie rzek i jezior przecinających falujące wokół łąki.

– Ziarnko, musisz to zobaczyć! – zawołała mieszkanka bagien, ale jasnowłosa nie chciała się nawet ruszyć. Skuliła się z twarzą zwróconą ku tylnej ścianie powozu i przyciskała dłonie do oczu.

Trwała tak od swego pierwszego okrzyku zdziwienia, kiedy karoca nagle oderwała się od ziemi i poprunęła, a końskie kopyta zaczęły uderzać o powietrze niczym o solidny trakt. Najwyraźniej dziewczyna miała lęk wysokości. Trzymała się z dala od okien, Andersen zaś lizał ją po twarzy, próbując uspokoić.

Pędzili w stronę pałacu i byli coraz bliżej. Podróż trwała krócej niż godzinę; w dziwny sposób noc już minęła i nastał ranek, a oni czuli się rześcy, jakby porządnie się wyspali, choć nikt nawet nie zmrużył oka. Gdy Truczna powiedziała o tym Bramowi, przypomniał jej, co mówił, gdy rozstawała się z nim przed domem Kościanej Wiedźmy:

– Czas nie płynie tu tak jak na ziemi. Możemy być już tysiąc lat od domu i kiedy wrócimy, niczego nie poznamy.

Truczna zamyśliła się.

– Nie będę bardzo tęsknić. Może tylko za Bystrym. I może za ojcem. Ale on jest pewnie szczęśliwszy beze mnie.

– Serio? Mówisz straszne rzeczy – zauważył łowca.

– Nie straszne, lecz prawdziwe – odparła dziewczyna. – On i Rosiczka, moja macocha, chcieli tylko, bym zeszła z drogi, którą oboje szli... Nieważne, jak bardzo udawali, że jest inaczej. – Dostrzegła w jego oczach niedowierzanie. – Bram, to nie jest po prostu urażona duma smarkuli. Wiem, co mówię. Byłam dla nich tylko utrapieniem. Truczna.

– Ach. To dlatego wybrałaś sobie takie imię – mruknął łowca, jego wąsy poruszyły się, gdy na twarzy wykwitł mu drwiący uśmiech. – Mogłem się domyślić.

– Jest tam coś, za czym ty będziesz tęsknił? – zapytała, wyglądając przez okno. Byli już prawie nad wierzchołkiem pałacu.

– To zależy, co się zmieni – powiedział Bram. – Będę musiał poważnie rozmówić się z Panem Faerie, jeśli, kiedy wrócę, na Rzeźnickim Targu w Przedmurzu nie będą już sprzedawać tych pysznych, zapiekanych kiełbasek.

– Truczna roześmiała się i szturchnęła go w pierś. Głuptas! – zawołała wesoło.

– Hm, racja – rzekł łowca, też uśmiechając się szeroko. Nic więcej już nie powiedział.

Powóz zatrzymał się w jednej z niższych bocznych wież, wlatując do niej przez wielki,

strzelisty portal. Gdy kopyta rumaków zastukały o podłogę, Ziarnko odważyła się zerknąć znad ramienia, a gdy powóz całkiem się zatrzymał, otrząsnęła się z ulgą. Drzwi znów otwały się same. Bram pomógł jasnowłosej wysiąść. Andersen wyskoczył ostatni. Gdy wszyscy już wysiedli, drzwiczki się zatrzasnęły. Woźnica obrzucił ich lodowatym spojrzeniem, zawrócił pojazd i strzelił lejcami. Konie galopowały przez chwilę, a potem wyleciały przez portal w bezchmurne bursztynowe niebo.

Truczna i jej towarzysze stali w okrągłym pomieszczeniu o ścianach i podłodze z żyłkowanego marmuru. Nie było tam nic prócz wielkiego dysku z brązu pośrodku podłogi. Na nim to właśnie lądowała karoca. W jednej ze ścian zobaczyli niewielkie, łukowate drzwi, odlane z metalu i pokryte drobnymi, węzłowatymi zawijasami. Gdy ucichły już ostatnie echa pędzących koni, Truczna, Bram i Ziarnko Pieprzu spojrzeli po sobie.

– Co teraz? – spytał łowca.

Drzwi otwały się gwałtownie, pośród zgiełku i paplaniny wpadł przez nie rozedrgany tłumek. Skupiał się wokół chudego człowieka w brązowym stroju i o zmęczonej twarzy. Nieznajomy szybko kroczył w stronę przybyszy, piórem notując coś w dużej, oprawnej w skórę księdze. Wokół krążyły hałaśliwe, blade chochliki: małe, delikatne i niesamowite stworzenia o nietoperzowych skrzydłach i świergotliwych głosikach. Zarzucały go relacjami, spostrzeżeniami, coś komentowały, on zaś rzucał im polecenia i zadawał pytania. Szedł prędko, aż zatrzymał się przed Truczną i jej przyjaciółmi. Wtedy oddalił istotki machnięciem dłoni, a chochliki rozpierzchły się niczym stado ptaków i wyfrunęły przez drzwi oraz wielki portal.

Nieznajomy poprawił okrągłe okulary w metalowej oprawce, sterczące na jego ostrym nosie, i spojrzał w stronę Brama.

– Podajcie swoje imiona.

– Bram z Płótna, Truczna z Mewy, Ziarnko Pieprzu z... – łowca urwał.

– Ziarnko Pieprzu skąd?

– Do niedawna na służbie Maeb, Kościanej Wiedźmy – poważnym głosem wyjaśniła mieszkanka bagien.

– Aha. A jak tam się miewa nasza droga Maeb? – zapytał, unosząc brew.

– Nie żyje – odparła Truczna.

Tylko Ziarnko, która zresztą i tak już domyśliła się, co się stało, zdawała się tym przejmować.

– Znakomicie – mężczyzna uśmiechnął się, odsłaniając ostre, kocie ząbki. Naskrobał coś w swojej księdze. – To znaczy, że zwolniła się nam bardzo cenna nieruchomość.

Zatrzasnął okładki.

– Nazywam się Scriddle, jestem sekretarzem Aelthara, Pana Faerie. Jak przypuszczam, jesteście świadomi, że w związku z jawnie złośliwym prawem wydanym przez Amrę, starego Hierofanta, każde rozumne stworzenie urodzone w Krainie Człowieka ma prawo do jednej audiencji u Pana lub Pani innej Krainy, przy czym swym honorem Pan lub Pani gwarantują temu stworzeniu bezpieczeństwo, co najmniej do zakończenia posłuchania, po którym to zdjęte zostają wszelkie prawne zobowiązania i by nie było za pięknie, unieważnione zostają zakłady.

– Nie – odparła Truczna, wzruszając ramionami.

– Teraz już tak – stwierdził Scriddle. – Kto to jest? – Wskazał piórem na ich czwartego towarzysza.

– To Andersen – odparła Ziarnko Pieprzu, podnosząc kota i tuląc go do siebie. – Jaki miły – zauważył Scriddle śmiertelnie poważnym głosem. Obrócił się na pięcie i ruszył w stronę drzwi.

– Idźcie za mną! Pan Aelthar chce się natychmiast z wami zobaczyć!

Wielka sala pałacu Aelthara zaiste wyglądała oszałamiająco, jednak nim Truczna i jej

przyjaciele tam dotarli, tak już zobojętnieli na różne cuda, że nie zrobiła na nich większego wrażenia. Spacer pałacowymi korytarzami dostarczył im nieznanym dotąd widoków, dowodów potęgi i majestatu, przewyższających wszelkie ludzkie dokonania, a ustępujących chyba tylko najwspanialszym dziełom natury. Szli po kryształowych mostach, rozpiętych nad zawrotnie głębokimi przepaściami, do których wpadały wodospady przypominające roziskrzone kolumny. Minęli okrągłe okno, które rozszczepiało światło słońca, zmieniając je w olbrzymią tęczę przed nimi na posadzce. Ujrzeni komnaty ozdobione gobelinami tak cudnymi, że zrobiły wrażenie nawet na Bramie, zawsze pewnie stąpającym po ziemi. Wpatrywali się też w ściennie malowidła, tak wyszukane i zawile, iż trudno było określić, co właściwie przedstawiają.

Były też same faerie: elfy, najady, chochliki, rusałki, błędne ogniki, nimfy i jeszcze mnóstwo innych, których Trucizna nie potrafiła nazwać. Emanowały zimnym, niezemskim urokiem, a gdy ich mijały, ledwie raczyły rzucić spojrzenie na plugawych śmiertelników. Nagle Trucizna poczuła się przeraźliwie brudna, niczym obszarpaniec z bagien, który wtargnął na bal u księżniczki. Krainę Faerie przesyciała doskonałość i piękno, a ludzie, którzy przybyli do tego pełnego harmonii kraju, spoceni i cuchnący, swym istnieniem tylko urażali jego mieszkańców. Świadomość tego mąciła dziewczynie wszechogarniający ją zachwyt.

– Chciałabym stąd odejść, tak samo mocno jak wy chcecie, abym sobie poszła – szepnęła.
– Ale zabraliście moją siostrę i chcę ją odzyskać.

Główna sala – zbudowana z gładkiego, błyszczącego kamienia o zimnoniebieskiej barwie – jak można było się spodziewać, okazała się ogromna. Choć niezbyt szeroka i długa, miała strop na zaskakująco dużej wysokości. Mieściła się bowiem w wąskiej, pustej wieży, której dach, setki metrów nad nimi, był zarazem sufitem.

Ku sklepieniu wznosiły się żebrowane ściany, a przez wysokie, wąskie okna wpadał blask; na wielkim, stojącym na podwyższeniu tronie siedział rozparty Pan Faerie.

Mierzył ponad dwa metry i niczym drapieżny kot roztaczał wokół siebie aurę śmiertelnego rozleniwienia. Włosy miał płomiennorude, co szokująco kontrastowało z bladą skórą, zmierzwiłone i potargane w wystudiowanym nieładzie. Wschodzące słońce odbijało się od jego wypolerowanej srebrnej zbroi, która wyglądała tak, jakby ważyła tyle co powietrze. Kiedy się poruszał, nie wydawała żadnego dźwięku. W twarzy, o zwykłych u faerie pięknych rysach, lśniły jednak twarde, okrutne oczy pełne wzgardy. Przy boku Pana na ozdobnym stojaku opierał się przepiękny miecz, broń tak doskonale sporządzona, że nawet ten, kto nigdy wcześniej nie oglądał miecza, poznałby w nim najlepszy oręż w swoim rodzaju, szczytowe osiągnięcie, jakiego można dokonać, tworząc podobne dzieła.

Wokół stało mnóstwo faerie o niezemskiej urodzie i złowrogich spojrzeniach; przyglądały się, jak Trucizna wraz z towarzyszami zmierza przed oblicze władcy. Za przybyszami szedł Scriddle, wyprostowany, o lśniących, wypomadowanych włosach, a jego wąska, pociągła twarz krzywiła się w obłudnym uśmiechu.

– Aeltharze, mój Panie! – zawołał Scriddle, zginając się w ukłonie. – Tych czworo przybyło z Krainy Człowieka, żądają u ciebie posłuchania, zgodnie z Prawem Amry.

Dziewczyna poczuła, jak panujący w sali chłód staje się lodowaty. Teraz wszystkie oczy skierowały się na nich.

– Czy tak jest? – mruknął Aelthar.

Jego spojrzenie spoczęło na Truciznie, a ona odwzajemniła je z ponurym wyrazem twarzy. Widok owej istoty obudził w niej złość, którą czuła, gdy odebrano jej małą siostrzyczkę, i którą pielęgnowała jako obronę przed obezwładniającym strachem. Mieszkanka bagien znalazła się teraz w samym sercu ziem faerie, jak najdalej od wszelkiej pomocy. W jej położeniu raczej trudno było stawiać żądania, Aelthar mógł też uczynić z nią wszystko, co tylko mu się spodoba, a

ona by go nie powstrzymała. Pierwszy raz zaczęła się zastanawiać, czy postąpiła rozsądnie. Może Azalia już umarła i odeszła? Może wszystko na nic? A może właśnie wkroczyła do paszczy śmierci i nie opuści tej sali żywa? Kapryśne faerie równie dobrze mogły ściąć jej głowę, jak oddać siostrę.

Nie, nie teraz. Nie podczas audiencji. Powstrzymuje ich prawo. Ale potem...

Zresztą było już za późno. Podjęła ryzyko, tak samo jak Bram i Ziarnko Pieprzu, która nerwowo gryzła wargę i poklepywała Andersena.

Pan milczał, aż cisza stała się prawie nie do wytrzymania, wtedy skinął ręką ku przybyszom.

– Cóż, musimy jakoś wytrzymać tę drobną niewygodę – rzekł głosem jak płynna ciemność. – Mówże.

Truczna poczuła suchość w gardle. Próbowwała ułożyć wyważoną, pełną szacunku wypowiedź, ale nie potrafiła. Otworzyła więc usta i rzekła wprost, tak jak umiała najlepiej:

– Twoje Straszycło ukradło moją siostrzyczkę. Przyszedł tu, aby prosić, byś mi ją oddał.

Aelthar przez chwilę patrzył na nią ze szczerym niedowierzaniem, a potem wybuchnął śmiechem. Dołączyli do niego pozostali, otaczając ich okrutną wesołością. Truczna poczuła, jak twarz oblewa jej rumieniec wstydu i złości. Pan Faerie zanosił się śmiechem. Z oczu płynęły mu łzy. Ziarnko skuliła się, a Bram położył na ramieniu Truczny okrytą rękawicą dłoń.

– Nie wpadaj we wściekłość – szepnął.

– Ale dziewczyna już była wściekła. Czują, jak gotuje się w niej furia, ogarniają całą. Odsunęła dłoń łowcy i zrobiła krok ku tronowi.

– Co cię tak bawi?! – wrzasnęła.

Zapadła cisza, tak gwałtownie, że echo jej pytania odbiło się od ścian sali niczym zagubiony duch. Faerie – oraz ich Pan – znów stały się lodowato spokojne, tak jakby nigdy się nie śmiały. Teraz ze złością patrzyły na bezczelnego przybysza.

– Wybacz nam – powiedział Aelthar, nagle robiąc się dobrotliwy. – Ale z was są takie komiczne stworzenia.

– Możecie się śmiać z nas do rozpuku, nie dbam o to – zadziornie odrzekła Truczna. – Ale chcę, byś zwrócił mi moją siostrę w zamian za odmienca, którego u nas zostawiłeś. Słyszałam wiele rzeczy o Panu Faerie, jednak nigdy nie sądziłam, że okaże się złodziejem.

W sali jakby pociemniało. Aelthar rozsiadł się na tronie, jego twarz wykrzywiła złość.

– Uważaj, co mówisz, nędzny robaku. Nie jest kradzieżą branie tego, co już do mnie należy.

– Żaden człowiek do ciebie nie należy! – oburzyła się Truczna. – Może jesteśmy rozproszeni, podzieleni. Może nie mamy przywódców, a twoi poddani opanowali nasze ziemie. Ale nie jesteśmy twoimi sługami; ja jestem Truczną z Mewy, a moja siostra Azalią z Mewy i żaden mieszkaniec Mewy nigdy nie ślubował wierności twojej rasie!

– Czy namyślasz się, zanim zgnieciesz butem bagiennego pająka, Truczno z Mewy? Dbasz o to, czy ryba, którą łapiesz i jesz, ślubowała ci wierność? Panujesz nad nimi. Masz władzę nad ich życiem i śmiercią, taką jaką ja mam nad tobą i twym rodzajem. Ludzie to dla nas tylko zwierzęta, acz owładnięte wielkim poczuciem własnej wartości. Biorę i niszczę je wedle swej woli.

– Twe argumenty są słabe, Władco Aeltharze – odparła nieustępliwa Truczna. – Rozdeptuję bagiennego pająka, bo jeśli tego nie zrobię, ten pająk może ukąsić i zabić mnie albo moich bliskich. Zabijam rybę, bo muszę jeść. Ludzie nie mogą cię zaszkodzić, sam to przyznałeś, a ty nas nie potrzebujesz. Moje zbrodnie są popełniane w imię przetrwania. Twoje nie mają takiego usprawiedliwienia.

Faerie obecne w sali z uwagą przysłuchiwały się rozmowie i oczekiwały teraz kolejnej odpowiedzi Aelthara, ten jednak wykrzywił wargi w dziwnym uśmiechu i zgarbił się na tronie, unosząc brew.

– Masz odwagę. Jestem pod wrażeniem.

I skinął w stronę Scriddle'a, który pospieszył ku niemu i stanął u jego boku. Aelthar szepnął mu coś do ucha, sekretarz cicho odpowiedział i obaj spojrzeli na Truciznę. Wreszcie skryba skłonił się i odszedł.

– Twoja siostra... – powiedział Aelthar, wciąż krzywiąc usta. – Azalia, prawda? Wy, ludzie, nadając sobie imiona, okazujecie niemało czarującej fantazji.

Dziewczyna już nabrała powietrza, aby rzucić jakąś kąśliwą uwagę, lecz powstrzymała się, pamiętając, co się stało, gdy coś podobnego zrobiła w obecności Lampreya.

– Powinniśmy porozmawiać – zaproponował Pan. – W cztery oczy.

Pomachał ręką i nagle zniknął wraz z mieszkanką bagien.

Trucizna przez chwilę rozglądała się wokół ze zdziwieniem, jednak nie dała się wytrącić z równowagi. Dopiero co stała w sali tronowej Pana Faerie, a teraz znalazła się tutaj, na szczycie najwyższej wieży jego pałacu. Wieńczył ją okrągły balkon, nie prowadziły nań żadne schody ani drabina, był niedostępny dla tych, co nie potrafili latać albo korzystać z magii. Dziewczyna stała teraz niezwykle wysoko, jakby balansując na szczycie igły, i niemal dotykała chmur. Widziała stąd całą krainę: najpierw jeziora, dalej lasy i góry, a najdalej błyszczącą linię wybrzeża i maszty okrętów faerie żeglujących po morzach Krainy.

Zimny wiatr rozwiał Truciznie włosy, smagając nimi po twarzy. Odgarnęła je i popatrzyła na Pana Faerie. Mierzył ponad dwa metry, była przy nim jak karzełek. Wspaniały miecz, który wcześniej spoczywał obok tronu, teraz zwisał mu u pasa.

– Dlaczego tu jesteśmy? – zapytała.

– Mam dla ciebie propozycję – odparł. Jego oczy były niczym klejnoty. – A moi poddani nie powinni wiedzieć, że poniżam się do targowania z człowiekiem.

– Słucham – powiedziała Trucizna, puszczając obelgę mimo uszu. Jeśli dzięki temu odzyska Azalię, to zniesie wszelkie jego obelgi.

– Nie jestem pewien, co wiesz, tak więc będę mówił krótko. Kraina Faerie nie jest jedyną, która leży poza granicami twojej. Jest wiele Kmin, a każda z nich ma swojego Pana albo Panią. W swych władztwach jesteśmy wszechmocni, ale poza nimi może nas ugodzić inny władca albo władczyni. Wyjątek stanowi oczywiście twój słaby kraj, on nie ma żadnego przywódcy, o którym warto by wspomnieć.

– Co to ma wspólnego z Azalią? – zapytała Trucizna.

– Wykonasz dla mnie zadanie – odparł. – A gdy to zrobisz, oddam ci siostrę.

Nagle dziewczyna przypomniała sobie słowa Myrrka, które teraz brzmiały dla niej jak przepowiednia: „Myślisz, że Pan Faerie po prostu odda ci siostrę? Nie, będą różne sprawdziany, próby, potyczki; komplikacje, zwroty akcji, odkrycia. Musisz zasłużyć na swoją siostrę”.

– Dlaczego ja? – Wolą stawiać pytania, niż od razu godzić się na propozycję. –

Dlaczego zadajesz się z ludźmi, skoro tak bardzo nami gardzisz?

Twarz Pana wykrzywił grymas zniecierpliwienia.

– Charakterystyczny dla twojej rasy brak magicznych zdolności ma pewien użyteczny efekt uboczny. Możesz niezauważona wchodzić do innych Krain i z nich wychodzić. Jeśli wyślę moje faerie, zostaną schwyte od razu i będzie wiadomo, komu służą. To zadanie jest... tajne.

Wyszczał to słowo, jakby niosło ze sobą groźbę, tak aby nie pozostawić wątpliwości, co się stanie, jeśli dziewczyna go zawiedzie.

Trucizna skrzyżowała ręce.

– Więc co mam robić?

Aelthar przechadzał się po balkonie.

– Kochana Pani Asinastra ma pewien bardzo specjalny sztylet, broń, której ostrze rozszczepia się na dwoje, niczym kły węża. Rzecz to unikalna i bardzo cenna. Chcę ten sztylet. Musisz go dla mnie zdobyć.

– A gdzie on jest?

– W jej zamku. W jej komnatach.

Wyciągnął przed siebie zaciśniętą pięść i rozwarł palce. Odsłoniły małą szklaną kulę wielkości jabłka, tak ciemną, że zdawała się mrokiem. Wyglądała, jakby pożerała światło.

– Rozbij to, gdy tylko zdobędziesz sztylet.

Truczna wzięła od niego kulę. Była zimna jak lód. Schowała ją do kieszeni.

– Co to jest?

Aelthar krzywo się uśmiechnął.

– Zobaczysz. Nie ufasz mi, człowieku?

– Nie jestem głupia. Powiedz mi, co to jest.

Aelthar wzruszył ramionami.

– Nie – odparł po prostu. – Użyj tego, kiedy będziesz miała sztylet, nie wcześniej. Jeżeli nie odpowiadają ci warunki naszej umowy, zawsze możesz zrezygnować.

Truczna spojrzała nań z nienawiścią. Doskonale wiedział, że ona nie ma wyboru. Tylko się z nią drażnił.

– A jak tam dotrę?

– Wyślę cię.

– A jak dostanę się do zamku tej Pani, kiedy znajdę się już w jej Krainie?

– To – rzekł Aelthar, potrząsając swymi płomiennoczerwonymi włosami – jest już twój problem.

Truczna zastanawiała się jeszcze przez chwilę, ale jej serce już zdecydowało.

– Czy ręczysz mi słowem honoru jako Władca, że kiedy wrócę, oddasz mi siostrę?

– Obiecuję – stwierdził z uśmiechem wyższości.

– W takim razie się zgadzam.

– Tak myślałem.

Wiatr zawodził pośród gór, a Bram, przytrzymując kapelusz, oglądał przejście. Za nimi czekał Woźnica, jego twarz zakrywał biały kaptur. Konie poparskiwały i stukwały kopytami. Ziarno skuliła się i zadygotała.

– Tutaj? – zapytała.

Truczna skinęła głową ze śmiertelną powagą.

– Tutaj.

Stali na skalnej półce – wysoko na górskim zboczu – szorstkim występie czarnego kamienia pośród bezmiaru skał i śniegu. Nie widać stąd było innych części Krainy Faerie, tylko niekończącą się procesję okrytych bielą szczytów. Znajdowali się wysoko, przenikał ich więc ziąb i wiatr.

Przed sobą widzieli wąską szczelinę w skale, wysoką raptem na dziesięć metrów i o szerokości ledwie pozwalającej na to, by wcisnął się tam Bram, jeśli, rzecz jasna, przyszyłoby mu coś takiego do głowy. A sprawiał raczej przeciwne wrażenie. W rozpadlinie wisiały gęste pajęczne zasłony, a pośród lepkich nici z drapieżną zrećnością przemykały wrzecionowate, czarne kształty o tłustych cielskach.

– Aelthar powiedział, że Woźnica zabierze nas wszędzie, gdzie zechcemy – przypomniała Truczna. – Żadne z was nie musi tam iść.

Ziarnko spojrzała na Andersena, który siedział z ogonem owiniętym wokół jej nóg i wyglądał tak żałośnie, jak tylko może wyglądać kot. Miauczał smutno, zziębnięty i bardzo z tego niezadowolony.

– To jest właśnie przygoda, prawda? – spytała drżącym głosem.

– Dokładnie tak – odparła Truczna, chociaż bohaterowie znanych jej opowieści zawsze wyglądali na znacznie bardziej pewnych siebie niż ona teraz. No i zazwyczaj mieli co najmniej jeden magiczny przedmiot, którego mogli użyć w odpowiedniej chwili. Przypomniała sobie o kuli w plecaku. Do czego służy? Zupełnie jak w klechdzie Bystrego faerie coś dały, ale nie powiedziały co.

Ziarnko przygryzła wargę, na jej ładnej twarzy pojawiło się wahanie. Przypominała lalkę, która nagle odkryła, że bawiące się nią dziecko już jej nie chce. Nigdy wcześniej nie musiała wybierać swej drogi i wyglądała teraz na zagubioną.

– Bram, a co z tobą? – zapytała Truczna. – Możesz wrócić do domu, jeśli chcesz.

Łowca podrapał się po karku.

– Hm. Sprawa jest taka, że ty i tak wciąż będziesz się tam wybierać, ze mną czy beze mnie.

Dziewczyna przechyliła głowę.

– To prawda.

Bram westchnął.

– No, póki ty będziesz pakowała się jak głupia w kabałę, to przypuszczam, że się od ciebie nie odcepnię. Wszystkie suwereny świata nic nie będą warte, jeśli opuszczę cię, kiedy będziesz mnie potrzebować.

– Nie pochlebiaj sobie – zaśmiała się Truczna. – Wcale cię nie potrzebuję.

Spod krzaczastych brwi posłał jej znaczące spojrzenie.

– Czego tam możesz szukać? – zapytała. – Wcale nie jest mądrze iść ze mną. Mogę to równie dobrze zrobić bez ciebie, przecież wiesz.

– Oczywiście, że możesz – stwierdził łowca.

– Wcale tak nie myślisz! – wytknęła mu, rozzłoszczona.

– Idziemy? – cicho spytała Ziarnko.

Bram i Truczna przestali się kłócić i spojrzeli na nią.

– Co takiego?

– Idziemy? – powtórzyła jasnowłosa. – Andersen marznie.

– To znaczy, że ty też idziesz?

– Zawsze chciałam przeżyć przygodę.

Temu mieszkanka bagien nie mogła już się przeciwstawić.

– Może któreś z was boi się pajaków?

Bram wymruczał, że nie. Ziarnko potrząsnęła głową.

– Ale bardzo nie lubię szczurów – dodała.

– Nie martw się – odparła Truczna. – Myślę, że pająki zjadły wszystkie szczury.

I po tych słowach odsunęła na bok pierwszą zasłonę z pajęczyny, a pozostali ruszyli za nią ku przejściu.

Pająki

W Krainie Pająków panowała ciemność. Niebo miało barwę cętkowanego aksamitu. Dryfowały po nim purpurowe strzępy chmur, od czasu do czasu przesłaniając zimne punkciki odległych gwiazd. Nad tymi ziemiami nie świecił księżyc, ale i tak było równie jasno jak podczas najjaśniejszych nocy w Krainie Człowieka. Wszystko wokół lekko połyskiwało.

Truczna, Bram, Ziarnko i Andersen stali na wysokiej skalnej półce, z której widzieli siedzibę Pani Asinastry. Za sobą mieli wąskie gardło przejścia, gdzie przedzierali się przez tysiące pajęczyn. Teraz zwisały z nich strzępki lepkich nici poruszane lekkim wiatrem. Na samo wspomnienie owego marszu Trucznię przebiegły dreszcze, wciąż nie potrafiła uwierzyć, że we włosach nie ma już żadnych paskudztw. Uznała przy tym, że miała szczęście, nie ugryzło jej bowiem żadne jadowite stworzenie. Bram, który szedł pierwszy, pokazał na rękawicach mnóstwo śladów po drobnych ukłuciach. Stwierdził, że gdyby sięgnęły ciała, pewnie by już nie żył. Jednak dziwnie mało się tym przejął.

Pałac Władczyni Pająków stał wewnątrz ogromnej skalnej niecki, wokół wszędzie sterczały górskie szczyty. Wznosił się pośród gęstego zielonego lasu, na gałęziach drzew rozpięte były pajęczyny, ogromne, skoro dostrzegali je z takiej odległości. Sama budowla składała się z tuzina wież różnej wysokości, ustawionych bez jakiegoś szczególnego planu czy porządku, a połączonych mostami, które też wyglądały na rozmieszczone zupełnie przypadkowo. Baszty zbudowano z czarnego kamienia i otoczono purpurowymi parapetami. Gmach przysłaniały jednak wielkie pajęczne nici, rozpięte między wieżycami i ciągnące się aż do skalnych ścian wokół. Stał pośrodku gigantycznej pajęczyny spowijającej całą nieckę. Grubsze nici łączyły się ze sobą welonami białego lepkiego włókna, delikatnie, niczym żagle, nadymającymi się pod dotknięciem wiatru i wprawiającymi sieć w drgania.

Poza falującą ogromną pajęczyną nic więcej się nie poruszało.

– Może powinniśmy pomyśleć o tym, jak zejść? – zaproponowała Ziarnko, zerkając z półki na wierzchołki drzew setki metrów niżej.

– Możemy schodzić po ścianie – stwierdził Bram. Skała miała wiele występów, doskonałych miejsc do odpoczynku, i była na tyle nierówna, że ręce miały się czego chwycić. – Kota schowamy do mojego plecaka.

Andersen posłał mu urażone spojrzenie, a potem zaczął delikatnie lizać łapkę.

– Jeszcze nie – powiedziała Truczna. – Nie ma pośpiechu. Zjedzmy coś, patrzmy i czekajmy.

– Jestem jak najbardziej za – stwierdził łowca, zrzucił plecak i usiadł.

– Nie podoba mi się ten las – mruknęła do siebie dziewczyna, wpatrując się w oplecioną pajęczynami gęstwinę. – Nie zobaczymy ich, kiedy nadejdą.

Zjedli zimne mięso, chleb i suszone owoce, uznając, że na razie są bezpieczni. Zawsze mogli czmychnąć do szczeliny, zresztą zbliżającego się wroga ujrzeliby na długo przed tym, jak by im zagroził.

Truczna zaczęła się zastanawiać. Iść przez las? Zbyt oczywiste i zbyt niebezpieczne. Jeśli żyły tam pająki na tyle wielkie, aby rozpinać takie pajęczyny, to zamknięci w mrocznej pułapce z drzew nie mieliby większych szans. Musiała istnieć jakaś inna droga.

– Patrzcie! – nagle zawołała Ziarnko, coś pokazując.

Spojrzeli w tamtą stronę i zobaczyli piękne stworzenie przypominające ćmę. Pikowało w dół, znad krawędzi górskiej niecki. Miało ogromne skrzydła, cienkie jak bibuła, niemal przezroczyste. Mieniły się delikatnymi kolorami. Z kruchego, wąskiego tułowia wyrastało sześć nóg oraz podobne liściom czułki, które poruszały się nad okrągłymi oczami, kiedy stworzenie przepatrywało drogę.

– Jakie ładne! – zaśmiała się Ziarnko.

– Nie przywiązuj się do tego za bardzo – ostrzegła Truczna.

Chwilę później jasnowłosa dowiedziała się, co mieszkanka bagien miała na myśli. Ćma leciała wprost na pajęczynę, najwyraźniej niezdolna wykryć tej przeszkody. Ziarnko wstrzymała oddech, kiedy stworzenie poszybowało ku wielkiej nici, grubej jak człowiek. W ostatniej chwili owad chyba coś zauważył i przechylił się w bok, jednak nie zrobił tego wystarczająco szybko. Krawędź skrzydła zaczęła o lepkie włókno i pociągnęła resztę ciała. Uderzyło o sieć i znieruchomiało na niej.

Pająk zjawił się w kilka sekund. Ziarnko patrzyła, jak olbrzymi, bulwiasty potwór wypada z jaskini ukrytej w skale, po czym biegnie nicią ku pałacowi i z powrotem, ale już tym włóknom, na którym uwięzła ćma. Omotywał bezbronną ofiarę, która drżała, gdy ją kąsał. Ćma miotała się rozpaczliwie, aż wreszcie osłabła i zamarła. Czas pewien patrzyli, jak pająk zawija łup w kokon, a potem umieszcza sobie pod brzuchem i targa do jaskini, żeby tam go pożreć.

Bram wyglądał, jakby stracił apetyt.

– Są tak niesamowicie szybkie – wymruczał.

Truczna wyglądała na mniej wstrząśniętą od swych przyjaciół. Wydarzenie podsunęło jej pewien pomysł. Tak, szybkie, dlatego nie pójdziemy przez las. Złapałyby nas w mgnieniu oka.

– No to jak wejdziemy do pałacu? – z żałością spytała Ziarnko.

– Pójdziemy wzdłuż sieci – odparła Truczna.

Bram wyobrażał sobie wiele miejsc, do których mógłby trafić w sile wieku, lecz nigdy nie myślał, że znajdzie się w Krainie Pajaków, pełzną po ścianie klifu, a od strasznej śmierci czającej się pośród rosnących w dole drzew dzielić go będzie tylko warstwa powietrza. Mruczał i mamrotał przekleństwa, gryzł biały wąż, jednak parł naprzód, wsuwał końce butów w kamienne szczeliny, a okrytą rękawicą dłonią chwycił się załomów skały – póki nie stanął na półce, z której biegła pajęczna nić.

Szczęśliwym trafem jedno z wielkich włókien zaczynało się niedaleko miejsca, w którym weszli do Krainy. Truczna szczegółowo przedstawiła towarzyszom swój plan, powodzenie zależało wszakże od kilku czynników, których jeszcze nie znali, tak jak lepkość nici oraz jej wytrzymałość. A również to, kto okaże się cierpliwszy, pająk czy uciekające przed nim muchy?

Łowca z całego serca odradzał ów plan, jednak chcąc nie chcąc ruszył z nimi.

– Jestem najsilniejszym wspinaczem – stwierdził. – A poza tym, im szybciej ci udowodnię, że tak nie da rady, tym lepiej.

Półka była na tyle szeroka, że Bram mógł tu trochę odpocząć, sterczała zaś na tyle blisko nici, iż bez większego trudu dosięgał włókna. Wstrzymał oddech i spojrzał w górę, gdzie stały Truczna i Ziarnko.

– Dotknij sieci! – zawołała mieszkanka bagien. – Delikatnie! Chyba nie chcesz zwabić pająka!

Bram zaklął pod nosem. Po co ona tyle gada? Gdyby przywołał bestię, nie miałby gdzie przed nią uciec. Jeśli dobrze zapamiętał to, co jakiś stary minstrel opowiadał mu kiedyś o strunach, najsłabiej wibrowały, gdy uderzało się je przy końcach. Dźwięk dawało tylko szarpnięcie pośrodku. Miał nadzieję, że tak samo jest z pajęczynami.

Ostrożnie wyciągnął dłoń i położył na włóknie. W najgorszym wypadku po prostu straci rękawicę. Sieć była gruba i sprężysta, czuł wewnętrzną spójność całej konstrukcji. Klej z powierzchni wyciekł mu spomiędzy palców. Przez chwilę opierał rękę na nici, potem spróbował ją cofnąć. Lep trzymał, ale niezbyt mocno. Zapewne służył do łapania stworzeń takich jak ćmy, które – choć rozmiarów człowieka – miały bardzo delikatną budowę i raczej niewiele siły. Spojrzał na sieć, ale nie zauważył śladu pająka.

– Chyba jednak damy radę po tym iść! – zawołał. – Ale bardzo powoli.

Truczna błysnęła uśmiechem.

– Teraz użyj noża! – odkrzyknęła.

Bram rzucił jej rozeźlone spojrzenie i zrobił, co kazała, lekko nacinając włókno. Żeby ostrze weszło w nić, trzeba było trochę popiłować, ale kiedy już mu się udało, spostrzegł, że teraz może oderwać z włókna pojedyncze pasmo, prawie tak łatwo jak z pietruszki natkę.

– I co? – zapytała Truczna.

– To może zadziałać – odburknął. – Zobaczymy, czy się naciąga.

Przyczepił do pasa koniec odciętego włókna i zaczął z powrotem wspinać się na półkę, gdzie czekały na niego dziewczyny. Co kilka centymetrów zatrzymywał się i pociągał włókno, aby bardziej oderwać je od głównej nici. Za każdym razem wstrzymywał oddech, z obawy, że ruch zwabi pająka. Jednak stwór się nie pojawił, a łowca spokojnie dotarł do swych towarzyszek i zmęczony usiadł. Truczna odwiązała od niego przędzę.

– Szalone pomysły zawsze się oplacają – stwierdziła, ważąc w dłoniach lekkie włókno.

– Truczno, tylko w bajkach – przypomniał Bram. – Jeszcze nie nauczyłaś się dostrzegać różnicy?

– A czy jest jakaś różnica? – spytała. – Chodź tutaj. Teraz musimy tylko za to pociągnąć. I przygotować się do biegu.

– Do biegu? Gdzie? – jęknęła Ziarnko.

– Z powrotem do rozpadliny – odparła mieszkanka bagien.

Łowca z ciężkim sercem chwycił włókno. Ziarnko poszła w jego ślady. Wyglądali, jakby zaczęli się bawić w jakieś dziwaczne przeciąganie liny.

– Teraz! – zawołała Truczna i cała trójka szarpnęła ze wszystkich sił. Nić się postrzępiła, ale trzymała mocno. – Puszczamy! – krzyknęła dziewczyna. – I ciągniemy znowu!

Ciągnęli więc i puszczali, a za każdym razem wielkie pajęczce włókno, z którym łączyła się ich nić, drgało coraz mocniej. Najpierw była to zaledwie lekka wibracja, potem już wyraźna, wreszcie...

Ziarnko wrzasnęła, kiedy pająk wyskoczył z jaskini; pomknął na środek sieci, a następnie popędził z powrotem na jej obrzeże. Im był bliżej, tym bardziej zdawał się rosnać z potworną szybkością. Wtedy puścili nić i uciekli do wąskiej rozpadliny, kuląc się wśród ciemności. Stwór dotarł do końca włókna i się zatrzymał. Z bliska wyglądał dosyć dziwacznie. Nad wielkimi szczękami błyszczało ośmioro oczu, a wydęte brzuszysko porastała czarna, ostra szczecina. Odnóża w porównaniu z resztą ciała zdawały się cienkie, a jednak były grube jak ramię Brama. Truczna wiedziała, że gdyby potwór ich dopadł, zginęliby w mgnieniu oka. Ale ich nie złapał, a nawet nie widział, bo czekał, zastanawiał się, rozważał sytuację w swym pajęczym mózgu. Przed chwilą coś się tutaj szamotoło, jednak gdy przybył myśliwy, łup zniknął. Takie rzeczy już się zdarzały, bywało, że jakaś ćma uciekła, zwykle za cenę nogi albo kawałka skrzydła – ale na tyle rzadko, by stwór się do tego nie przyzwyczaił. Bestia na długo zamarała w bezruchu. Truczna czuła, że pająk coś podejrzewa. Wreszcie ruszył z powrotem do swojej pieczary.

Kiedy odszedł, dziewczyna wyjrzała ze szczeliny.

– Chodźcie – powiedziała. – To był dopiero początek. – Chwyciła luźne pasmo, które Bram odciął od głównej nici. Pozostali zrobili to samo.

– Gdzie Andersen? – zapytała, nie chcąc, by kot ich zdradził, gdy pająk wróci.

– Tutaj, na górze – odparł łowca, wskazując na ciemności rozpadliny.

Zwierzak spojrział na nich trochę zawstydzony, z pyszczka wystawały mu cztery pajęcze nogi. Jeszcze się ruszały.

– Stój tam – poleciła.

Andersenowi nie trzeba było dwa razy tego powtarzać.

Znów pociągnęli. Tym razem potwór wypadł z jaskini już za pierwszym szarpnięciem i ledwie zdążyli ukryć się w szczelinie. Pająk musiał obejść się smakiem. Przez chwilę siedział bez ruchu, jakby czekał, aż pojawi się ta niewidzialna ćma. Wreszcie dał za wygraną i wrócił do pieczary.

Robili tak jeszcze kilkanaście razy, wreszcie bestia zrezygnowała z polowania. To Ziarnko za piątym czy szóstym razem spostrzegła, że stwór chodzi coraz wolniej, porusza się ostrożniej, jak gdyby podejrzewał, że płata mu się jakiegoś psikusa, nie chciał znów dać się nabrać. Zdarzyło się nawet, że poczekał w jaskini, aż przestaną szarpać i pomyślał, że już nie przyjdzie, a potem rzucił się ku nim z nienacką. Ledwie zdążyli się wtedy ukryć. Ale pająk miał już dość. Cokolwiek poruszało nicią, nie dało się tego zjeść, zatem przestał się tym interesować. Dla pewności pociągnęli nicią jeszcze sześć razy. Uznali, że ostrożności nigdy za wiele. Gdy już wejdą na włókno, nie będzie drogi ucieczki. Jeśli pająk zaatakuje, zginą.

– Myślę, że jest bezpiecznie – powiedziała Truczna, choć z nutką wątpliwości.

Jednak Ziarnko, drżąc, pokręciła głową. Spotkanie z pajakiem całkiem wytrąciło ją z równowagi.

– Ja nie idę! – zawołała. – Nie idę!

Truczna położyła jej dłoń na ramieniu z niezwykłą dla siebie delikatnością. Jasnowłosa miała jakąś trudną do określenia cechę, która sprawiała, że podchodziło się do niej z troską, a nie ze złością. Była nieśmiała ponad wszelkie wyobrażenie i aż żenująco naiwna. Mieszkanka bagien zamiast rozdrażnienia czuła do niej swoistą sympatię. Ziarnko nie zrobiła nic, aby zyskać jej względy, z wyjątkiem tego, iż ukryła ją przed Maeb, jednak Truczna lubiła tę dziewczynę. Nie wiedziała tylko, dlaczego.

– Nie musisz iść – powiedziała. – I tak dotarłaś daleko, wystarczy.

Swymi fioletowymi oczami popatrzyła na Bramę.

– Ani ty.

Łowca nabrał powietrza, by zaprotestować, lecz nie dała mu dojść do głosu.

– Wiem, co chcesz powiedzieć, ale to jest zbyt niebezpieczne, żeby ryzykować. Po co mamy ginąć oboje? Zresztą jesteś za ciężki. Sama mogę przejść, nie zwracając na siebie uwagi. Ty mógłbyś od razu zaalarmować stwora.

Oczekiwała, że Bram zechce się spierać, on jednak tylko ciężko westchnął. Musiał być naprawdę wystraszony, skoro tak łatwo ustąpił.

– Truczno, rób to, co musisz – mruknął.

– Jeśli wpadnę w tarapaty, to mam jeszcze kulę od Pana Faerie – przypomniała.

– I ona niby ci pomoże? – zapytał łowca. – Nie możesz ufać faerie! Gdy wrócisz ze sztyletem, Pan będzie chciał cię uśmiercić. Ta kula może cię zabić równie szybko jak pająk. Truczno, faerie to oszuści! A ty powierzyłaś mu swoje życie.

– Nie mam wyboru – odparła dziewczyna. – Będę ostrożna. Bramie, nie chcę zginąć.

Uniósł brew i spojrział ku złowieszczej bryle pałacu Asinastry.

– Można by o tym dyskutować – wymamrotał.

Jeśli w domu Kościanej Wiedźmy było źle, to teraz było jeszcze gorzej. Truczna nigdy nie doświadczyła strachu tak wielkiego jak wtedy, gdy wgramoliła się na wielką nić pajęczyny, biegnącą od krawędzi niecki aż ku siedzibie Pani Pająków. Czuła się kompletnie bezbronna. Czołgała się po włóknie na wysokości setek metrów. W każdej chwili, jeśli pająk tylko wyszedłby z kryjówki, mogła ją spotkać okropna śmierć. Zastanawiała się, czy na pewno musi doświadczać tego wszystkiego. Czy warto umierać, próbując ratować życie siostry?

Odkryła, że powoduje nią nie tylko myśl o Azalii, ale jeszcze coś innego. Poczucie, że coś się zaczęło, a koniec jeszcze bardzo daleki. Musi iść przed siebie, bo nie istnieje inna droga. Od dnia, w którym postanowiła opuścić Mewę, ciągle parła do przodu. Nic nie mogło jej zatrzymać, nawet ona sama. To było dziwne uczucie, oszałamiające i niebezpieczne, a ona trzymała się go kurczowo – tak jak teraz pajęczyny – niczym ostatniej deski ratunku, by nie utonąć w rozpacz.

Nić była szeroka jak ramiona Brama, a gruba jak pień młodego drzewa. Gdyby leżała na ziemi, dziewczyna mogłaby po niej iść. Jednak zwisała w czarno-purpurowej otchłani, a z każdej strony czyhała śmierć. Dlatego Truczna pełzła, łapiąc włókno kolanami i łokciami. Musiała spiąć swoje długie czarne włosy i schować je za kołnierz, by nie przylepiły się do pajęczyny, tym jednak najmniej się martwiła. Wydzielina czepiała się zgrzebnego ubrania, utrudniając ruchy. Za każdy razem, gdy Truczna odrywała się od włókna, miała wrażenie, że alarmuje pająka.

Skupiła się tylko na jednym: by powoli przesuwać się po nici. Nie ważyła się spoglądać ku jaskini potwora ani w dół, na drzewa, ani nawet za siebie, gdzie w ciszy patrzyli na nią Bram i Ziarnko Pieprzu. Każda chwila zdawała się groźna jak ostrze wroga. Truczna dotknęła kuli, upewniając się, czy nadal bezpiecznie tkwi w jej kieszeni. Nie chciała jej tutaj roztrzaskać. Ciekawe, czy pęknie, jeżeli ją ściśnie? A jeśli tak, to co się wtedy stanie?

Pytania, pytania – teraz zupełnie niepotrzebne. Przecież nikt nie może jej pomóc. Była już w połowie drogi, pałac zdawał się coraz potężniejszy, jego oplecione pajęczyną wieże godziły w ciemne niebo. Dziewczyna jeszcze nigdy nie czuła się taka samotna.

Szła wciąż do przodu, zatrzymując się co kilka metrów, kiedy jakieś szczególnie mocne szarpnięcie wprawiało nić w drgania. Wpatrywała się wówczas w lepkie białe włókno, nie mając odwagi unieść głowy i sprawdzić, czy pająk się zbliża. Lep dawał jej złudne poczucie stabilności, ale wiedziała, że jeśli zacznie spadać, on jej nie utrzyma.

– Truczna!

Usłyszała swoje imię. To wołała Ziarnko, a po tonie jej głosu domyśliła się, że jasnowłosa nie ma dla niej dobrych nowin. Obejrzała się i zobaczyła, że coś jej pokazuje.

Nad pałacem przez nocne niebo leniwie szybowała kolejna ćma.

Truczna wierzchem oblepionej wydzieliną dłoni starła pot z ust. Ile jeszcze musi przejść? Za dużo. Pokonała mniej więcej trzy czwarte drogi, ale wędrowała dosyć długo. Przed nią wznosiły się wysokie wieże, na tyle blisko, że widziała powybijane szyby i spękane cegły. Wcześniej jakaś inna nić łączyła się z tą, którą właśnie pełzła. Może dałoby się przejść po niej do jednej z baszt?

Nie. Nie ważyła się teraz poruszyć. Spojrzała w stronę pajęczej jaskini i ujrzała to, czego najbardziej się obawiała. Potwór wychynął z pieczary, jego ośmioro ciemnoczerwonych oczu obserwowało zbliżającą się ćmę.

Zbliżającą się do Truczny.

Dziewczyna usiłowała stać się niewielką, niewidzialną, ale owad najwyraźniej ją wyczuł i chciał sprawdzić, co to właściwie jest. Truczna nie miała pojęcia, co jedzą ćmy, ale podejrzewała, że wygląda jak wyjątkowo tłusta larwa. Gdyby ćma lubiła mięso, zaczęłyby się kłopoty. A jeżeli wpadnie w sieć, pająk zaraz ją złapie – i nie tylko ją.

Mieszkanka bagien chciała krzyknąć, aby odstraszyć owada, lecz mogła w ten sposób

zwrócić na siebie uwagę bestii. Pozostawało jej tylko trwać bez ruchu i mieć nadzieję, że wszystko dobrze się skończy.

Owad był coraz bliżej, mieszkanka bagien czuła na skórze powiew, skutek ruchu cieniutkich skrzydeł. Sześć nóg prężyło się, a okrągłe oczy rozglądały podejrzliwie. Choć stwór nie miał zębatej paszczy, Truciznie nie dodawało to otuchy. Ćma była tak duża, że mogła ją schwytać.

Nagle dziewczyna przypomniała sobie, że te owady są bardzo delikatne, tak słabe, iż nie poradzą sobie z tym klejem.

I wpadła na pomysł. Sięgnęła za ramię, do plecaka, i wyciągnęła pierwszą rzecz, jakiej dotknęły palce: jabłko. Ćma leciała wprost na nią, kręciła czułkami. Trucizna cisnęła w nią owocem.

Efekt był zdumiewający. Jabłko przebiło skrzydło tak łatwo jak arkusz papieru; stwór zapiszczał i poderwał się, potężnie machając skrzydłami. Trucizna musiała przywrzeć do nici, żeby nie dać się strącić. Ranna ćma nie mogła latać. Wirowała w szalonych spiralach, pikowała ostrymi łukami, nie potrafiła utrzymać wysokości – wreszcie runęła na sieć w pewnej odległości od dziewczyny. Pająk od razu wyskoczył z jamy, by tym razem nie dać umknąć zdobyczy. Mieszkanka bagien stłumiła jęk, widząc, jak ogromny, bulwiasty potwór przesuwa się po nici tak charakterystycznym dla swego gatunku ruchem. Minęło kilka chwil i znalazł się przy ćmie. Zaczął ją kąsać jadowitymi kłami, powoli i systematycznie. Owad po krótkiej szamotaninie wyraźnie osłabł. Wkrótce poddał się i całkiem przestał się ruszać.

Ale pająk nie oplótł go kokonem, jak zwykł to robić. Zamarł jak wtedy, gdy dawał się oszukiwać Truciznie i jej towarzyszom. Nasłuchiwał albo głęboko się nad czymś zastanawiał. Warował nad truchłem ćmy, oparty na kilku pojedynczych włóknach. Nie ruszał się.

On wie, że jestem tutaj, pomyślała dziewczyna, czując, jak ogarnia ją panika. Wie albo przynajmniej podejrzewa.

Czy może ją zobaczyć? Wątpiła, żeby pająk miał tak dobry wzrok, wcześniej ani razu nie spostrzegł ich w rozpadlinie. Ale czy ją wyczuwał? To już zupełnie inna sprawa. Z siecią coś się działo i stwór był tego świadom.

Zaczął z wolna się obracać. Dziewczyna zmartwiała ze strachu, kiedy zatrzymał się, paszczą zwrócony w jej stronę.

Szczęki poruszyły się niepewnie, badając powietrze. Ośmioro oczu patrzyło wprost na Truciznę.

Zachowywała się tak spokojnie, jak tylko umiała. Ale coś go przyciągało. Tylko co?

Odpowiedź była okrutnie prosta. Bicie serca. Gdyby dziewczyna potrafiła uciszyć łomotanie w piersi, zrobiłaby to bez namysłu. Pająk stał blisko niej i wyczuwał te drgania poprzez sieć. Zdradziło ją jej własne serce.

Jednak stwór nie znał takiego odgłosu, któremu nie towarzyszyło też szamotanie, typowe dla schwytanego owada. Wciąż niepewny tego, co mówiły mu zmysły, przesunął się odrobinę do przodu. Trucizna musiała walczyć ze sobą, by nie krzyknąć. Teraz bestia była już tylko kilka metrów od niej, tak blisko, że dziewczyna widziała włosy na wydętym brzuszysku i krawędzi szczęk. Sięgnęła do kieszeni po kulę, jednak bała się jej użyć. Aelthar kazał ją rozbić, dopiero kiedy będzie już miała sztylet. Czy odważy się sprzeciwić jego poleceniom, skoro nie wie, czego się spodziewać po tej kuli?

– Hej! – z daleka dobiegł krzyk Brama. – Hej! Tutaj!

Łowca i Ziarnko zaczęli jednocześnie pociągać za włókno, łączące się z nicią, po której szła Trucizna. Pająk stanął dęba i rzucił się do przodu. Dziewczyna omal nie krzyknęła, kiedy błyskawicznie się do niej zbliżył, ale on ją minął, przesuając się dalej po sieci. Gdy leżała, cała

drżąc, po prostu nad nią przeszedł.

Uniosła się, wiedząc, że to jedyna szansa na ucieczkę i musi z niej skorzystać, nim potwór wróci. Po lewej i prawej stronie wznosiły się dwie rozpadające się wieże pałacu. Tak szybko, jak tylko potrafiła, zaczęła pełznąć ku bliższej baszcie, nie dbając już o to, by zachowywać się cicho. Zmierzała do wąskiego, wybitego okna, ziejącego nad pajęczyną. Zerknęła na pająka, który dotarł na koniec nici i wiedział już, iż znów wystrychnięto go na dudka. Gdy Truczizna czołgała się po lepkiem włóknie, wisząc nad przepaścią, zobaczyła, że potwór się odwrócił. Tym razem wyczuwał ją bardzo dobrze, miotła się bowiem jak schwytyany owad.

– Truczizno! On nadchodzi! – wrzasnęła Ziarnko.

Ogarnięta nagłym przerażeniem, mieszkanka bagien skoczyła na równe nogi. Bardziej od upadku lękała się teraz tylko pajęczych szczęk. Dlatego zaczęła biec po nici. Włókno lepiło jej się do stóp, ale było na tyle szerokie, że z niego nie spadła.

Dotarły do niej wibracje pajęczyny, usłyszała krzyk jasnówłosej i poczuła, że potwór coraz szybciej przesuwa ku niej swoje wielkie cielsko.

Skoczyła do okna, wpadając w jego najeżoną szklanymi zębami paszczę, a ułamek sekundy później usłyszała, jak bestia z hukiem wali w mur. Potwór tak zajadle ścigał wymykający mu się łup, że nie zauważył przeszkody. Truczizna przez chwilę czuła dławiący strach, nie wiedziała bowiem, czy po drugiej stronie okna nie ma przepaści albo schodów, o które można pogruchotać kości. Upadła jednak na posadzkę, ale z taką siłą, że aż zaparło jej dech, przed oczami zamigotały gwiazdy, a potem była już tylko ciemność.

Władczyńi Pająków

Kiedy się ocknęła, pająka nie było.

Uniosła głowę znad zimnego kamienia, wyjmując z ust kosmyki swych długich czarnych włosów, które jakimś cudem tam się dostały. Najpierw się zdziwiła; potem, gdy wróciła jej pamięć, poczuła ulgę. Komukolwiek służyła kiedyś ta izba, teraz panował w niej mrok, wokół rozpiwały się pajęczyny i prócz Truczizny nikogo tu nie było. Resztki połamanych mebli okazały się świetnymi kryjówkami dla licznych w tej Krainie pająków, szczęśliwie normalnych rozmiarów w przeciwieństwie do monstrum, które niedawno omal jej nie zabiło.

Wstając, skrzywiła się. Jak długo już tu była? Jej zebra płonęły bólem, zdawały się tak kruche, jakby mógł złamać je najlżejszy dotyk. Na podłodze widniał cienki ślad zaschniętej krwi ze skaleczonej kostki, rozciętej odłamkiem szkła. Truczizna uznała, że ma szczęście, iż poza tym nic się jej nie stało. Kula w kieszeni jakimś cudem również przetrwała.

Otrzeptała się z kurzu; obejrzała ramiona i nogi – żadnych więcej ran. Westchnęła, widząc rozdarte ubranie. Choć toporne i niezgrabne, jak wszystkie stroje z bagien, lepsze było w jednym kawałku.

Dobrze, pomyślała spokojnie, im prędzej się z tym uporam, tym szybciej opuszczę to miejsce.

Podwinęła rękawy, nie chcąc, by jej zawadzały, i ruszyła na poszukiwania.

Wkrótce odkryła, że pałac Asinastry to wielka ruina, w dodatku całkiem opuszczona. Przez długie godziny wędrowała korytarzami, znajdując tylko skruszone mury, poblakłe gobeliny, stare meble oraz pajęczyny, mnóstwo pajęczyn. Najpierw chodziła czujnie; nim odważyła się wejść do jakiegoś pokoju, skradała się i ostrożnie zerkiała do środka. Kiedy poczuła się już pewniej, zachowywała się śmieiej, przestała się bać bestii, których najwyraźniej tu nie było. Aż wreszcie rozpaczliwie zapragnęła ujrzeć kogokolwiek i z trudem powstrzymywała się, by nie zawołać: niech ktoś do mnie przyjdzie.

Były wprawdzie pająki: duże, maleńkie, śmiertelnie niebezpieczne i całkiem niegroźne, pająki, które się chowały, i pająki, które skądś wyskakiwały. Truczizna dawno już do nich przywykła, nawet te jadowite nie robiły na niej większego wrażenia. Wychowała się na Czarnych Bagnach, gdzie trujące było dosłownie wszystko, co się ruszało. Nie miała innego wyjścia, jak nauczyć się ich unikać albo radzić sobie z nimi, gdy wchodziły jej w drogę.

Tyle pająków. A gdzie są muchy? – zastanawiała się.

Ciekawe. Od kiedy opuściła Mewę, spotkała się z wieloma dziwacznymi rzeczami.

Zagadki Lampreya, niesamowite, jakby wyjęte wprost z bajki. Myrrk ze swoimi niedorzecznościami, który, jak twierdził, nie jadł od stu lat. Oczywiście, Myrrk mógł być zwykłym szaleńcem, Lampreya także, ale obaj wyglądali na takich, którzy wiedzą, o czym mówią. Obaj też dyskretnie ostrzegali ją przed skutkami czynów niezgodnych z tym, co winien robić ktoś taki jak ona. Twierdzili, że są przykładami tego, co się dzieje, jeśli ktoś schodzi z wyznaczonej mu ścieżki. Nie przepadali też chyba za stawianymi wprost pytaniami.

A teraz, w tym miejscu, z milionami pająków, ale bez jednej muchy Truczizna zastanawiała się, czym właściwie żywią się owe stworzenia, i przypomniała sobie to, co usłyszała

od Myrrka na temat Hierofanta i jego niedbałości o szczegóły. Kim był Hierofant i dlaczego rybak przypisywał mu taką władzę, wierzył, iż decyduje on o wszystkim za niego? Czy zagadka pajaków i much należała do tego samego rodzaju łamigłówek? Trucizna dociekała też, jaki to wszystkim miało związek z nią?

Tego było zbyt wiele naraz. Dziewczyna ledwie dawała sobie radę z ogarnięciem rzeczy, z którymi przyszło jej się ostatnio zmierzyć, z oszałamiającą nowością świata, w który wkroczyła ledwie kilka krótkich tygodni temu. A może wcześniej? Czas nie płynął już tak jak dawniej. W ciągu tych godzin, które spędziła na ziemiach Krainy Faerie, jej ojciec i Rosiczka mogli już poumierać ze starości, ale ona nie chciała o tym rozmyślać, by nie popaść w szaleństwo.

Nie. Nie ważyła się rozmyślać o tym, co działo się w domu. Co się wydarzyło, jeśli wiadomość, przekazana tej opryskliwej dziewczynie zmierzającej w stronę Mewy, nigdy nie dotarła do ojca i macochy? Co, jeśli ojciec nigdy nie dowiedział się, dlaczego jego starsza córka bezpowrotnie zniknęła, na resztę życia zostawiając mu ciężar opieki nad podmieńcem?

Azalia. Musi skupić się na Azalii. Ona jest jej celem i przyczyną jej wyborów. Ma odzyskać siostrę.

Przez jakiś czas odpoczywała, zjadła też jabłko, które wyjęła z plecaka. Trochę żałowała, że drugim rzuciła w ćmę. Jedynymi dźwiękami w pałacu były teraz odgłosy chrupania i odbijające się chwilami echem skrzypnięcia albo stukoty, kiedy się poruszyła. Mogła być sama w całej tej Krainie. Pewnie się w niej zgubiła.

Wreszcie wstała i znów ruszyła na poszukiwania. Nie czuła się senna, choć ostatni raz porządnie wyspała się przed kilkoma dniami. Cóż, kolejna oznaka dziwnego upływu czasu na tych obcych ziemiach. Zastanawiała się, jak długo jeszcze będzie wędrować po tych skąpanych w ciemności korytarzach, zanim na coś trafi lub coś trafi na nią. Czy sztylet dla Aelthara gdzieś w ogóle tu jest? I gdzie teraz jest Pani Asinastra?

Mijały kolejne godziny, aż wreszcie coś znalazła. Nie bardzo jednak wiedziała co.

Na środku każdej mijanej komnaty układała stos potrzaskanych mebli, kamieni albo czegoś podobnego, tak aby zaznaczyć kierunek, w którym wędrowała. Nie mogła pozbyć się wrażenia, że chodzi w kółko. Ale najwyraźniej tak nie było, bo ani razu nie trafiła ponownie na swoje drogowskazy, co ją jeszcze bardziej przygnębiało. Znaczyło to, że budowla jest po prostu gigantyczna. Ruszyła w górę kręconymi schodami, a dalej korytarzem aż do izby, w której ujrzała martwą kobietę.

Przynajmniej wyglądała na martwą. Trucizna nie miała zaufania do swoich zmysłów. Lecz bez wątpienia ciało oplatała pajęczyna, tkwiło zaś na wielkim drewnianym tronie, jak można się było domyślić, od bardzo dawna nie przesuwany. Kobieta garbiła się, ręce opierała na poręczach, nogi zaś miała rozłożone. Okrywała ją podarta suknia, której mijające wieki odebrały kolory. Długie, brudne czarne włosy odsłaniały twarz na tyle, aby widać było, iż zakrywa ją woalka spływająca z czoła aż do podbródka. Najgorzej wyglądał ogromny, rozdęty brzuch. Martwa czy żywa, kobieta na pewno była brzemienna.

Komnatę zagracały różne stare, popleśniałe, choć kiedyś drogocenne rzeczy. Tak jakby cały pałac opróżniono z kosztowności i wszystkie zniesiono tutaj. Trucizna, wędrując po nim, nie znalazła niczego cenniejszego niż stół, a teraz zobaczyła wielkie bogactwo zebrane, aby niszczało. Starożytne zbroje porozrzucane po kątach, wspaniałe miecze oddane na pastwę rdzy, malowidła w złotych ramach, poblakłe i z plamkami pleśni, stopy monet zzieleniałych przez długie lata. I wszędzie pajęczyny, ale, co dziwne, żadnych pajaków.

Dziewczyna tak się przyzwyczaiła do stale postrzeganego kątem oka szybkiego człapania ośmionogich stworzeń, że teraz ich brak aż ją zaniepokoił.

A potem wzrok mieszkanki bagien spoczął na czymś, co sprawiło, że serce zabiło jej

mocniej. Sztylet, którego ostrze rozszczepiało się na dwoje, jak kły węża. Pociemniały, ale nie zardzewiały, wystawał z rogatego hełmu, opleciony grubą warstwą pajęczyny. Nie miała wątpliwości: to był sztylet dla Aelthara.

Jeszcze raz zerknęła w stronę trupa, ale jej uwagę przyciągała niezwykła broń. Cichaczem przemknęła przez ciemny pokój, wciąż nieufnie spoglądając na martwą kobietę: a nuż najmniejszy szmer ją obudzi? Niezdrowa ciekawość zachęcała Truciznę, aby dotknęła ręki trupa i przekonała się, że jest niegroźny. Ale ukryte w niej dziecko protestowało, lękając się, że zwłoki zaraz się na nią rzuca.

– Nie myśl o niej – powiedziała do siebie. – Weź sztylet.

Schyliła się do rozsypującej się zbroi, której części łączyły już tylko grube, białe wiązki pajęczyn nici. Ostrze sztyletu godziło w nią z wnętrza hełmu. Nie umiając oprzeć się pokusie, by nie zerkać nerwowo na nieruchomą postać, przytrzymała hełm i przez lepłą masę przędzy sięgnęła po broń, wzdrygając się z obrzydzenia.

Cały czas miała wrażenie, że lada chwila poczuje na ramieniu mrowie pajaków rozwścieczonych niszczeniem sieci. Będą łązić po niej, wplątywać się we włosy. Ale nic takiego się nie wydarzyło. Wyciągnęła dłoń po rękojeść sztyletu, namacała ją i ostrożnie wyjęła. Przez kilka długich sekund patrzyła na broń, ważąc ją w dłoni. Potem odetchnęła, wstała i odwróciła się.

Trup zniknął.

Przebiegły ją lodowate ciarki: zniknęło coś, co nie powinno się w ogóle ruszać. Pajęczyny były rozerwane tam, gdzie wcześniej siedziała martwa kobieta, ziała w nich wielka, poszarpana dziura. Dziewczynę ogarnęła panika, głęboko zakorzeniony w każdym człowieku strach przed umarłymi. Rozejrzała się z rozpaczą, ale w pokoju nie było nawet śladu po zwłokach. Wycofując się, potknęła się o wystającą płytę i runęła na wznak, zgniatając plecak. Upadek nie bolał, prowiant i ubranie złagodziły wstrząs. Ale gdy otworzyła oczy, wrzasnęła.

Kobieta była na suficie. Jej chude palce łapały kamień z taką łatwością, jak gdyby pełzła po podłodze. Kręciła głową, przekrzywiając ją pod niemożliwym dla człowieka kątem, a jej matowe czarne włosy zwisały w dół razem z brudną woalką. Po chwili woalka się zsunęła i dziewczyna mogła spojrzeć trupowi w oczy, jednolicie czarne perły, takie jak oczy podmieńca, którego zostawiła w Mewie. Ich spojrzenie ją sparaliżowało.

Kobieta nagle puściła się stropu i skoczyła wprost na Truciznę. Wszystko w dziewczynie krzychało, pragnęła rzucić się w bok lub choć zasłonić twarz. Ale jej mięśnie były bez życia. Nieznajoma wylądowała lekko, na opuszkach palców, i na czworakach przeszła nad Trucizną. Zbliżyła twarz do jej twarzy, tak że dzieliły je ledwie centymetry. Przycisnęła ją też obrzmiałym brzuchem. Dziewczyna zadrżała ze zgrozy, jednak nie potrafiła oderwać wzroku od tych czarnych, pustych, paraliżujących oczu.

<złodziiiiiej>

Głos był okropnym chrypieniem, sepleniącym i dziwacznym, jak gdyby wydobywał się z ust nie nawykłych do ludzkiej mowy. Oddech kobiety cuchnął zgnilizną i czymś ostrym. Włosy zwisały wokół twarzy na policzki Trucizny, zostawiając na jej skórze zakurzone pasemka pajęczyny. Dziewczyna z przerażającą pewnością uświadomiła sobie, że to Pani Asinastra, przed którą nikt i nic jej nie obroni.

<mąż powiedział mi> <o niej?> <o tej> <pani wiedziała, że przybędziesz> <ja?> <ja, władczyni pajaków>

Trucizna ledwie słyszała i rozumiała te słowa, całą uwagę skupiła na ciemnej otchłani drążącego ją spojrzenia, na oczach, które zdawały się wnikać w nią i odbierać wolę. Tylko po części była świadoma nienormalnego rytmu wypowiedzianych przez kobietę zdań, pytań, które

zdawała się sama sobie zadawać, i odpowiedzi na nie.

<mąż nie odważy się przyjść> <wie, co zrobi pani> <tak, on wio <gdy narodzi się dziedzic> <czyż on nie będzie piękny?> <piękny dziedzic krainy>

Mąż? Trucizna wciąż nie rozumiała, jaki mąż?

<mąż strzeże pałacu> wymamrotała Asinastra, jak gdyby usłyszała myśli swego więźnia <mąż dał mi dziecko>

Dziewczyna próbowała pokręcić głową, zaprzeczyć temu, co właśnie usłyszała, jednak jej mięśnie tylko lekko drgnęły. Władczyni chyba nie miała na myśli tego monstrum na zewnątrz? Nie miała na myśli pająka?

Asinastra ujęła dłoń Trucizny i położyła sobie na brzuchu. Mieszkanka bagien próbowała się opierać, jednak kiedy spojrzenie Pani przykuwało jej własne, brakło jej sił. Przez chwilę niczego nie czuła, potem pod suknią coś niespokojnie drgnęło, coś wstrętnego, wielkiego, o wielu nogach. Do oczu napłynęły jej łzy szoku i przerażenia. Asinastra puściła jej rękę.

<dziecko>

Trucizna nie wykrztusiłaby teraz z siebie ani słowa, nawet jeśli nic by jej w tym nie przeszkadzało.

<ona chce sztyletu> powiedziała Pani, a Trucizna spostrzegła, że wciąż ścisła broń, choć teraz żadnego nie miała z niej pożytku <nasz sztylet?> <mój sztylet> <do czego ona go chce?> <ona nie wie?> <może ona wie> <wiesz?>

Cisza, która zapadła po tym bełkotliwym monologu uświadomiła Truciznie, że ostatnie pytanie skierowane było do niej. Nie umiała jednak odpowiedzieć.

<kto ją wysłał?> <kto cię wysłał?>

Dziewczyna znowu bezskutecznie próbowała przemówić. Tym razem Asinastra zorientowała się, o co chodzi. Zmrużyła oczy, a mieszkanka bagien poczuła, że ucisk w gardle zelżał.

<mów>

Trucizna odetchnęła.

<mów!>

– Chcę audiencji – zaskrzeczała. – Zgodnie z Prawem Amry.

Asinastra wrzasnęła ze złością, odskakując jak oparzona. Dziewczyna, której nie paraliżowało już spojrzenie niesamowitych oczu, poczuła, że opuszczają słabość. Uniosła się z wolna, po chwili stanęła na nogach, Pani zaś, sycząc, krążyła po pokoju.

<ona chce audiencji> <zgodnie z prawem?> <prawem!>

– Nie wolno ci zrobić mi krzywdy – upomniała ją Trucizna, przywołując słowa Scriddle'a. – Swym honorem, Pani, gwarantujesz mi bezpieczeństwo.

<och, ona myśli, że jest taka mądra> <okropnie mądra> <ale nie jest jeszcze tak mądra> <możemy czekać> <mogę czekać> <gdy audiencja się skończy> <pani dostanie ją w swe ręce> Ale Trucizna nie miała najmniejszego zamiaru być tu po zakończeniu audiencji. W jednej dłoni nadal trzymała sztylet, drugą sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła kulę: zimną czarną gałkę od Aelthara.

Przypomniała sobie słowa Brama, brzmiące teraz jak przepowiednia: „Ta kula może cię zabić równie szybko jak pająk. Trucizno, faerie to oszuści! A ty powierzyłaś mu swoje życie”.

<co tu przyniosłaś?> wychrypiała Asinastra, zerkając zza włosów <co ona przyniosła?>

Nie było wyboru. Trucizna uniosła kulę i w nagłym przebłysku złośliwości zdecydowała, że teraz odplaci Aeltharowi za całe zło, które jej wyrządził. Zebrawszy odwagę, rzekła:

– Pani Asinastro, jestem złodziejem wysłanym przez Pana Faerie.

<aelthar!> <aelthar!> zawyła kobieta <złodziej> <zło...>

Więcej Truczna nie usłyszała; cisnęła kulą o twardą kamienną posadzkę, a kiedy glob się roztrzaskał, wylała się z niego czerń i pochłonęła wszystko. Pobrmiewające echem wrzaski Władczyni Pająków cichły gdzieś w oddali.

Kłopot z faerie

Gdy Truczna otworzyła oczy, zobaczyła, że stoi w pięknej, pełnej ozdób komnacie. Zamrugła. Minęło kilka chwil, zanim otrząsnęła się z zaskoczenia, potem jeszcze kilka, nim całkiem doszła do siebie. Teraz już rozpoznawała ozdoby. Znowu byli w pałacu Władcy Faerie.

U jej stóp zamiauczał Andersen.

– Och, nic ci nie jest! – zawołała Ziarno Pieprzu, obejmując Trucznię.

Dziewczyna odruchowo odwzajemniła uścisk, wciąż oszołomiona. Kula sprowadziła ich z powrotem – i to wszystkich razem. Bram też tutaj był, wyraźnie niezadowolony, że jego świat nagle wyrócił się do góry nogami. Bawił się wąsem, starając się otrząsnąć z Szoku po niespodziewanej magicznej podróży.

Truczna czuła, jak ogarnia ją fala ulgi. Aż do teraz lękała się, że Aelthar spróbuje jakiejś sztuczki. Wyglądało na to, że mimo wszystko chyba jej nie oszukał. Jednak naraził ją na udrękę niepewności, odmawiając wyjaśnienia, do czego służy kula – i tego dziewczyna nie potrafiła mu zapomnieć. Nawet jeżeli ją ocaliła. Nic dziwnego, że zakazał jej używać, nim Truczna zdobędzie sztylet. Nie przejmował się losem mieszkanki bagien. Po prostu chciał mieć pewność, że wróci z łupem.

Drzwi otwarły się i szybkim krokiem wszedł Scridde, otoczony gromadą chochlików, które w pośpiechu przekazywały mu raporty i polecenia. Tak jak wcześniej rzucał im rozkazy, a gdy dotarł do ludzi, odpędził wszystkie skinieniem ręki. Wyszczrzył w uśmiechu swe ostre zęby, przygładził włosy, a potem wyciągnął rękę.

– Jak sądzę, masz coś dla Pana Aelthara – powiedział do Truczny.

Spojrzała na sztylet.

– Gdzie on jest? – spytała.

Scridde'owi zadrżały kąciki uśmiechniętych ust.

– Przygotowuje się do niezwykle ważnego spotkania – odparł.

– Dobrze, powiedz mu więc, że zanim mu to dam, chcę odzyskać moją siostrę.

– Człowieku, najwyraźniej nic nie rozumiesz – rzucił Scridde wyszczierzając zęby. – Do pałacu przybyło już trzech Władców, reprezentujących trzy Krainy, każdy ze swoją świtą, swoimi zachciankami i osobistymi potrzebami, a ja mam obowiązek dostarczyć każdemu wszystko wedle jego gustu i potrzeb. Dlatego jestem bardzo zajęty!

– W takim razie nie będę cię popędzać – uprzejmie odrzekła Truczna. – Powiedz Aeltharowi, że poczekamy, aż skończy, a potem porozmawiamy o wymianie tego sztyletu na moją siostrę.

Scridde westchnął.

– Zabawna dziewczynka. Wy, ludzie, macie naprawdę wygórowane mniemanie o sobie. To Kraina Faerie, ziemie mojego Pana. Nie będziecie się z nim targować.

Uniósł dłoń, a w niej sztylet.

Palce Truczny zacisnęły powietrze, ze zdumieniem popatrzyła na swoją rękę i ujrzała, że nóż z niej zniknął.

Scridde odwrócił się na pięcie i ruszył do wyjścia.

– Będziecie tu czekać, póki mój Pan nie zdecyduje, co z wami zrobić – rzucił przez ramię. Potem zatrzasnął drzwi i przekręcił klucz w zamku.

– No to pięknie – powiedziała Ziarnko, przerywając ciszę. – Cóż za podłość.

– Co z nami zrobią? – zapytał Bram. – Nie podobają mi się te słowa. Tak nie mówi ktoś, kto chce postąpić uczciwie.

– Nie, tak nie mówi. – Truczna rozejrzała się po pokoju. – Zaczynam myśleć, że lepiej, by nas tutaj nie było, gdy Scriddle wróci.

– Jesteś pewna? – zapytała jasnowłosa. – A co, jeśli miało to znaczyć, że odda ci siostrę?

– Powinien tak zrobić, zwłaszcza po tym wszystkim, co przeszłam – odparła dziewczyna.

– Ale czułabym się lepiej, gdybyśmy nie byli tu zamknięci. Powinniśmy się stąd wydostać i go odnaleźć. Nie pozwolę, by uważał, że może nas ot tak po prostu zbyć. Ma u mnie dług.

W spojrzeniach, które Ziarnko i Bram wymienili za jej plecami, czaiły się bardzo złe przecucia, ale oboje znali ją na tyle dobrze, by głośno o nich nie mówić.

Truczna napała na drzwi, bardziej z braku innego pomysłu niż z nadzieją, że ustąpią. Potem rozejrzała się po komnacie. Okazało się, że ta izba jest nie tylko bogato zdobiona, ale i niezłe z niej więzienie. Jeśli nie brać pod uwagę drzwi, to wyjść można było tylko łukowatym oknem, przez które właśnie wyglądała Ziarnko.

– Strasznie wysoko – stwierdziła jasnowłosa. – Ale jest gzyms.

– Gzyms? – spytała Truczna, spiesząc go obejrzeć. Jednak nadzieja szybko znikła. To, co Ziarnko nazywała gzymsem, było tylko szeroką na kilka centymetrów falbaną z kamienia, otaczającą basztę. Dziewczyna spoglądała na dojmująco piękną krainę jezior i usiłowała się zastanowić.

– Może dalej jest jeszcze jedno okno – zasugerowała jasnowłosa.

Truczna westchnęła. Niebawem, jak ona wszystko upraszcza.

– Zapewne. Ale co nam po tym, skoro nie możemy do niego dojść.

– My nie, ale Andersen tak.

Wszyscy spojrzeli na kota. Nie przysłuchiwał się ich rozmowie i nagle spostrzegł, że patrzą nań wyczekująco. Jak zaszczuty, uciekł do kąta. Nie lubił być obiektem zainteresowania.

– Możesz? – zapytała Truczna. – Możesz przejść po tym gzymisie?

Już przyzwyczaiła się do rozmów z Andersenem, zwracała się do niego jak do człowieka.

Zwierzak przybrał pełną dostojeństwa pozę i urządził pokaz: spokojnie lizał łapkę, a potem czyścił futrzasty łebek. Truczna spojrzała na Ziarnko, która wzruszyła ramionami, jakby mówiąc: on już taki jest.

Wreszcie, gdy Andersen uznał, że czekali wystarczająco długo, pomknął ku oknu i wskoczył na parapet. Wyjrzał, popatrzył na gzyms, a potem na Trucznię. Choć trudno sobie wyobrazić kota okazującego niedowierzanie, właśnie coś takiego zobaczyła. Tak wyraźnie, jakby otworzył pyszczek i zapytał: i ty oczekujesz, że będę po tym chodził?

– Dobra, jeśli nie potrafisz tego zrobić, to znajdziemy jakiś inny sposób – oświadczyła Truczna.

Andersen poczuł się urażony. Łechtanie dumy było chyba dobrym sposobem na tego zwierzaka. Ostrożnie postawił łapkę na gzymisie, a chwilę później cały się na nim znalazł w zgrabnym ni to skoku, ni susie. Dziewczyna mogłaby przysiąc, że widziała, jak kot otwiera pyszczek i mówi: po prostu nie wierzę, że to robię. Po czym ruszył wzdłuż gzymsu szybkim truchtem. Póki nie zniknął im z oczu, Ziarnko przygryzała wargę ze zdenerwowania.

– Och, mam nadzieję, że nic mu nie będzie – westchnęła.

Truczna chciała powiedzieć jej coś miłego, podnieść ją na duchu, ale z natury była oschła. Ona i Ziarnko krańcowo się od siebie różniły. Jasnowłosa zdawała się słodka i zenująco

naiwna, dziewczyna z bagien – twarda, podejrzliwa i samodzielna. Jednak Truczna okazywała Ziarnku niemal siostrzaną troskę. Ze wstydem przypominała sobie, że omal nie zostawiła jej w domu Maeb. Teraz czuła się za nią odpowiedzialna jako ta, która z ciemnej siedziby Kościanej Wiedźmy wyciągnęła ją na światło dnia. Ziarnko potrzebowała opiekuna, a mieszkanka bagien ze zdziwieniem odkryła, że podoba jej się taka rola.

Ale chodziło nie tylko o to. Zazdrościła Ziarnku jej niewinności, pogodnego usposobienia. Wychowała się wśród groźnych mroków Czarnych Bagien, lecz jasnowłosa na pewno miała nie mniej przykre dzieciństwo. A jednak, dorastając, tak bardzo się różniły. Truczna czasem chciała być tak beztroska, nie dźwigać tyłu zmartwień. Ale wiedziała, że może sobie o tym tylko pomarzyć. Ścieżka cynizmu wiodła w jedną stronę i kto na nią wstąpił, nie miał już odwrotu.

Czekali. Czas mijał. Mieszkance bagien brakowało cierpliwości. Zaczęła rozmyślać o innych sposobach ucieczki, na wypadek gdyby Andersenowi się nie powiodło. I tak, gdy tylko odszedł, zwątpiła, czy kot w ogóle może coś zrobić – nawet jeśli wydostanie się na wolność. Kto może im pomóc? I co zdoła uczynić takie małe zwierzątko?

Wciąż się nad tym zastanawiała, kiedy usłyszała drapanie po drugiej stronie drzwi.

– Andersen! – krzyknęła Ziarnko, podbiegając do nich. Bram i Truczna ruszyli za nią. Chwilę później drapanie ucichło. Coś zagrzecotało.

– Co to? – spytała jasnowłosa.

– Klucz – domyślił się Bram. – Tkwi w zamku po drugiej stronie.

Klucz, uderzony przez kota, znowu szczęknął.

– On nie da rady go przekreślić – powiedziała Truczna. – Musimy go wypchnąć.

Andersen miauknął z aprobatą.

Szybko znaleźli coś, co się do tego nadawało – szpic na świecę z kandelabra, na tyle długi i cienki, by zmieścić się w zamku – i bez trudu wypchnęli klucz. Usłyszeli, jak z brzękiem spada na posadzkę. Chwilę potem zachrobotał na podłodze. Zwierzak przesunął go w ich stronę. Ziarnko klasnęła z radością, gdy Truczna podniosła klucz, włożyła do zamka i otworzyła drzwi. Andersen, zadowolony z siebie, siedział przed nimi i mył się. Jasnowłosa wzięła go na ręce, zmierzwiła mu futerko, głaskała go i mruczała. Mieszkanka bagien patrzyła na to z zażenowaniem.

– To nie jest zwykły kot – raz jeszcze stwierdził Bram.

– No, chyba nie masz nic przeciwko temu – odparła Truczna.

Spojrzeli na pusty korytarz wyłożony takim samym pięknym jadem, jak niemal cały pałac Pana Faerie.

– Gdzie teraz? – spytał łowca.

Mieszkanka bagien spojrzała na kota.

– Jak sądzę, nie dasz rady znaleźć Aelthara? – zagadnęła. Nauczyła się nie przepuszczać żadnej sposobności do skorzystania z usług czworonoga.

Andersen wyskoczył z ramion Ziarnka, otrząsnął się i zamiauczał.

– Chyba mówi, że da radę – stwierdziła jasnowłosa.

– O, jak to dobrze – z sarkazmem rzucił Bram.

Już wcześniej Truczna odkryła, że ten kot jest co najmniej dziwny, ale ostatnie pół godziny sprawiło, iż uznała go za fenomen. Miał niesamowitą zdolność odnajdywania właściwej drogi. Bez wahania wiódł ich przez labirynt korytarzy, w górę i w dół schodów, nieuczęszczanymi przejściami, dzięki czemu spotykali niewielu przechodniów.

Minęli kilka faerie – przynajmniej z początku – ale one z pogardą udawały, że ich nie widzą, co zresztą Truciznie bardzo odpowiadało.

Wreszcie dotarli do małych, niepozornych drzwi we wnęce pustego korytarza. Andersen najwyraźniej chciał, aby przez nie przeszli, zatem tak zrobili i znaleźli się w wąskim korytarzu, przez który przecisnąć się mogła tylko jedna osoba. Odległe kraty przepuszczały nieco światła, wyglądały jak kwadraty blasku lśniące pośród czerni.

– Gdzie my jesteśmy? – zapytał Bram.

Truczna zamknęła za sobą drzwi, pograżyli się w jeszcze głębszej ciemności.

– Chyba między ścianami.

– Między ścianami – powtórzył powoli łowca.

– Taki duży budynek musi mieć kanały wentylacyjne między komnatami – wyjaśniła dziewczyna. – Żeby można było je wietrzyć. Nawet faerie muszą oddychać. W każdym razie większość z nich.

– Skąd to wszystko wiesz? – zapytał Bram, trochę zdenerwowany swoją niewiedzą.

– Pamiętasz, jak wspominałam ci bajkę o księciu i tygrysach? W jej dalszej części było o tym, jak książę skorzystał z systemu wentylacji pałacu, aby dostać się do księżniczki. Kierował się przy tym wonią jej pachnideł. I porwał ją spod samego nosa wezyra.

– To takie romantyczne! – pisnęła Ziarnko.

– Kiedyś opowiem wam tę historię w całości – przyrzekła z powagą Truczna.

– Chyba powinniśmy jej wysłuchać – kwaśno stwierdził Bram. – Wygląda na to, że to nie tyle bajka, ile poradnik, jak przetrwać w trudnych sytuacjach.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Łowca był bardzo bliski prawdy.

Jakże zdołałaby wyrazić dziwne uczucie, że od kiedy opuściła Mewę, wokół niej ożywały fragmenty czytanych kiedyś baśni?

– Na pewno wiesz, gdzie idziesz? – zapytała Andersena.

Kot miauknął urażony.

– On przywędrował do domu Maeb z Krainy Faerie – przypomniała jasnowłosa. – Zna drogę.

– Chcesz powiedzieć, że kiedyś tu był? W pałacu?

Ziarnko wzruszyła ramionami.

– Czemu nie? Wygląda na to, że doskonale wie, dokąd iść, hm? Mógł mieszkać tu latami. Ale nigdy mi o tym nie mówił.

– Naprawdę? – Truczna zapytała Andersena.

Zwierzak wszakże wolał zachować to w tajemnicy.

Nadał ich prowadził. Wąski korytarzyk ciągnął się i ciągnął, zdawałoby się całymi kilometrami, skręcał i wił się. Nie minęło wiele czasu, a zgrzali się, spocili i umorusali, ocierając się o ściany. Coraz to, na różnej wysokości, pojawiały się ozdobne, kute kraty wywietrzników. Zobaczyli przez nie kuchnię – pełną chochlików o szpiczastych ząbkach, spierających się, jak przyrządzać jedzenie, i przeklinających jak szewc – i izbę wysadzaną klejnotami i tak bogato zdobioną złotem, że od blasku aż bolały oczy. Przez kratę pod stopami zobaczyli też korytarze ogromnej biblioteki. Andersen wciąż ich popędzał, sycząc niecierpliwie, gdy zwalniali.

To właśnie przez ten pośpiech Truczna nie zauważyła od razu, że gdzieś zgubili Ziarnko Pieprzu. Drżąc ze strachu, zatrzymała Brama, chwytając go za ramię. Andersen potruchtał do tyłu, by sprawdzić, co się dzieje.

– Czekać tutaj – szepnęła mieszkanka bagien, świadoma, że faerie w komnatach mogą zza krat usłyszeć ich głosy. – Poszukam jej.

Znalazła jasnowłosą już za następnym rogiem. Palce zaciskała na kunsztownie wykonanej kratce i wyglądała przez nią, stojąc na czubkach palców. Truczna podeszła do niej.

– Co ty robisz? – szepnęła.

– Spójrz tylko – wymruczała Ziarnko rozmarzonym głosem. – Ona jest taka piękna. Księżniczka. Jak w bajce.

Truczna przewróciła oczami, a potem żartobliwie szturchnęła jasnowłosą w bok. Ale kiedy popatrzyła na kobietę, natychmiast spoważniała.

Wyglądała jak sen, jak marzenie, które przekradło się do rzeczywistości. Wysoka i szczupła, o doskonałym owalu twarzy i włosach opadających strumieniami bieli oraz złota. Falowały lekko, kiedy się poruszała, układały i wiły, jak gdyby żyły własnym życiem. Miała na sobie białozłotą suknię, dopasowaną do wiotkiej figury, z lekkiego jak powietrze materiału, skrzącego się niczym wodna mgiełka u stóp wodospadu. Skóra nieznanym była mlecznobiała, nieludzko piękna, rysy zaś obce, kobiece i niekobiece zarazem, tak gładkie, jak gdyby owa istota została wyrzeźbiona, a nie zrodziła się z łona matki. Jej oczy przypominały jeziora bezkresnego błękitu, nieskalane źrenicami, były jak wiosenne niebo o świcie.

Truczna ledwie mogła oddychać. Kobieta faerie wręcz hipnotyzowała swoim wyglądem. Stała w komnacie samotnie, jakby czekała na coś lub kogoś, i nawet jej najłżejsze ruchy przejmowały pięknem. Westchnęła, a zabrzmiało to jak jesienny wiatr szeleszczący opadłymi liśćmi, jak trzepot skrzydeł ptaków podrywających się do lotu. Truczna gubiła się w domysłach, kim jest ta istota, dlaczego tu jest i na co czeka. Wreszcie zniecierpliwiona porzuciła te myśli. Nie miała czasu na podobne bzdury. Znieczuliła się na kuszący widok nieznanym, chwyciła Ziarnko za przegub i odciągnęła od kraty. Jasnowłosa cicho burknęła, ale nie stawiała oporu. Dołączyły do Brama, obie jednak czuły się tak, jak gdyby jakaś ich część pozostała tam z tyłu, jakby porzucając takie piękno, zdradziły same siebie.

– No co, nagapiłyście się? – łowca od razu sprowadził je na ziemię.

Jeszcze długo szli korytarzem, zdawało im się, że cały wiek. Gdy Andersen wreszcie się zatrzymał, a oni wraz z nim, czuli się kompletnie wyczerpani. Kot usiadł przed kratą, wyglądającą tak samo jak dziesiątki innych, ledwie widoczną pośród ciemności. Truczna przykucnęła obok i wyjrzała zza prętów.

Zobaczyła szykownie urządzone izbę, obwieszoną nieskazitelnymi w swym pięknie gobelinami, na których przedstawiono różne sceny bitewne. Komnata była pusta.

Dziewczyna się skrzywiła. – Andersen, dlaczego... – zaczęła, ale głos zamarł jej w gardle, gdy usłyszała zbliżające się kroki. Rzuciła kotu podejrzliwe spojrzenie i nadal przyglądała się pokojowi.

Dobrze wiedziała, kto zaraz wejdzie, jeszcze nim go zobaczyła. Andersen świetnie znał drogę. Musiał wędrować tymi korytarzami już od zamierzonych czasów.

Do izby wkroczył Aelthar, a razem z nim Scriddle, usłużny i sprytny sekretarz. To były prywatne komnaty Pana Faerie.

– Scriddle, zamknij drzwi – rzucił Aelthar. Był zły i wyraźnie zniecierpliwiony.

Sługa wykonał polecenie.

– Musimy ułożyć jakiś plan – nagle stwierdził władca, przechadzając się po izbie. – To nie może dłużej trwać.

– Zgadzam się – odparł sekretarz, kiwając podłużną głową. – Trzeba coś zrobić.

– Ludzie! – parsknął Władca.

Truczna zadrżała ze strachu.

– Mój Panie, zaiste ze wszech miar są denerwującym robactwem – wtórował mu Scriddle. – Mogę spytać, czy twe sekretne narady z innymi Panami przyniosły już jakieś owoce?

– Ha! – z goryczą zawołał Aelthar. – Kiedyż to ktoś z nas był zdolny do zgody w jakiegokolwiek sprawie? Grugaroth wciąż ma żal o Myghognimar, ledwie wytrzymuje ze mną w tym samym pomieszczeniu. Umbilicus jest tak przesadnie ostrożny, że na nic się nie przyda.

Tylko Gomm ma wolę i siłę, by połączyć się ze mną w tej sprawie, ale to jest jak próba okiełznania byka łańcuchem. On nie rozumie żadnych subtelności.

Truczna czuła, że Ziarnko przyciska się do niej, usiłując dojrzeć, co się dzieje. Przesunęła się trochę, aby zrobić jej miejsce.

– Co jest? – spytała jasnowłosa.

Mieszkanca bagien ją uciszyła.

– Mój Pan nie powinien być tak przygnębiony – rzekł Scriddle, unosząc brwi nad okrągłymi okularami. – Wciąż zostaje jeszcze sprawa naszej wizyty u Hierofanta. Będą tam wszyscy Panowie i wszystkie Panie, z każdej Krainy. I wielu boi się tego, co zamierza Hierofant. Czują się bezbronni.

– Jasne, że się lękają! Kto wie, co teraz będzie. – Aelthar nagle przeszedł przez izbę i stanął nieopodal kraty, przez którą wyglądały Truczna i Ziarnko.

Jasnowłosa już miała krzyknąć ze strachu, gdy rękawica Brama zatkała jej usta.

– Ależ dziwnie to wszystko urządzone – dumiał Pan Faerie. – Ludzie są najpodlejszymi istotami w Krainach, a mimo to jeden człowiek może wywołać taką panikę. Co w nich takiego jest, Scriddle? Dlaczego tylko oni mogą zostawać Hierofantami?

Sekretarz milczał przez chwilę.

– Może mają coś, czego nie posiadają inni – zasugerował wreszcie.

– A co to może być? – zaśmiał się Aelthar, mierzwiąc swe płomiennorude włosy. –

Całkowita niemożność wzajemnej współpracy? Skłonność do długich, bezsensownych, morderczych walk, do niszczenia własnego gatunku? Przysięgam, nawet zwierzęta z ich Krainy cenię sobie wyżej. Przez egoizm i barbarzyństwo roztrwonili swój dar rozumu. Pewnego dnia, gdy utracą swego cennego opiekuna, moje armie pomaszczą na ich ziemię i zgładzą ich co do jednego, a za ten czyn wszyscy inni obwołają mnie bohaterem. – Głośno stawiając kroki, pomaszczował na drugą stronę komnaty i zawołał: – To robaki!

– Mój Panie! – Scriddle poprawił okulary i chrząknął z zakłopotaniem. – Czy wolno mi przypomnieć, że sam jestem na wpół człowiekiem?

– I wielka szkoda – odparł Aelthar. – Gdybyś był czystej krwi faerie, mógłbym uczynić cię swą prawą ręką, a nie tylko sekretarzem. Scriddle, masz wszystko, czego mi potrzeba, tylko nie czystą krew.

– To dla mnie zaszczyt zająć tak wysoko w twojej służbie, mój Panie – rzekł sługa unizonym tonem. – Nie proszę o więcej.

– Świetnie – odparł władca, biorąc kilka oddechów, by się uspokoić. – Musimy zebrać orszak. Zwołaj ich w bibliotecę. Natychmiast ruszamy do zamku Hierofanta.

– Jest jeszcze jedna sprawa – rzekł Scriddle. W jego dłoni pojawił się notatnik.

– Co takiego? Och, czyżby ci ludzie?

– W rzeczy samej.

– Czy muszę ci to w ogóle mówić?

– Lękałem się, że źle odgadnę twe intencje i popełnię błąd – odpowiedział gładko.

– Zabij ich, Scriddle. Zabij ich, oczywiście.

Truczna poczuła, że krew zastyga jej w żyłach.

– Tak właśnie myślałem – odparł sekretarz i zamknął notatnik. Potem obaj wyszli z komnaty.

Ziarnko i Truczna stały w wąskim przejściu i patrzyły na siebie.

– Zabić nas? – jęknęła blondynka.

– Na tym właśnie polega kłopot z faerie – mruknął Bram. – Możesz im ufać dopiero, gdy znajdą się dalej, niż możesz splunąć.

– Dowiedzą się, że uciekliśmy! – zawołała jasnowłosa; im większa ogarniała ją panika, tym cienie piszczała. – Będą nas szukać!

– Nie martw się, Ziarnko – odparła Truczna, jej fioletowe oczy błyszczały pośród gęstej ciemności. – Nas już tu nie będzie.

W jej głosie zadźwięczała stal. Truczna wstrząsnęły słowa Władcy Faerie. Nie dlatego, że obawiała się o swe bezpieczeństwo, ale dlatego, iż dowiedziała się, że od początku zamierzał ich oszukać. Nigdy nie miał zamiaru oddać Azalii. Do tej pory wszelkie plany Truczny opierały się na założeniu, że Aelthar dobrowolnie zwróci jej siostrę. Teraz nadzieja ta okazała się płonna. W jednej chwili dziewczyna znalazła się na skraju rozpacz. I wtedy wpadła na pomysł, który nie pozwolił jej się załamać. Jeżeli Pan Faerie nie odda Azalii, ona sama ją odbierze. Chwytając się wszelkich dostępnych środków i sposobów. I choć była zbyt słaba, by zagrozić komuś tak potężnemu jak Aelthar, wiedziała teraz, że i on kogoś się obawia.

– Nas już tu nie będzie? – powtórzył Bram. – A gdzie będziemy?

– Słyszałeś, co mówił: idą do zamku Hierofanta – powiedziała dziewczyna. – A ja i tak muszę zamienić z nim słówko. Z tego, co tutaj słyszeliśmy, wynika, że tam będziemy bezpieczniejsi niż gdziekolwiek indziej. Hierofant przynajmniej jest człowiekiem.

– Chcesz, żebyśmy wmieszali się w orszak Pana Faerie? – upewnił się Bram.

– Bystrzak z ciebie – odparła Truczna. – Właśnie tego chcę.

Łowca przez chwilę się zastanawiał.

– Niestety, nie mam lepszego pomysłu – burknął wreszcie.

– Doszliśmy już tak daleko, co to dla nas poskradać się trochę? – dziewczyna uśmiechnęła się szeroko, dla dodania otuchy klepiąc go po ramieniu. – Jak myślisz, będzie to bardzo trudne?

U jej stóp Andersen miauknął z sarkazmem.

Opowieści

Zamek Hierofanta wznosił się na skalistej górze, mając czernią na tle smaganego burzą nieba. Deszcz siekł po otaczających go szczytach, pokrywając ciemnych chmur od czasu do czasu podświetlała iskra błyskawicy, potem przetaczał się grom, cichnący w końcu gdzieś w oddali.

Warownia była jedynym śladem życia w tej posępnej Krainie. Rozsiadła się, masywna i samotna, na całym szczycie: wieżyczki, gzymsy, iglice i baszty z czarnego kamienia, jak sama góra. Twierdzę postawiono na nierównym gruncie i ona także była nierówna, oddając krzywizny surowej skały. Zachodnie skrzydło zamku leżało niżej od głównej części warowni. Na tle mrocznego nieba forteca była cieniem z jeszcze głębszej czerni. Płonęły w niej rozliczne oświetlone okna – jak gwiazdy stworzone ludzką dłonią i rozrzucone wśród burzy.

Truczna zamierzała po kryjomu wmieszać się w orszak Pana Faerie, wkrótce jednak przekonała się, że nie musi tego robić. Mniemając wedle ludzkich prawideł, wyobrażała sobie tę świętę jako karawanę wozów, przypominających wehikuł, którym wędrowali po Krainie. Okazało się jednak, że na drogach łączących różne światy nie obowiązywały zwykłe miary odległości.

Pamiętając słowa Aelthara, wrócili korytarzem do miejsca, gdzie zza kraty widzieli ogromną bibliotekę. Bram, po kilku chwilach wysiłku i szarpaniny, wyrwał pręty. Wkradli się do środka, gramoląc się po półkach do jednego z tarasów otaczających salę. Tam znaleźli miejsce, gdzie ukryli się i czekali na Aelthara, który wkrótce się zjawił.

Truczna poczuła, jak opuszcza ją nadzieja. Orszak Władcy tworzyło tylko z dziesięcioro faerie: czworo strażników oraz najady, rusalki i driady. Był tam również Scriddle, jak zwykle podskakujący nerwowo. Bez wątplenia odkrył już, że ludzie wymknęli mu się z pułapki. Truczna zastanawiała się, czy powiedział o tym Aeltharowi.

Niewielka satysfakcja z przykrości, jaką wyrządziła skrybie, nie łagodziła odczuwanego przez nią zawodu. W najlepszym wypadku mogli mieć nadzieję, że uda im się śledzić faerie i zobaczyć, dokąd zmierzają.

Kiedy tak na nie patrzyli, Pan zbliżył się do wielkiej księgi, która leżała zamknięta na stojaku przy końcu alejki między regałami. Tom był olbrzymi, oprawny w wyblakłą czerwoną skórę, karty miał pożółkłe ze starości. Władca otworzył go bez ceregieli, znalazł odpowiednią stronę i na głos zaczął czytać. Truczna wyciągnęła szyję, by lepiej się temu przysłuchać, ale słowa były w jakimś nieznanym jej języku. Dopiero kiedy Andersen cicho syknął, zorientowała się, co się właściwie dzieje.

Kot zjeżył wąsy i przywarł do podłogi; skrył się pod Ziarnkiem Pieprzu, jakby z obawy, że sufit runie mu na głowę. Jasnowłosa skuliła się, jej włosy się nastroszyły, jakby przebiegł je prąd. Powietrze zdało się gęstnieć, Truczna spostrzegła, że trudno jej oddychać. Bram krzywił się ponuro pod szerokim rondem kapelusza, wąsy mu drżały. Czuli, że wokół zbiera się jakaś energia drażniąca zmysły, o których istnieniu nie mieli dotąd pojęcia. Nagle wszystko jakby się sprężyło. A potem wróciła normalność. Truczna odetchnęła z ulgą.

– Co się stało? – wymamrotał Bram. – Jakież sztuczki faerie?

– Być może – odparła dziewczyna. Patrzyła, jak Aelthar zamyka księgę, potem wychodzi z biblioteki, a jego orszak zbiera się i rusza za nim.

– Chodźcie – powiedział łowca. – Nie wolno nam spuścić ich z oka.

Szybko zeszli na dół biblioteki. Ale faerie zdążyły już wyjść przez wielkie, podwójne wrota. Kroki ludzi odbijały się echem pośród ciszy, tłumione przez półki zastawione pełnymi wiedzy foliarami. Kiedy dotarli do drzwi, Truczna uchyliła je nieco i wyjrzała na zewnątrz. Zastanawiając się nad czymś, zerknęła na przyjaciół. A potem pchnęła wrota. Wyszli z biblioteki i znaleźli się w całkiem odmiennym miejscu.

Było to rozgałęzienie korytarzy w kształcie litery T. Samo w sobie nie dziwiło, dawał jednak do myślenia fakt, iż teraz widzieli zupełnie inne wnętrza. Zniknął piękny jasek i rzeźbione ozdoby, których napatrzili się w rezydencji Pana Faerie. Wokół piętrzyły się przepiękne ściany z bloków czarnego kamienia. Nawet powietrze było inne, chłodniejsze, bardziej wilgotne. Usłyszeli nieustający, cichy pomruk. Bram pochylił głowę; nasłuchując w skupieniu, starał się określić źródło tego dźwięku. Wreszcie gdzieś nad nimi przetoczył się wściekły huk gromu – i po prostu lunął deszcz.

Truczna skojarzyła dziwne uczucie przemieszczania się, doświadczone w bibliotece, z nagłą zmianą otoczenia i pogody. Wniosek okazał się równie zaskakujący, co radosny.

– Jesteśmy na miejscu – powiedziała.

– To znaczy gdzie? – spytała Ziarnko, próbując namówić Andersena, by wyszedł z kąta, gdzie schował się wystraszony grzmotem.

– W zamku Hierofanta – oznajmiła dziewczyna.

– W rzeczy samej – rozległ się czyjś głos. – A ja czekam na was już od pewnego czasu.

Odwrócili się, aby zobaczyć, kto to mówi, ale Truczna już wiedziała, jeszcze zanim zobaczyła tego starego, chudego mężczyznę. Choć teraz miał na sobie piękną szatę, a nie podniszczone ubranie, w którym go zawsze widywała, jego głos poznałaby nawet z zamkniętymi oczami. Tyle przecież czasu spędziła, wsłuchując się weń, gdy w tamtej chacie, w Mewie, opowiadał historie o cudach i tajemnicach.

– Bystry! – zawołała z niedowierzaniem.

– Truczna! – starzec uśmiechnął się szeroko, gdy rzuciła mu się w ramiona i mocno uścisnęła. – Spokojnie! Bo połamiesz mi żebra!

W kominku trzaskał ogień. Andersen drzemał na dywanie, jego ciało delikatnie unosiło się i opadało.

Truczna, Bram i Ziarnko Pieprzu siedzieli w fotelach ustawionych w małym, przytulnym pokoju. Były nieco wytarte i podniszczone, ale wciąż całkiem wygodne. Łowca prawie usnął, rozleniwiony zjedzonym właśnie ciepłym i smacznym posiłkiem. Popijali z kubków gorącą czekoladę – chyba niczego lepszego Truczna i Ziarnko nie zakosztowały. Tam, gdzie się wychowywały, strawa była bardzo skromna.

Obok siedział Bystry, spoglądając na nich dobrotliwie. Pykał z ozdobnej wodnej fajki. Komnata przypominała jego izbę w Mewie, tam gdzie spędzał długie godziny na rozmowach z fioletowooką dziewczynką. Był tu ogień, fotele oraz ściana zastawiona grubymi tomami, kopalnią wiedzy. Wszędzie walały się pergaminy i zeszyty. Bystry wyraźnie należał do tych ludzi, którzy otoczenie zawsze urządzają po swojemu.

Truczna westchnęła z zadowoleniem. Od kiedy opuściła dom, po raz pierwszy czuła się naprawdę bezpieczna. Tak bardzo nie chciała psuć radości tej chwili, że powstrzymywała się, by nie zarzucić przyjaciela pytaniami cisnącymi się jej na usta. Opowiedziała za to o swojej wyprawie: teraz ona miała dla niego historię i tym razem wszystkie wydarzenia na pewno były prawdziwe, co więcej, ciekawsze od baśni. Na zewnątrz szalała burza, ale pośród grubych murów zamku Hierofanta jej furia nie wydawała się groźna.

– Odpowiedzi – rzekł Bystry po jakimś czasie, blask płomieni pogłębił cienie na jego

pomarszczonej twarzy. – Sądzę, że oczekujesz odpowiedzi.

Bram poruszył się leniwie. To nie była w końcu jego sprawa. Truczna niechętnie odwróciła się w stronę starca; jakiegokolwiek miał dla niej odpowiedzi, mogły zburzyć ten spokój. Ziarnko z błogością smakowała czekoladę i całkowicie ją to pochłaniało.

– Co się dzieje w domu? – zapytała Truczna. – Zaczynij od tego.

– Wiem niewiele więcej niż ty – odparł przepraszającym tonem. – Opuściłem wioskę kilka dni po tobie. Twój ojciec i macocha... trudzili się. Przy podmieńcu. Pomagały im kobiety z wioski.

– A co z dziewczyną? Dziewczyną z wiadomością?

– Jaką dziewczyną?

Truczna opowiedziała Bystremu o nieznajomej spotkanej w Przedmurzu, której przekazała wieści dla ojca.

– Jeśli ona w ogóle tam dotarła, to już po moim odejściu.

Fioletowooka poczuła, jak ogarnia ją smutek. Już samo to, że Bystry mówił tak zwięźle, znaczyć mogło, iż sprawy nie mają się dobrze. Czy zresztą mogło być inaczej? Skończyła temat, uznając, że woli nie wiedzieć.

– Truczno, nie znałem całej prawdy o Lampreyu – wyznał starzec. – Przepraszam.

Gdybym tylko wiedział, jak bardzo jest niebezpieczny...

– Dlaczego po prostu nie zabrałaś mnie ze sobą? – przerwała mu znużonym głosem. –

Skoro jesteś tutaj, wygląda na to, iż bez problemu możesz opuścić Krainę Człowieka...

Dlaczego... Dlaczego chciałaś, żebym przez to wszystko przeszła?

– Nie mogłem postąpić inaczej – odparł przepraszającym tonem. – Nie mogłem. Nie w ten sposób. Musiałaś pójść własną drogą. Wszystko, co mogłem zrobić, to wskazać ci dobry kierunek.

– W rzeczy samej – z sarkazmem zauważyła Truczna. Lamprey, Myrrk, a teraz Bystry. Miała już dość niejasnych i wymijających odpowiedzi. – Bystry, po prostu powiedz mi, kim ty właściwie jesteś.

I starzec powiedział. Jego głos łagodnie wpadł w spokojny, gawędziarski rytm, którym usypiał dziewczynę, kiedy była jeszcze dzieckiem.

– Jest nas wielu. Nie wiem, ilu. Od czasu do czasu się spotykamy, jednak raczej pozostajemy w cieniu. Ci, którzy nas znają – a nie jest ich wielu – zwą nas Antykwariuszami. Myślę, że to równie dobra nazwa jak każda inna.

Z chrząknięciem i cichym trzaskiem rozprostował plecy, a potem usiadł głębiej w fotelu i przysunął sobie fajkę. Rozluźnił się, ulegając nastrojowi.

– Jesteśmy biografami Krain – ciągnął. – Zbieraczami żywotów. My nie tylko gromadzimy opowieści, ale też się nimi opiekujemy, obserwujemy je, a kiedy trzeba, pomagamy im, by dalej się rozwijały. Antykwariuszy nie ogranicza ani pochodzenie, ani lojalność wobec władcy; powołanie może poczuć każdy, człowiek albo faerie, troll albo karzeł czy też przedstawiciel każdej innej rasy. Wchłaniamy gawędy, opowieści, mity i legendy naszych ludów, a także patrzymy, jak tworzą się nowe. Wszystko zapisujemy i przechowujemy tutaj, w zamku Hierofanta.

Przerwał, chcąc dodać opowieści większego dramatyizmu, pociągnął z fajki, a potem wypuścił cienką smużkę aromatycznego dymu. I szeroko gestykulując, dodał:

– Te mury skrywają historię stworzenia, od czasu gdy powstały Krainy aż do dnia dzisiejszego. W naszych bibliotekach leżą świadectwa wszystkich ważnych rzeczy, które kiedykolwiek powiedziano, pomyślano albo uczyniono.

Truczna szeroko otworzyła oczy.

- To niemożliwe! – mruknęła.
- Hierofant decyduje o tym, co jest, a co nie jest możliwe – pouczył Bystry.
- Pokaż mi ją – odparła dziewczyna.

Biblioteka zamku Hierofanta wyglądała po prostu niewiarygodnie.

Truczna jeszcze nigdy nie widziała tylu książek naraz, była oszołomiona i zafascynowana, a przecież jeszcze tak wiele było ukrytych przed jej wzrokiem. Wielka Biblioteka stanowiła bowiem labirynt korytarzy i przejść, tak licznych i poplątanych, że nie sposób było określić, dokąd sięga. Korytarz, w którym stali, miał sześć tarasów, jeden nad drugim, ginących gdzieś w górze pośród nieprzeniknionego mroku – a każdy wyznaczał jeden poziom książnicy. Razem siedem poziomów, jak objaśniał Bystry, zbudowanych wedle różnych planów, dlatego dziwacznie łączyły się ze sobą. Gdziekolwiek sufit wisiał nisko, tylko trochę wyżej, niż sięgała głowa, czasem zaś wznosił się wysoko, mieszcząc pod sobą mosty rozpięte między regałami. Korytarze wiły się jak żywe. Truczna miała wrażenie, że znalazła się wewnątrz gigantycznego węża o żebrach z pólak.

- Jak jest duża? – spytała zadziwiona.

– Wierz mi, wielkość nie ma znaczenia – odparł Bystry. – Biblioteka nie jest ograniczona murami ani nawet barierami oddzielającymi Krainy. Sięga każdego miejsca, w którym przechowuje się książki. Te przejścia doprowadziłyby was do każdej biblioteki w Krainach, gdybyście wiedzieli, czego szukać.

Truczna zapragnęła, by Bram i Ziarnko Pieprzu byli tu razem z nią i też to oglądali, oni jednak woleli drzemać w fotelach.

- Mogę zobaczyć jakąś książkę? – zapytała. – I jak odnajdujesz tu drogę?

Bystry roześmiał się.

– Spokojnie, jedno pytanie naraz. Odnajdywanie drogi w bibliotece jest częścią nauk, jakie musimy pobrać, aby zostać Antykwariuszami. Pozwól, że powiem tylko, iż że nie jest to proste. Dlatego, Truczno, uważaj, by się nie zgubić. No, a teraz pewnie chcesz zobaczyć książkę? Zaraz coś ci znajdę.

Dziewczyna mszyła za nim mrocznymi korytarzami Wielkiej Biblioteki. Na ścianach w równych odstępach świeciły latarnie, jednak książnica była zbyt ogromna, aby mogły przewyciężyć ciemność. Dziewczyna zdziwiła się, kiedy je ujrzała, ale starzec zaraz wyjaśnił:

– Nie martw się. Jest tutaj więcej magii, niż zdołałabyś ogarnąć rozumem. Nie mogłabyś podpalić żadnej z ksiąg, nawet płomieniem latarni, nie da się ich też rozedrzyć.

Kiedy szli, Truczna uważnie przyglądała się starcowi. Wciąż był tym samym Bystrym o miękkich siwych włosach, wielkim, wydatnym nosie i dobrotliwych oczach. Szata uczonego niezbyt go odmieniła. Tyle że Truczna teraz dowiedziała się, iż jest on Antykwariuszem, jakimś zbieraczem żywotów, a więc kimś innym niż Bystry, którego znała.

- Bystry, czemu nic mi nie mówiłeś? – spytała.

– Jesteś zła?

– Nie – rzeczywiście nie czuła się urażona. – Nie, ja po prostu chciałabym wiedzieć.

– Nie mogłem.

– Tak właśnie myślałam. Bo mnie obserwowałeś?

– Jesteś mądra, Truczno – rzekł z uznaniem. – Tak, obserwowałem ciebie. I nie tylko ciebie. Wiesz, że sporo wędrowałem. Ale ze wszystkich osób, którym się przypatrywałem, ciebie obserwowałem najuważniej.

Skinęła głową, rozmyślając o tym, co usłyszała.

- Dlaczego mnie wybrałeś?

– Mam wycucie w takich sprawach – wyjaśnił. – Mają je wszyscy Antykwariusze, w

mniejszym lub większym stopniu. Z biegiem czasu uczysz się dostrzegać u innych kielkujące pragnienie przygód, nawet gdy są jeszcze bardzo młodzi.

– Ale jeśli Aelthar nie wysłałby Straszydła, żeby ukradło Azalię...

– I tak w końcu byś odeszła – przerwał jej Bystry. – To, co zrobił Aelthar, było tylko niezbędnym bodźcem. Jeśli on by tego nie zrobił, stałoby się co innego. Chociaż, może nie – wzruszył ramionami. – Cechą naszej pracy jest przypadkowość. Często ci, co mają szansę stać się wielkimi, w ogóle jej nie wykorzystują. Los albo okoliczności sprawiają, że dzieje się inaczej. To właśnie dlatego pleciemy swoje sieci, wybieramy cele, obserwujemy je i czekamy. Bohaterem albo łajdakiem można stać się w mgnieniu oka. Czasem przegapiamy tę chwilę i musimy potem nadrobić stratę, wyławiając prawdę z rozmaitych historii, opowieści i legend. Ale wcześniej czy później cała wiedza trafia do nas.

– Czy jest tutaj księga o mnie? – spytała Truczna.

– Oczywiście.

– Mogę ją zobaczyć?

Bystry uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Nie, Truczno, póki się nie skończy.

– Ty ją piszesz?

– Nie. Naszym zadaniem jest obserwacja. Za naszą sprawą księgi piszą się same.

Truczna skrzywiła się.

– Nie rozumiem.

– Zaraz zrozumiesz.

Zdjął z półki wielki tom o okładce nabijanej żelaznymi ćwiekami. Zabrał go do cichego zakamarka, na stół pod latarnią, tam go położył i otworzył. Razem z dziewczyną usiadł na ławeczce. – *Alambar Burl* – mieszkanka bagien przeczytała na głos.

Tak właśnie brzmiał tytuł, tłoczony wyblakłymi złotymi literami. Starzec otworzył księgę gdzieś pośrodku. Tekst był pięknie wykaligrafowany, bez kleksów i rozmazanych liter.

Bystry schylił się nad folialem i zaczął czytać.

Ale choć po jego prawicy i lewicy padali mężowie i niewiasty, Alambar nie uchodził z pola bitwy, wyglądał, jakby był zauroczony. Wokół świstały strzały faerie, ale żadna nie utkwiała w jego piersi. Z wysoko uniesionym mieczem wzywał do szarży, a lud Jemar usłyszał jego krzyk i odzyskał ducha, z nową siłą ruszył do boju. Faerie ogarnęło przerażenie, albowiem obrońcy zaczęli je wycinać, a ziemia pod murami Jemar szerniała od elfiej krwi.

Nim skończył, Truczna zdążyła już przeczytać kilka dalszych akapitów.

– Kim był Alambar Burl? – zapytała.

– To bohater końcowego okresu Wojny Wielu Stron – wyjaśnił starzec. – Gdy nasz lud podzielił się i walczył ze sobą do utraty tchu, do Krainy Człowieka przybyły faerie. Władali nimi inny Pan niż teraz, ale od tego czasu niezbyt się zmieniły. Bój był zacięty, lecz faerie w końcu wyparły nas z równin na wyżyny i do czeluści, w góry, do podziemi i na bagna. Alambar był wielkim wojownikiem, legendą swoich czasów.

– Jak umarł? – spytała dziewczyna, przewracając karty, po kilka naraz, póki nie dotarła do ostatniej strony. Przebiegła wzrokiem końcowy akapit.

I wtedy Alambar ujął dłoń Siselli i spojrzał jej w oczy, po czym rzekł z powagą: „Zaklinam się, nie będziemy długo kulić się w mroku. Przeciwności losu uczynią nas silniejszymi. Zjednoczymy się, a zjednoczeni nie możemy zginąć; siłą naszej krwi odzyskamy Krainę”.

Sisella wiedziała, że jej mąż mówi prawdę, i razem odeszli do górskiej wioski, gdzie w blasku zachodzącego słońca widniały już szkielety pierwszych wznoszonych tam budowli.

Truczna wyglądała na zmieszaną.

– Myślałam, że to są życiorysy! Jak można zakończyć życiorys, skoro oni nadal żyją?

– Truczno, zawsze znajdziesz dziurę w całym – zaśmiał się Bystry. – Biografia nie musi się kończyć opisem czyjeś śmierci; od tego są nekrologi. Nie, Alambar dożył sędziwego wieku, a Sisella razem z nim. Jego śmierć jest wszędzie dokładnie opisana. To zaś jest opowieść, której on jest głównym bohaterem. Choć żył jeszcze długo po jej zakończeniu, jego historia się wypełniła. Zaczęła się, kiedy był chłopcem, uwikłanym w Wojnę Wielu Stron, pokazała, jak stawał się mężczyzną i bohaterem, ale skończyła się wraz z pokonaniem wojsk ludzi przez faerie i naszym odwrotem. Przed tą opowieścią i po niej w jego życiu nie działo się nic ciekawego. Jesteśmy bazarzami, sługami Hierofanta, mistrza wszystkich bazarzy. Bazarze nie opowiadają o szczegółach, póki nie są one potrzebne. To nudne zajęcie zostawiamy historykom.

– Chyba rozumiem – odparła dziewczyna. – Zatem każdy ma tylko jedną opowieść?

– Nie, niektórzy mają dwie albo trzy różne historie – wyjaśnił starzec – a inni wiele.

Czasem łączą się one w jedną wielką sagę, a czasem stanowią odrębne całości. Większość ludzi nie ma nawet jednej opowieści. Choć Antykwariuszy jest wielu, nie jesteśmy w stanie opisać każdego żywota. Dlatego zwracamy uwagę tylko na te, które mają największe znaczenie dla świata. O tym, co widzimy i czego się uczymy, wiedzą księgi. To część magii Hierofanta. I w ten sposób piszą się one same.

– Zatem moja opowieść już się rozpoczęła? – spytała Truczna, zaczesując za ucho czarne włosy.

– Tak.

– Dlaczego więc nie mogę jej obejrzeć?

– Bo wszystkie karty są puste.

Truczna krzyknęła ze zdumienia.

– Nie można opowiedzieć tylko połowy historii. Nie można napisać połowy książki.

Cokolwiek zdecydujesz się uczynić, całkiem zmieni kontekst tego, co stało się wcześniej.

Gdybyś nagle postanowiła zabić swych przyjaciół we śnie...

– Dlaczego miałabym to zrobić? – przerwała mu.

– Cierpliwości – spokojnie rzekł Bystry. – Gdybyś to zrobiła, całą historię zaczęlibyśmy widzieć w zupełnie innym świetle. Zamiast historią o wędrowce Truczny z Mewy, pragnącej uratować swoją siostrę, okazałaby się ona straszliwą opowieścią o tym, jak młoda dziewczyna zostaje bezlitosną morderczynią. Zmieniłby się sposób, w jaki by ją spisywano. Rozumiesz? Albo mogłabyś właśnie teraz umrzeć i okazałoby się, że to nie jest opowieść o tobie, ale o Bramie albo Ziarnku Pieprzu, a ty byłaś tylko jedną z drugoplanowych postaci. Przed spisaniem historia musi być już znana w całości. Inaczej może się nagle zmienić. Truczno, na tym właśnie polega jej piękno. Nigdy nie wiesz, co się zaraz zdarzy. Gdy opowieść się skończy, wtedy ujrzysz cały zapis; ale póki tak się nie stanie, karty pozostaną czyste.

Dziewczyna uszczypnęła się w nos. Za dużo tu do rozumienia.

– Kiedy więc zaczęła się moja opowieść? – spytała.

– Sądzę, że wtedy, gdy opuściłaś Mewę – odparł Bystry. – No, może troszeczkę wcześniej. Całkiem ciekawa jest historia o tym, skąd wzięło się twoje imię. I musimy poznać twoją rodzinę, aby dowiedzieć się o Azalii i o tym, jak ją porwano.

– To nie w porządku – powiedziała Truczna, czując się oszołomiona i zmęczona. – To moje życie, Bystry. To moją siostrę skradziono... i wszystkie łzy, które nad nią wylałam... i chwile, kiedy byłam śmiertelnie wystraszona i mało nie zjedzono mnie żywcem... i... to wszystko jest tylko opowieścią?

– Wszystko jest opowieścią – przytaknął Bystry. – Mówiłem ci to już kiedyś. To po

prostu zależy od twojego punktu widzenia.

Audiencja u Melcherona

Pragniemy widzieć się z Hierofantem – zadzwieczał w sali głos Aelthara.

– Hierofant nie przyjmie was, póki nie skończy pracy – z dudnieniem odpowiedział mu gargulec.

Truczna oparła się na parapecie tarasu i wychyliła, aby lepiej widzieć to, co działo się niżej. Widok płomiennowłosego Pana Faerie w towarzystwie jego sekretarza nappełnił ją złością i odrazą, dla niej były to bowiem kreatury, które nie dość że ukradły jej siostrzyczkę, to jeszcze złamały umowę. Jaki miały w tym wszystkim interes? Nawet tego nie wiedziała. Gdzie jest teraz Azalia? Co wycierpiała po tym, jak Straszdyło zabrało ją do Krainy Faerie? Czy jeszcze żyje?

Odrzuciła tę ostatnią myśl. Nie mogła tracić wiary. Znajdzie się jakaś rada, jeszcze daleko do kłęski.

Sala była jednym z wielu pomieszczeń rozsianych w zamku Hierofanta, rozległą komnatą o wysokim stropie, z mocarnymi kolumnami, które podtrzymywały szeroki taras, gdzie stała dziewczyna, Bystry i jeszcze kilku innych widzów. Na podłodze leżały piękne kobierce, ze ścian zwisały wyblakłe proporce. Pośrodku stali Panowie i Panie Krain. Truczna przyglądała im się uważnie.

Przed wszystkim obejrzała sobie Aelthara oraz jego orszak. Pan Faerie klócił się z wielkim gargulcem o kamiennej skórze, który przykucnął na szerokich schodach, strzegąc podwójnych drzwi u ich szczytu. Dopiero po kilku chwilach dziewczyna uświadomiła sobie, jak wielki jest ten strażnik. Aelthar mierzył ponad dwa metry, zatem gargulec mógł mieć ze trzy, a nawet pięć, gdyby tylko rozpostarł nietoperze skrzydła wystające sponad barków. Z zębatej paszczy wydobywał się warkot, oczy płonęły jak węgle.

– Nie wolno mu nas oddalić! – krzyknął Pan Faerie, tracąc panowanie nad sobą. – Zgromadzili się tutaj wszyscy władcy i władczynie Krain. Żądamy posłuchania.

– Możecie sobie żądać – zadudnił gargulec – ale Pan Melcheron się z wami nie zobaczy. Teraz pisze i nikt nie będzie mu przeszkadzał.

– Wiemy, że on pisze! – rzucił Aelthar. – Właśnie dlatego tutaj jesteśmy! A teraz nas przepuść!

– W Krainie Hierofanta, tak jak w waszych Krainach, jego słowo jest prawem. Nie możecie przejść.

Truczna przyjrzała się pozostałym zgromadzonym. Bystry wyjawiał jej ich imiona, kilka jednak zapomniała. To, które szczególnie wryło jej się w pamięć, brzmiało: Grugaroth, Ur-Lord, Król Trolli.

Tylko on rozmiarami dorównywał gargulcowi, chociaż był przygarbiony. Miał krótkie, grube nogi, masywne przedramiona i wielką zuchwę, z której wystawały dwa kły, jeden złamany. Antykwariusz wyjaśnił dziewczynie, że Grugaroth stracił ów ząb podczas tytanicznej trzydniowej walki ze swym poprzednikiem, Mgwarem, któremu zabrał oponczę władzy. Skóra trolla była gruba, brązowa i jakby wyprawiona, okrywała go naturalnym pancerzem.

Gdzieniedzie porastały ją kępki włosów. Ur-Lord odział się w brudny brąz i szkarłat, na plecach zaś dźwigał przeogromny młot. W usmarowanej sadzą twarzy czerwienią płonęły przekrwione oczy. Był stworzeniem z gór, ogorzałym i ciemnym od brudu głębokich sztolni i

płonących czeluści. Ale Truczna widziała w nim przede wszystkim wroga Aelthara.

– Bystry? – spytała.

– Hm?

– Kim albo czym jest Myghognimar?

Zapamiętała tę nazwę, dlatego że tak trudna była do wymówienia; Władca Faerie wymienił ją w trakcie podsłuchanej rozmowy ze Scriddle'em.

– To miecz, który nosi Aelthar – wyjaśnił starzec. – Wykuł go legendarny kowal z rodu karłów w kopalniach królestwa Grugarotha. Wieść głosi, że to najpiękniejsze ostrze, jakie kiedykolwiek wykonano. Wiele wieków temu faerie oraz ur-ludy toczyły ze sobą wojnę i Aelthar – który był wtedy sławnym wodzem – pokonał i zabił Nuiglana, przyrodniego brata Grugarotha, w Bitwie o Kuźnię Karss. Na dowód wygranej zabrał Myghognimar. Faerie w końcu zostały wygnane, ale Grugaroth nigdy mu nie przebaczył. Nienawidzi Aelthara, a widok tego oręża przypomina mu o rachunku krzywd, który ma do wyrównania z Panem Faerie.

Truczna z zainteresowaniem przyglądała się Królowi Trolli. Potem przypatrzyła się też innym władcom zgromadzonym w komnacie. Były to istoty o najróżniejszym wyglądzie i rozmiarach, stało ich tu tuzin albo więcej, a każda w otoczeniu własnej świty, której członkowie łypali nieufnie na pozostałych. Ujrzała czarnoskórego Pana Demonów, zobaczyła również jaśniejące wcielenie Wieczności przypominające człowieka o twarzy bez wyrazu, a owa Wieczność, jak mówiono, miała strzec naturalnych praw świata: tego, aby góra pozostała górą, dół dołem, czas płynął – i tak dalej. Truczna dostrzegła również Umbilicusa, rzecznika Pana Duchów, który nie mógł przybrać fizycznej postaci i dlatego przemawiał ustami tego podobnego do trupa stworzenia, które zawisło w powietrzu, jakby trzymały je rzeźnicze haki. Istota błyszczała nieziemską, zielonkawą poświatą. Nie było natomiast Gomma, wspomnianego przez Aelthara. Przede wszystkim dziewczyna szukała jednak kogoś innego, mając nadzieję, że się nie zjawi...

Poczuła dziwne mrowienia na grzbiecie dłoni, w miejscu gdzie ścisnęła poręcz tarasu. Spojrzała na rękę i z przerażeniem spostrzegła, że przechadza się po niej wielki beżowy pająk. Wzdrygnęła się z odrazy i zrzuciła go.

– Truczno, co się stało? – spytał Bystry, widząc jej gwałtowny ruch.

– Pająk – odpowiedziała, rozglądając się wokół. To nie mógł być przypadek, że ten stwór pojawił się dokładnie wtedy, gdy pomyślała o...

Ach. Tam ona jest!

Asinatra stała na końcu tarasu. Jej twarz i straszliwe oczy okrywała nadgryziona przez mole biała woalka, zwisająca spod skołtunionych, brudnych włosów. Chociaż Truczna nie widziała jej czarnego, paraliżującego spojrzenia, czuła, że kobieta patrzy na nią z nienawiścią.

– Nie może cię skrzywdzić – powiedział starzec nad ramieniem Truczny. – Nie tutaj. Wszystkie stworzenia przebywające w tej Krainie znajdują się pod opieką Hierofanta.

Dziewczyna nie odrywała wzroku od Władczyni Pająków.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz – odparła cicho.

Gdy patrzyła na Asinatrę, ta odeszła i zniknęła za drzwiami. Mieszkanka bagien poczuła wielką ulgę, maconą jednak świadomością, że ta kreatura jest tutaj i wcześniej czy później może ją odwiedzić.

Broniła ją przed nią tylko opiekuńcza władza Hierofanta, bardzo cienka tarcza, nie grubsza od słowa.

– Dlaczego wszyscy są tutaj? – nagle spytała Bystrego.

Starzec wzdrygnął się i chrząknął.

– Hierofant zaczął pisać – wyjaśnił. – Czasem sam zaczyna spisywać jakąś opowieść.

Taka opowieść jest zawsze ważna, na swój własny sposób. Znacznie ważniejsza niż większość innych historii.

– Ale oni się go boją. Dlaczego?

– Opowieści Hierofanta nie są po prostu opowieściami – odparł Bystry. – One zmieniają stan rzeczy. Widzisz, Antykwariusze to kronikarze; to, co wiemy, przechodzi do ksiąg Wielkiej Biblioteki, które piszą się same. Możemy się tylko przyglądać. Ale Hierofant jest twórcą. To, co jest napisane jego ręką, staje się prawdą, staje się prawem. Znasz już Prawo Amry. Gdy je zapisał, wszyscy Panowie i Panie zostali nim związani. Nie godzili się na nie, po prostu zostali związani. Nie wolno im odmówić człowiekowi tej jednej audiencji; nie mogą też skrzywdzić go w jej trakcie. Złamanie tego edyktu jest dla nich niemożliwe. Amra napisał to prawo, aby wesprzeć ludzi w innych Krainach, tak żeby ich głos został przynajmniej wysłuchany. Teraz wszystkie Krainy czekają, by dowiedzieć się, jakie nowe prawa wynikną z opowieści, którą pisze Hierofant. I drżą ze strachu.

– Co on zrobi? – spytała Truczna.

– Któż może wiedzieć? – Bystry wzruszył ramionami. – A ty co byś zrobiła?

– Napisałabym dla ludzkości wielkiego przywódcę – odparła bez wahania. – Takiego jak Alambar Burl, ale lepszego. Takiego, który by nas zjednoczył i poprowadził, abyśmy wypędzili faerie z naszej ziemi, żeby nie porywały już dzieci, żeby już nikt nie umierał w okrutnych miejscach, w których musimy żyć. Stworzyłabym go, albo ją, i podarowała swojemu ludowi, tak byśmy mogli odebrać, co nasze.

– Pomysł godny podziwu – stwierdził starzec z aprobatą. – Dokładnie to, czego obawia się Aelthar. Ale nie ma sposobu, by poznać, co się teraz szykuje. Opowieści nie można przeczytać, dopóki nie zostanie ukończona. Tak jak księgi z Wielkiej Biblioteki będzie niewidzialna, póki nie zostanie zapisana ostatnia linijka. Tylko Hierofant wie, co znajduje się w jego dziele.

W tej właśnie chwili Aelthar z wściekłością odwrócił się od gargulca i popatrzył w górę, ku tarasowi. Jego wzrok napotkał oczy Truczny. Władca zmarszczył brwi, a dziewczyna poczuła w sercu przeraźliwy chłód. Jednak hardo odpowiedziała elfowi fioletowym spojrzeniem.

Na wzór swego pana także Scriddle wpatrywał się w mieszkankę bagien. Potem zbladł, bo Aelthar zerknął również na niego. Truczna domyśliła się, że sekretarz nie wyjawiał władcy, w jaki sposób ludzie wymknęli się z pułapki. Potem obaj odeszli, a faerie podążyły za nimi. Kiedy przechodzili obok Grugarotha, ten uśmiechnął się szydlerczo, a otaczające go karły, ogry i trolle warczały na poddanych Aelthara, którzy z obrzydzeniem udawali, że ich nie dostrzegają.

Truczna nagle poczuła, że cała spływa potem. Nie postąpiła mądrze, przychodząc tutaj. Lepiej, gdyby Aelthar o niej nie wiedział teraz, kiedy pragnie jej śmierci. Znalazła się pod jednym dachem z dwójką potężnych wrogów: nim oraz Asinastrą.

– Truczno, niczego się nie bój – przypomniał Bystry, odgadując jej myśli. – Wszyscy, którzy goszczą w tym zamku, są pod opieką Hierofanta. Nikt nie odważy się tutaj cię skrzywdzić.

– Wiem, już mi to mówiłeś – odparła bez przekonania. Patrzyła, jak Panowie i Panie przechadzają się po sali, a na ich twarzach – nie wszyscy je mieli – rozczarowanie miesza się ze złością.

– Chodź – powiedział nagle Antykwariusz. – Chciałabys zobaczyć się z Hierofantem, prawda?

Truczna zamrugnęła ze zdziwienia.

– Ale myślałam...

– On nie chce widzieć się z żadnym z nich – wyjaśnił starzec z błyskiem w oku. – Ale jestem pewien, że nie będzie miał nic przeciwko twojej wizycie.

Dziewczynę cieszył każdy powód, aby stąd iść.

– No to czemu nie?

Cicho weszli do izby Hierofanta. Gdy przechodzili przez niewielkie, przesuwane drzwi, Bystry położył palec na ustach, nakazując nie czynić hałasu, a dziewczyna ostrożnie wkroczyła do komnaty. Stał tam wartownik, podobny do gargulca strzegącego drugich, potężniejszych wrót, przez które usiłował przejść Aelthar. Jednak strażnik nie zwrócił na nich uwagi.

– Wiedzą, że powinni przepuszczać niektóre osoby – szeptem wyjaśnił Antykwariusz. – Jestem jedną z nich, a póki ty jesteś ze mną, również możesz tu wchodzić.

Komnata była duża i pełna książek. W kącie stało łóżko z baldachimem. Jedną ze ścian zajmowało wielkie, okrągłe okno o framudze z koncentrycznych kół. Siekl w nie deszcz. Często błyskały pioruny i dudniły grzmoty, ale Truczna zdążyła już tak przyzwyczać się do burzy, że ledwie je zauważała. Od kiedy przybyła do tej Krainy, sztorm ani trochę nie przycichł.

Hierofant siedział za ogromnym, rzeźbionym stołem i chybotając piórem, zapisywał karty wielkiej, oprawnej w skórę księgi. Wyglądał bardzo, bardzo staro, kruchy i pomarszczony, o długiej białej brodzie sięgającej aż do kolan. Łysą głowę pokrywały liczne plamy wątrobowe, blizny i narośla. Chude ciało tonęło w fałdach grubej szaty z zielonego aksamitu, udrapowanej na ramionach.

Truczna przyglądała mu się przez dłuższą chwilę. Jedynym dźwiękiem, prócz huku burzy, który rozlegał się w pokoju, było skrzywienie pióra. Hierofant przez okrągłe okulary uważnie wpatrywał się w papier i pisał z szaleńczym wigorem. Wreszcie przerwał, westchnął i spojrzał na przybyłych. Choć stali w ciszy, cały czas doskonale zdawał sobie sprawę z ich obecności.

– Ach, Truczna! – zawołał piskliwym, suchym głosem. – Jak dobrze widzieć cię na własne oczy.

Dziewczyna niepewnie zerknęła na Bystrego.

– To zaszczyt móc ciebie spotkać – odrzekła. – Nie wiedziałam, że się mnie spodziewasz.

– Spodziewam się każdego – odparł starzec, stukając się w bok głowy pomarszczonym palcem. – Wiedziałem, że przybędziesz. Sprowadziłem cię tutaj.

– W jaki sposób mnie sprowadziłeś? – zapytała Truczna, niezdolna ukryć powątpiewania.

Zamiast odpowiedzieć, Melcheron skinął na nią.

– Podejdź bliżej. Chciałbym ci się przypatrzeć. Bystry, czy mógłbyś na chwilę zostawić nas samych?

Antykwariusz ukłonił się.

– Poczekał na zewnątrz – rzekł i odszedł.

Truczna ostrożnie zbliżyła się do Hierofanta. Nie podobało się jej to jego onieśmielające zachowanie ani też wrażenie, że wie o niej więcej, niż mówi. Zerknęła na księgę, w której pisał. Tak jak mówił Bystry, wydawało się, że niczego tam nie ma. Jednak kałamarz na stole pełen był cieczy przypominającej gęstą wodę, dlatego uznała, że do czegoś służy.

Hierofant spojrzał na nią zmrużonymi oczami, które poźółkły ze starości niczym pergamin.

– Tak, tak, widzę, że miałem rację. Ty wiesz, prawda?

– O czym wiem? – odruchowo zapytała dziewczyna, zanim skłęła się w myśli, że mówi łatwo dające się przewidzieć rzeczy.

Tak jak się spodziewała, z ust starca padła mętna odpowiedź.

– Wiesz, nawet jeśli sama się do tego nie przyznajesz... Próbujesz mnie przejrzeć, prawda? Ha! Dobrze! Dobrze!

– Pamiętasz Myrrka? – zapytała zniecka.

Zarechotał wesoło.

– Dobrze! Dobrze! Zmieniasz temat rozmowy, chcesz atakować! Och, moja mała Truczino, jesteś prawdziwym klejnotem.

Zdjął okulary i kościstym kciukiem otarł łzę z kącika oka.

– Myrrk, powiadasz? Tak, pamiętam go. Smutne stworzenie.

– On ciebie też pamięta – rzekła Truczina. – Mówi, że nie dbałeś o szczegóły, na przykład o to, co on ma jeść, skoro nie może złapać ryby. Czy wiesz, co to znaczy?

– No pewnie! – zachnął się Melcheron. – Zawsze tak robię! Nie mogę zajmować się każdym pojedynczym detalem świata. Oszalałbym!

Z wyrazu twarzy Trucziny widać było, że jej zdaniem on już na wpół zwariował.

– Mimo to – ciągnął, przybierając nagle poważny ton – nie tylko Myrrk na to się skarży.

Wiesz, od czasu do czasu tak się zdarza. Ludzie coś dostrzegają. Truczino, sądzisz, że coś przeoczyłem? Moja pamięć nie jest już taka jak kiedyś. Myślisz, że oni widzą luki?

– Jakie luki? – zapytała dziewczyna, czując, jak rośnie w niej złość.

– Luki! – powtórzył Melcheron. – Luki w opowieści!

Truczina nie wytrzymała.

– Powiedz mi wreszcie, o co ci chodzi! – krzyknęła, tracąc panowanie nad sobą. – Każdy, kogo spotkałam, od kiedy tylko wystawiłam nos z mojej wioski, nie może po prostu odpowiedzieć mi na pytanie! Co to znaczy? Dlaczego wędruję przez świat, który wygląda jak żywcem wyjęty z bajki o faerie? Dlaczego Myrrk uważa, że to ty odpowiadasz za to, że nie ma co jeść? Kim ty jesteś?

Melcheron wcale nie wyglądał na speszzonego.

– Truczino, ty już wiesz – odparł powoli. – Nie potrzebujesz mnie, aby to wyjaśnić.

Dziewczyna poczuła się tak, jakby tonęła w zimnej, ciemnej otchłani ziejącej gdzieś w środku niej samej. Ona wiedziała. To podejrzenie wzrastało w niej od samego początku, bezimienna idea, którą wzmacniało każde nowe przeżycie, każdy widok, każdy dźwięk. Ale była to myśl zbyt okropna, aby ją rozważać, zbyt straszna, żeby w ogóle ją przywoływać.

– Ty wiesz – zaskrzeczał. – Chociaż sama przed sobą się do tego nie przyznajesz.

– Muszę wiedzieć to na pewno – odparła. – Muszę usłyszeć to z twoich ust.

– A może wolałabyś żyć w niepewności? Ty wiesz, że za jakiś czas możesz o tym zapomnieć. Możesz przekonać siebie samą, że byłaś po prostu głupia. Możesz być taka jak inni, ci, którzy nigdy nie pytają, jak Aelthar, Ziarnko Pieprzu i Bram, nawet jak Bystry. On nie wie. Nie wie żaden z nich, z wyjątkiem ciebie i mnie, i jeszcze kilku innych, takich jak Myrrk. No i popatrz, co się z nim stało.

W tych słowach była pokusa prawie nie do odparcia. Mieszkanka bagien chciała zamknąć oczy, zatkać dłońmi uszy i wybiec z komnaty. Pragnęła zaznać rozkoszy niewiedzy. Ale to nie była jej droga.

– Powiedz to – syknęła.

Melcheron westchnął i ponuro skinął głową.

– Wszystko wokół: Krainy, Panowie i Panie, twoi rodzice, nawet ty, Truczino, wszystko jest baśnią. Wszystko zostało stworzone. Ty, Bram, Bystry, Ziarnko Pieprzu, Aelthar tańczycie tak, jak wam zagram, czy tego chcecie, czy nie. Moje słowa kształtują wasze przeznaczenie. Jestem autorem ciebie, wszystkiego, czym byłaś i jesteś. Jesteś tylko stworzoną przeze mnie postacią, choć postacią ważną. Jednakże postacią, zmyśleniem. Moim zmyśleniem. – Uniósł głowę i popatrzył dziewczynie w oczy. – Truczino, wszystko, co wiesz, jest bajką. A ja jestem bajrzem.

Ziejąca otchłań w jej wnętrzu jakby za chwilę miała połknąć ją całą. Dziewczyna czuła, że opuszczają ją siły. By nie upaść, musiała przytrzymać się krawędzi stołu.

– Ja... ja nie rozumiem – wyjąkała.

– Truczno, opowiadam baśń, a ty jesteś jej częścią – powtórzył cierpliwie. – Wiem, niełatwo to pojąć. Myrrk miał ten sam problem. Był częścią innej opowieści, którą pisałem dawno temu. Mały trybik, element historii, by przyspieszyć poczynania bohaterów. Ale od kiedy dowiedział się, jaką ma rolę, stał się po prostu niemożliwy. Nie powinienem go aż tak oświecać...

– Kłamiesz! – wybuchła Truczna. – Ty nie możesz... Ty nie władasz światem.

Hierofant zaśmiał się wesoło.

– Oczywiście, że nie. Ale na pewno władam światem, twoim światem, Truczno. Krainy zostały stworzone przez pierwszego Hierofanta, wiele eonów temu, w czasie zagubionym w odmętach dziejów. Od tamtej pory ów Hierofant miał niezliczonych następców, każdy z nich opowiadał swoje historie, każdy dodawał wątki do gobelinu. Ale jak wie każdy bajarz, w pewnej chwili bohaterowie zaczynają żyć własnym życiem. Opowieść, w której występował Myrrk, skończyła się już przed wiekiem, ale on nadal gdzieś żyje. Widzisz, świat wokół ciebie to tylko zbiór opowieści tworzonych przez nieskończenie długi czas. To wszystko biegnie dalej już swoim własnym torem. Ale tym światem czasem trzeba manipulować. – Palcem wskazującym postukał się w bok pomarszczonej głowy. – I wtedy, jak to mówią, wkraczam do akcji.

– To idiotyczna filozofia! – z rozpaczą zawołała dziewczyna. – Ty szalony staruchu!

– Truczno, twoje serce podpowiada ci, że to prawda. Poczulaś to. Nie istniałaś, póki nie powołałem cię do istnienia. Czarne Bagna też nigdy nie istniały, ani twoja rodzina, ani łowcy ogników. To były moje najświeższe dodatki do tego świata. Stworzyłem cię dla potrzeb swojej opowieści. Oczywiście, Aelthar był już od dłuższego czasu; nie musiałem go stwarzać. Ale tak jak inni nie może oprzeć się potędze mojej opowieści i tak jak inni nie jest tego świadom.

– Dlaczego to robisz? – wyszeptła Truczna, ramiona obwisły jej bezsilnie.

– Co robię? – niewinnie zapytał Hierofant.

– Dlaczego mi o tym mówisz? Dlaczego mnie tak dręczysz?

Przyglądał się jej swymi starymi oczami.

– Bo mnie pytałaś. Taką już masz naturę. Taką cię napisałem.

Niemoc

Nie mogła nawet płakać. Nie widziała w tym sensu.

Leżała na posłaniu Bystrego, zwinięta w kłębek, ciasno opatulona kocami. Trwała tak już od kilku dni. Nie wiedziała i nie dbała o to, gdzie teraz śpi Antykwariusz, czy w ogóle śpi.

Najpierw były łzy, łzy, łzy, bez przerwy. Czuła się tak, jakby jej serce zostało rozerwane jakimś hakiem, a dziura po nim napełniła się żalostí, bólem i poczuciem zdrady. Nagromadziło się tego tyle, że musiała wszystko z siebie wylać, aby w końcu nie utonąć. Bystrego zdumiała ta rozpacz. Nie wyjaśniła mu jej powodu. Nie zrozumiałby. Był tylko baśnią, tak jak ona.

On nie chce wiedzieć. Nikt nie chce wiedzieć. Ja też chciałabym nie wiedzieć.

Ale nie mogła już oduczyć się tego, czego się nauczyła. Antykwariusz zaniósł ją do łóżka. Pamiętała stojących nad nią Brama i Ziarnko Pieprzu. To musiał być dla nich szok, ujrzeć swoją nieugiętą towarzyszkę w takim stanie. Nie potrafiła zmusić się do odpowiedzi na ich pytania. Czym się tak przejmowali? Byli przecież fałszerstwem, takim jak ona. Nie byli prawdziwi. Nic nie było prawdziwe.

A kiedy to do niej dotarło, zwyczajnie się poddała.

Przyszło jej to łatwo. Tych kilka słów, które usłyszała od Hierofanta, wyszło z niej całą wolę walki. Teraz najlogiczniejszą rzeczą na świecie zdawało się lec bezwładnie i przestać się szamotać. Nawet nie brała pod uwagę tego, że starzec mógł kłamać. Wiedziała instynktownie, że nie oszukiwał. Znała tę prawdę, zanim jej o niej powiedział. Podświadomie dawno już złożyła w całość wszystkie kawałki układanki.

Nic nie było prawdziwe. Nic. Żyła w baśni o faerie, była w tej historii jedynie marionetką, jak inni wokół. Wszystkie jej wybory, wszystkie starania, smutki i cierpienia, wszystko było tylko złudzeniem wolnej woli. Nic od niej nie zależało. Zwyczajnie podążała za opowieścią.

Czy kiedykolwiek zrobiła coś naprawdę z własnego wyboru, czy tylko dostawała ułudę niezależności?

Nie wytrzymała tego. Grunt usunął jej się spod stóp, a cały świat wpadł do czeluści. Wszystko straciło wartość. Nic nie miało sensu, skoro i tak tańczyła, jak jej zagrali. Jak mogłaby w ogóle podjąć jakąś decyzję, nie zastanawiając się, czy po prostu nie wypełnia woli autora, a tylko jej się wydaje, że sama dokonuje wyboru?

Naprawdę, po co zawracać sobie tym głowę?

Pozostała więc w łóżku. Andersen drzemał na jej brzuchu, Bram, Ziarnko Pieprzu i Bystry czuwali przy niej na zmianę, ciągle do niej mówili, pytali, co złego się dzieje, co jej się stało, dlaczego tak się zachowuje? Ale ona milczała. Łowca doszedł do wniosku, iż Trucizna odkryła, że Azalia nie żyje, i rozpacz złamała jej serce. Dziewczynie chciało się z tego śmiać. Śmierć siostry, w porównaniu z tym wszystkim, byłaby niczym. Dlaczego teraz miałyby się przejmować Azalią? Ona przecież także była tylko zmyśleniem, postacią odgrywającą swoją małą rolę.

Ale się przejmowała. To była istota bólu. Chociaż znała prawdę, jej życie – takie, jakie było – trwało nadal. Wciąż czuła na policzkach ślady po łzach. Nadal czuła ciepło śpiącego na niej Andersena. Wciąż też brakowało jej Azalii i wiedziała, że gdyby przestała szukać siostry,

dopuszczały się straszliwej zdrady. Choć rozum mówił jej, iż żyje w zmyśleniu, wciąż nie mogła przekonać do tego duszy i zmysłów. To bolało, jednak nie dawało takiej siły, by mogła się poruszać.

Mijały dni; ale mogły to być zarówno godziny, jak i tygodnie, kto zna przepływ czasu w innych Krainach? Bystry czytał jej stare książki, które poznała jako dziecko, nie zdając sobie sprawy z ironii faktu, że opowiada bajki, sam będąc częścią jednej z nich. Czy bohaterowie tych książek również żyli tak jak ona? Też wierzyli, że są prawdziwi? A co z Hierofantem, autorem jej świata? Może i on był tylko dziełem kogoś innego, niedostrzegalnego? Czy to nie byłoby zabawne? Jak dwa lustra, postawione jedno przed drugim, odbijające obraz, niezliczone światy w światach, bez początku ani końca.

Samo rozmyślanie o tym sprawiało, że jej umysł giął się jak młode drzewko, które w każdej chwili może się złamać.

Antykwariusz od czasu do czasu przynosił dziewczynie różne wieści, mając nadzieję, że zaciekawia ją to, co dzieje się w zamku. Niektórzy Panowie i Panie odeszli, rozeźleni lub zrezygnowani, widząc, że mimo starań nie zobaczą się z Hierofantem. Grugaroth odjechał razem ze swym orszakiem ur-ludów. Jednak Aelthar trwał nieugięty i aby uzyskać audiencję, uciekał się do straszliwych gróźb.

Truczna słuchała tego jednym uchem. Od kiedy się położyła, niczego nie jadła i prawie nic nie piła. Była blada, jej pot cuchnął, a długie czarne włosy, potargane, w nieładzie opadały jej na twarz. Zaczęła mamrotać przez sen. Przyjaciele – jak puste zdawało się teraz to słowo! – próbowali namówić ją, aby coś zjadła, ale straciła apetyt i nawet głód stał się tylko tępym, odległym bólem gdzieś wewnątrz niej.

Tak bardzo pogrzyżyła się w rozpacz, że nie dostrzegała, co dzieje się wokół niej – póki nie nabrzmiało do ostateczności.

Antykwariusz właśnie jej czytał, kiedy z jej ust padły pierwsze słowa, od kiedy położyła się do łóżka.

– Bystry – wyjęczała. Natychmiast uniósł wzrok, oczy zaślniły mu nadzieją. – Bystry, ty jesteś chory.

On był chory. Teraz to spostrzegła. Miał zapadnięte policzki, ciało przywarło mu do kości. Widziała cienie wokół jego zapadniętych oczu. Wyglądał, jakby to on głodował. I jeszcze... to było coś więcej niż zwykły brak pożywienia. Coś się z nim działo, coś innego niż zwykła niemoc albo cielesna potrzeba. Jednak głód zbyt ją tumańił, by potrafiła to pojąć.

– Truczno, my wszyscy jesteśmy chorzy – powiedział.

– Ziarnko i Bram też? – poczuła lekkie ukłucie zmartwienia. – Andersen?

– Wszyscy. Służący, Antykwariusze, nawet Panowie i Panie. Nawet Aelthar osłabł.

– Co to jest? – wyszeptała. – Co się dzieje?

– Nie wiem. Zamek wygląda jakby był pełen duchów. Wszyscy są cisi, wszyscy... zmęczeni. Medycy nie potrafią znaleźć przyczyny takiego stanu. Mówią o zarazie, o chorobie, ale to nie to... To jest też w murach... Nawet zamek zdaje się teraz słabszy, bledszy... mniej stały niż kiedyś. – Westchnął. – Wszystko wygląda, jakby blakło.

– Ale... – zaczęła Truczna. – Jak?...

– Nie wiem... Nie wiem... – wyszeptał. Teraz wyglądał na tak słabego, że przypominał cię, a nie twardego, żylastego mężczyznę, którego znała. Uniósł głowę i spojrzał na nią znużonym wzrokiem. – Truczno, słyszałem, co mówiłaś przez sen. To nie ma sensu... ja... ja nie potrafię tego zrozumieć... ale cokolwiek robisz, musisz przestać.

– Ja? – dziewczyna była zszokowana i oburzona. – Ja niczego nie robię. Dosłownie.

Zdziwiło ją, że wciąż ma tyle sił, aby żartować, nawet kiepsko.

– Ty jesteś... Mówiłaś o opowieściach. Co powiedział ci Hierofant? Co zrobił?

Przypomniała sobie, co rzekł Myrrk w chatce nad jeziorem: jak świat zaczął się psuć, kiedy on porzucił wyznaczoną mu rolę i próbował zmienić swoje życie. „Miałem swoją historię, kiedyś, ale mi się nie podobała i próbowałem ją zmienić. Odradzałbym to”. Nie chciał jej wtedy wyjaśnić, co ma na myśli, mówiąc, że nie nadszedł jeszcze odpowiedni czas. A teraz, w chwili nagłego olśnienia, wszystko pojęła.

– To ja – wymamrotała spieczonymi wargami. – To ja. Ja to robię.

– Co robisz, Truczizno? Dlaczego? – w głosie Bystrego zabrzmiał smutek, który zaciążył na sercu dziewczyny niczym kawał ołowiu.

– Przestałam współpracować – odparła.

– Z kim?

Uniosła się na poduszkach.

– Nie potrafisz tego dostrzec, Bystry. Nie potrafisz tego dostrzec, bo tego nie chcesz. Ale to jest bajka. Wszystko nią jest. Historią tworzoną przez Hierofanta. Nie chciałam być częścią gry, pionkiem, który mógłby przesuwac. Jeśli nie mogłam decydować o sobie, to nie chciałam w ogóle grać. Jeśli nie mogłam mieć wolnej woli – spuściła wzrok – wolałam umrzeć.

Widziała, że starzec jakby zaczyna rozumieć, ale wciąż z trudem to pojmuje. Objawiła mu niesamowity pomysł, wymykający się jego pojęciu.

– Nie rozumiem – powiedział. – Nie rozumiem. Nie wiem, jak to się łączy z tą... niemocą, która nas wszystkich ogarnęła, ale wiem, że to ma związek z tobą, Truczizno. Co jest tak okropnego, że straciłaś przez to chęć do życia? Czy nie widzisz, że zabierasz nas wszystkich ze sobą?

Truczizna uroniłaby teraz łzę, gdyby jeszcze jakąś miała.

– Jesteście zmyśleniami, wszyscy. Tak jak ja.

– Jak możesz?! – krzyknął Bystry, nagle podrywając się z miejsca. – Czujemy, kochamy, płaczemy, krwawimy, poświęcamy się dla innych... Jeśli to nie jest życie, to co nim jest? Co, według ciebie? Jak możesz myśleć, że Hierofant tobą kieruje? Czy nie dokonywałaś własnych wyborów? Czy sama nie zdecydowałaś się wyruszyć na tę wyprawę?

– Czy naprawdę? Nie wiem – odparła, opadając na poduszki. – Jeśli kiedykolwiek potrzebowałam dowodu, że moje wybory są złudzeniami, właśnie mi go dostarczyłeś. Popatrz, co się dzieje, gdy odmawiam i nie robię tego, czego on chce. Opowieść wokół mnie blaknie. Dlaczego moim wyborem nie może być poddanie się?

Na to Bystry już nie potrafił odpowiedzieć. Truczizna przewróciła się na łóżku, odwracając do niego plecami. Usłyszała, jak odchodzi.

Teraz, gdy znów zaczęła mówić, przychodzili do niej często. Uznali to za dobry znak, choć w rzeczywistości wcale nim nie był. Ona tylko chciała powiedzieć im, że jest jej przykro z powodu tego, co się stało. Podobnie jak Bystry, niczego nie rozumieli, prosili ją jednak, by coś zjadła, żeby odzyskać siły. Umierali, bledli, stawali się niczym, jej opowieść bowiem przedstawiała się snuć. Ale jakże ona mogła wydobyć się z otchłani, w której zatonała? Jak mogła żyć, wiedząc, że jest tylko częścią zapisu dokonanego przez kogoś innego? Wytrzymała łązy Ziarnka i milczenie Brama, nie wiedząc już, co jest gorsze. Lecz nie potrafiła zebrać się w sobie. Przemienie, a oni wraz z nią, i tak to wszystko się skończy. To był jedyny wybór, jakiego samodzielnie dokonała: jeśli swoją śmiercią pokrzyżuje plany Hierofanta, to trzeba umrzeć.

Przecież on sam zawinił, czyniąc ją tak przekorną. Im mocniej na nią naciskano, tym większy stawiała opór.

Traciła i odzyskiwała przytomność, słabość na zmianę połykała ją i wypluwała. Dzień i noc nic dla niej nie znaczyły. Czas podzielił się na krótkie okna świadomości. Była głodna i

spragniona. Czasem budziła się z wilgotnymi wargami, bo któryś z opiekunów, kiedy spała, wlewał jej do ust miód albo mleko, w nadziei że odruchowo je przełknie. Ale nadal słabła. Umierała i wiedziała o tym... lecz przynajmniej działo się tak z jej własnej woli.

Pewnej nocy obudziła się wśród półmroku i ujrzała siedzącego obok Brama. Na pobliskim stole płonęła latarnia, rzucając blask na jej twarz. Oczy łowcy tonęły w cieniu kapelusza.

– Bram... – jęknęła, próbując się uśmiechnąć.

Przez dłuższą chwilę milczał i choć nie widziała wyrazu jego twarzy, wiedziała, że jest bardzo ponury.

– Bram, o co chodzi?

– Właśnie rozmyślałem. A ty wysłuchasz tego, co mam ci do powiedzenia.

Pochylił się w jej stronę, tak że latarnia dobrze oświetliła jego głowę. Trucizna jęknęła. Skórę miał tak cienką, że niemal widziała przez nią czaszkę. Wąsy przerzedziły się i obwisły. Byczy kark zeszczipłał, zwiotczał. Oczy nabiegły krwią.

– Och, Bram... – znów jęknęła. Ten widok był dla niej jak włócznia prosto w pierś.

– Bez urazy – odparł ostrym, cichym głosem. – Słyszałem już twoje usprawiedliwienia. Nie jestem ich ciekaw.

Truciznę zaskoczyła ta nagle zmiana w jego zachowaniu, miała jednak za mało sił, aby odciąć się kąśliwie.

– Jesteś samolubna – wyburczał. – Popatrz, co robisz. Popatrz na mnie. Widziałaś Ziarnko Pieprzu? Bystrego? Nawet tego cholernego kota? Widziałaś, co dzieje się z nami przez te twoje zasady? Zabijasz nas, ty zepsuta smarkulo, tylko dlatego, że nie chcesz się bronić.

Dziewczyna słyszała w jego głosie prawdziwą wściekłość. Nie spodziewała się, że Bram jest do czegoś takiego zdolny. Żeby ów dobroduszny człowiek stał się...

– Jesteście zmyśleniem... – zaprotestowała słabo.

– Tak, tak, to też już słyszałem – warknął zirytowany. – Zmyślenia. Bzdura! Jestem tak samo żywy jak ty, a ty jesteś tak samo żywa jak Hierofant. Trucizno, wszyscy jesteśmy żywi. Możemy na to patrzeć w taki czy inny sposób, ale jesteśmy żywi. Nawet jeśli uważasz, że ktoś inny obdarował cię tym życiem. Wszyscy mamy marzenia i ambicje, plany i życzenia, a ty nam je odbierasz. – Wstał i gestem okrytej rękawicą dłoni okazał, jaki to wzbudza w nim niesmak. – Trucizno, czy kiedykolwiek wierzyłaś w Boga?

– Kiedy byłam mała – bąknęła.

– No to jaka jest różnica?

– Ja wierzyłam... że panuję nad swym przeznaczeniem.

– Czy ty nic nie widzisz? – krzyknął łowca. – Postawiłaś na swoim! Panujesz nad swym przeznaczeniem. Postanowiłaś umrzeć, postanowiłaś razem ze sobą uśmiercić nas wszystkich. Nikt cię nie powstrzymał, nikt poza tobą nie może cię powstrzymać. Nieważne, jakie są konsekwencje wyboru, ale to, że dokonałaś go sama.

Trucizna szczerze się zdumiała, że Bram doszedł sam do takich wniosków.

– To nie wystarczy – powiedziała, odgarniając z twarzy strąki włosów. – Jeśli jedynym sposobem naprawy tego świata... jest robienie tego, czego on chce... wtedy nie mam wyboru.

– Nie masz prawa nas wszystkich zabijać!

– Skąd wiesz... że w ogóle żyjesz? – spytała.

– Skąd ktokolwiek to wie? Skąd ktokolwiek może na pewno wiedzieć cokolwiek?

Trucizno, nigdy nie ma samych prawdziwych odpowiedzi. Wszystko jest rozmazane. To właśnie jest życie. Widzimy świat tylko taki, jaki się nam przedstawia. Pojmujesz? Wszystko, czego chcę od życia, to powrócić stąd, żeby kupić ten dom w górach i już nigdy więcej nie myśleć o faerie

albo o Hierofancie! Ograbiasz mnie z tego marzenia, Truczino! Co daje ci prawo decydować, czy zasługujemy na życie?

– Bo... – szepnęła. – Bo wszyscy umieracie. Bo wszyscy umieracie dlatego, że ja umieram. Podtrzymujecie mnie przy życiu, a co daje wam do tego prawo? Jak możecie czynić mnie odpowiedzialną za cały świat?

– Bo jesteś odpowiedzialna za cały świat! – nagle triumfująco stwierdził Bram. – A czy wiesz, co to oznacza?

Truczina skrzywiła się.

– Ja nie...

– To znaczy, że to opowieść o tobie, głupia dziewczyno! – wrzasnął.

Była oszołomiona. Uważała, że łowca, podobnie jak Bystry, nie potrafi dojrzeć sznurków, które nim poruszały; a jednak zobaczył je i spierał się z nią, używając jej własnych argumentów. To musiał być szalony wysiłek dla człowieka tak mocno stąpającego po ziemi, objąć rozumem te wszystkie pojęcia. Czy on naprawdę wierzy w to, co mówi, czy też po prostu korzysta z architektury jej złudzeń, by zwyciężyć w tej dyskusji?

– To znaczy, że masz nad nią taką samą władzę jak Hierofant! – zawołał Bram. – Jeśli umrę, jeśli umrze Ziarno... to świat będzie istniał, tak jak istniał do tej pory. Ale kiedy ty umierasz, cała opowieść się kończy. Czy tego nie widzisz? Jesteś jej główną bohaterką! To twoja historia! Bez ciebie ona nie ma sensu – oczy łowcy płonęły szaleńczym entuzjazmem. – Zatem, jeśli to twoja opowieść, przejmij nad nią władzę! Atakuj! Rób coś!

– Co mam robić? – słabym głosem zapytała Truczina. – Jak mogę... jak mogę walczyć?

– Nie wiem! – powiedział Bram, przechadzając się po izbie. – Jesteś mądra.

Przewyciężyłaś każdą przeszkodę, stawiałaś czoło zasadzkom Hierofanta. Walcz, to właśnie jest szansa, szansa wydobywania się z rozpacz i zniechęcenia. Czy chcesz porzucić swoje życie, życie nas wszystkich, nie mając pewności, że jest inna droga? Spróbuj! A jeśli ci się nie uda, zawsze możesz jeszcze raz się poddać.

Miał rację. On miał rację. To, że mogła doprowadzić świat Hierofanta na krawędź zagłady, stanowiło dowód, że opowieść była o niej. Tak bardzo o niej, że bez jej udziału po prostu się kończyła. A w tym tkwiła władza. W tym skrywała się możliwość działania. Truczina czuła w sobie drżenie czegoś, o czym dawno już zapomniała, czegoś, co kiedyś znała: nadziei. Może potrafi coś zrobić. Może potrafi to wszystko odwrócić.

Czy naprawdę żyła? Czy żył Bram? Czy w końcu każdy nie czuł się czasem tak, jakby tylko on na świecie żył naprawdę, a wszyscy inni byli ledwie aktorami w sztuce, którzy pojawiali się, aby uczynić ją ciekawszą? Czyż na swój sposób zawsze coś nie było opowieścią?

Bram miał rację. Jedyną szansą, żeby się o tym przekonać, jest umrzeć, ale nawet śmierć może nie dać całkowitej pewności.

Bez względu na to, jak brzmiała prawda o jej życiu, nie była warta tego, aby dla niej umierać.

– Jedz – rzekł łowca, podając dziewczynie miskę zimnej zupy, stojącej przy łóżku od kiedy ostatni raz próbował ją nakarmić. – Jedz, do cholery. Nie bądź taka samolubna. Wstań, walcz i nie użalaj się tak nad sobą.

Oczy Trucziny gorączkowo zabłysnęły nad brzegiem naczynia. Ugiąć się przed wolą Hierofanta teraz, kiedy była już tak blisko... Czy na pewno słowa Brama mają sens?

Ale niewielka drobina możliwości, że łowca mówił prawdę, starczyła, aby w dziewczynie odezwała się jej wrodzona siła woli. Piastowała iskierkę nadziei, aż buchnęła płomieniem. Nie mogła oprzeć się Hierofantowi, umierając. Mogła mu się przeciwstawić, żyjąc. Nie pokrzyżować mu szyki, ale wręcz pobić go jego własną bronią. Na pewno jest sposób. Tak czy owak, na pewno

jest jakiś sposób.

Wzięła miskę i łyżką zaczerpnęła chłodnej zupy, która mimo paskudnego smaku zdała jej się najznakomitszym nektarem; dawała jej bowiem siłę, a siła pozwala walczyć.

Łowca usiadł, wzdychając z ulgą. Patrzył, jak ona je.

– Truczno, wystraszyłaś mnie – szepnął. – Naprawdę mnie wystraszyłaś.

– Wierzysz mi? – spytała cicho między łykami zupy. – Wierzysz w historię o opowieści, o baśni? O zmyśleniu?

Wąsiska Brama zadrgały, gdy uśmiechnął się szeroko.

– W ani jedno słowo – rzekł. – Ale wiem, że jeśli ci się polepszy, ta wyniszczająca choroba odejdzie. I więcej mi nie potrzeba.

Truczna szybko odzyskała siły, po kilku dniach wstała z łóżka i znów zaczęła normalnie żyć. Wraz z jej ozdrowieniem niemoc ogarniająca zamek Hierofanta znikła jak zły sen.

Mieszkańcy fortecy nabrali ciała, zarumieniły im się policzki. Mury stały się mocniejsze, znów, jak od zawsze, były to ściany z niezniszczalnego kamienia, potężne niby korzenie gór. Burze siekły warownię z nową siłą.

Najniezwyklejszą rzeczą, wyjąwszy nagłe ożywienie wszystkich wokół, był towarzyszący temu zanik pamięci. Zapomnieli o dziwnej, wyniszczającej niemocy; jak nocny koszmar, zniszczony światłem słońca, trwała tylko w niewielkich okruchach wspomnień. Gdziekolwiek Truczna o niej wspominała, spotykała się ze zdumieniem, nawet Bram, słysząc jej słowa, uznał, że może jeszcze całkiem nie zwyciężyła choroby.

Niemal każdy, kto ją kurował, zdawał się święcie przekonany, że dziewczyna walczyła z grypą i do sił wróciła tylko dzięki opiece przyjaciół. Jednak gdy mieszkanka bagien wypytywała o szczegóły, wszyscy jakoś unikali odpowiedzi.

Dała więc sobie z tym spokój. Głowę zaprzętały jej inne sprawy. Knuła, jak pokonać stwórcę tego miejsca, jak przechrzyć tego, który pisał jej życie. Leżąc w łóżku, spędzała długie dni na rozmyśleniach, a gdy wstała i zaczęła już przechadzać się po izbie, czoło marszczyło się jej bardziej niż zwykle, a oczy rzucały coraz przenikliwsze spojrzenia.

I nagle okazało się, że wcale nie musiała się tym wszystkim kłopotać, albowiem w dniu, gdy Bystry oznajmił, że jest już całkiem zdrowa, Hierofant został zamordowany.

Zabójcy

Leżał na wielkim, oprawionym w skórę tomie, tym, w którym pisał, kiedy Truczna widziała go ostatnio. Martwe palce wciąż delikatnie obejmowały pióro. Można by pomyśleć, że zasnął podczas pracy – gdyby nie rękojeść sztyletu Asinastry stercząca mu między łopatkami. Dziewczyna nie mogła oderwać wzroku od tego sztyletu, broni, którą ukradła Władczyni Pająków, teraz aż po jelec zatopionej w plecach starca.

Nie było krwi. Wyglądało to tak, jakby kły ostrza po prostu całą ją wypily. Pustych stronici księgi, na których opierał się Melcheron, nie kalała ani jedna plama.

Na zewnątrz szalała burza, bębniąc w koliste okno. Truczna przyjrzała się zebrany w komnacie. Gdy stało się jasne, że ich mistrz nie żyje, gargulce odstąpiły od wrót, ale czterech odzianych w długie szaty Antykwariuszy trzymało straż przy zwłokach, pilnując, by nikt ich nie dotykał. W izbie zgromadziła się większość tych Panów i Pań, których mieszkanka bagien widziała, gdy Aelthar domagał się posłuchania. Trupa odkryto ledwie przed kilkoma minutami, a oni popędzili, by na własne oczy przekonać się, co się stało. Truczna, Bram, Andersen i Ziarnko Pieprzu przybyli wraz z Byстрыm. Nikt ich nie zaczepiał. Ku uldze dziewczyny, w komnacie nie było Asinastry.

Mieszkanka bagien ujrzała za to Aelthara, z nienawiścią spoglądającego ku niej spod płomiennorudej czupryny. Sztylet, który mu przyniosła, ugodził Hierofanta. Była zatem bardziej niż pewna, kto odpowiada za tę zbrodnię.

Jednak najbardziej niepokoiło ją zupełnie co innego. Dopiero co wyzdrowiała, nie przygniatał jej już ciężar wiedzy, który rzucił na nią Hierofant, ale radzenie sobie z nowym problemem zdawało się ją przerastać.

Zamordowano Hierofanta. Bajarza zabiła jedna z jego postaci.

Zatem kto teraz pisze jej opowieść?

Zabrakło jej czasu, aby dłużej się nad tym zastanawiać, ujrzała bowiem niezmiernie piękną kobietę odzianą w suknię koloru srebra, skrzącą się jak woda w blasku słońca. Przeszła przez komnatę z gracją i lekkością, przykuwając wzrok wszystkich zgromadzonych, którzy odstępowali, by ją przepuścić. Wreszcie stanęła przy Hierofancie.

– To ona – wyszeptała oszołomiona Ziarnko.

– Kto? – spytał Bram.

– Widzieliśmy ją – powiedziała Truczna podejrziwym tonem. – W pałacu Pana Faerie.

Nieskończenie błękitne oczy pięknej nieznajomej spoczęły na ciele starca i wtedy wydała z siebie westchnienie straszliwej żalości, tak jakby wiatr zaszeleścił pośród cmentarnych cisów.

– Ją? – dopytywał się Bystry. – Na pewno?

– To była ona – potwierdziła Truczna. Kogoś takiego niełatwo zapomnieć. – Kim ona jest?

Zgromadzeni ujrzeni, jak po gładkiej twarzy kobiety splywa jedna, kryształowo czysta łza.

– To Pariasa, Władczyni Aeriad – wyjaśnił Bystry. – Żona Hierofanta.

– Jego żona? – zapytała Truczna, odwracając się do Antykwariusza. – Hierofant miał żonę?

Starzec pokiwał głową.

Dziewczyna zastanawiała się przez chwilę, jej twarz przybrała wyraz pełen skupienia.

Wszystko zdawało się do siebie pasować. Sztylet, kobieta faerie, Aelthar...

– Musimy iść – powiedziała. – Zostało nam już niewiele czasu.

Szybkim krokiem ruszyli przez surowe, kamienne korytarze zamku Hierofanta. Truczna na przedzie, Andersen skacząc między jej stopami. Pochód zamykał ciężko sapiący Bram. Dziewczyna rozglądała się wokół nerwowo, starała się trzymać z dala od cieni i ostrożnie przyglądała się każdemu obcemu.

– Truczno, co się dzieje? Gdzie my idziemy? – zapytała Ziarnko, szybko krocząc u jej boku.

– Wychodzimy stąd. Grozi nam niebezpieczeństwo. Wszystkim.

– Niebezpieczeństwo? – wydyszał Bram. – Dlaczego?

Dziewczyna zatrzymała się na chwilę, aby mógł złapać oddech.

Bystry, choć co najmniej o dwadzieścia lat starszy od łowcy, nawet się nie spocił.

– Słuchaj – zaczęła, badając wzrokiem korytarz. – Jesteśmy jedynymi osobami, które wiedzą o sztylecie. Wszyscy pozostali, jeśli w ogóle coś o tym wiedzą, pomyślą, że miała go Asinastra. Nie rozumiesz? Ktokolwiek zabił Hierofanta, na pewno chce też naszej śmierci. Tylko my możemy oskarżyć kogoś innego niż Władczynię Pająków.

– A kto to zrobił? – zapytał Bram.

– Aelthar! – chórem zawołali Truczna, Ziarnko Pieprzu i Bystry.

Łowca podrapał rondo kapelusza.

– Wygląda na to, że jesteśmy jednomyślni – odpowiedział, trochę zmieszany, że pojął rzecz ostatni.

– Później wszystko wyjaśnię – powiedziała dziewczyna. – Teraz musimy poszukać bezpiecznego miejsca!

– Zaczekaj – rzucił Bram, przedłużając sobie czas odpoczynku.

– Dlaczego po prostu nie powiesz tego wszystkim już teraz, w komnacie Hierofanta? Myślałem, że w tym zamku nic nam nie grozi.

– Byliśmy pod opieką Hierofanta. To chyba źle, że on nie żyje, prawda? – Ziarnko jęknęła ze zgrozą.

– Nie mogę jeszcze oskarżyć Aelthara – oświadczyła Truczna.

– Potrzebuję jakiegoś dowodu albo kogoś, kto by mnie poparł. Teraz nie mam nic, co powstrzymałoby go przed zabiciem nas wszystkich.

Powstrzymało jego albo Asinastę, dodała w myślach, pamiętając swoje ostatnie spotkanie z pajęczycą na tarasie.

– Dowód... – wymamrotał Bystry. Nagle jego oczy załśniły. – Biblioteka!

– Co jest w bibliotece?

– Opowieść Melcherona! Był Antykwariuszem, tak jak ja, tyle że Głównym Antykwariuszem, zatem wszystko, co zobaczył, aż do jego śmierci, powinno być zapisane. Jeśli widział, kto albo co go zabiło...

– ...jest to zapisane w księdze jego życia – dokończyła Truczna. – To, co wie on, wie też księga! Doskonale!

– A ja myślałam, że idziemy do jakiegoś bezpiecznego miejsca – jęknęła Ziarnko.

– Potem – przyrzekła Truczna. – Ale to musimy zrobić najpierw. Jeśli Aelthar pierwszy na to wpadnie...

– Dobra, koniec gadania – uciał Bram, choć to przez niego się zatrzymali. – Idziemy.

W Wielkiej Bibliotece panowała niesamowita cisza.

Przyjaciele ostrożnie wędrowali labiryntem przejść między regałami, skryci w cieniu półek sięgających wiele pięter w górę. Na krawędziach światła rzucanego przez latarnie czał się

mrok, cisza zdawała się dzwonić w uszach. Wszyscy Antykwariusze, usłyszawszy o śmierci swego mistrza, opuścili księżnicę. Truczna zaczęła się zastanawiać, czy dobrze zrobili, przychodząc tutaj. W owym niekończącym się labiryncie ktoś mógłby łatwo ich napaść, a nikt nie pospieszyłby im z pomocą.

Ruszyli za Bystrym przez korytarze między regałami, dalej schodami w górę i po wąskich mostach. To, że Antykwariusz nie gubił się w gąszczu biblioteki, pozostawało dla dziewczyny tajemnicą; nawet Andersen zdawał się cieszyć, że tym razem może potulnie iść ze wszystkimi, i nie wrywał się do przodu, jak to miał w zwyczaju. Zatrzymali się w malej komnacie, gdzie chyliły się ku sobie dwa regały z książkami, a pod ścianą stało puste biurko oświetlone latarnią. Truczna zdziwiła się, dlaczego latarnie wciąż się palą, potem uznała, że chodzi pewnie o jakieś czary, aż wreszcie doszła do wniosku, że to przecież charakterystyczny dla Hierofanta brak dbałości o szczegóły. Głowa ją bolała od zastanawiania się nad tym wszystkim. Zwłaszcza że owo niekończące się światło mogło mieć jakąś całkiem zwyczajną przyczynę – której po prostu nie umiała znaleźć.

Bram jednak się nie mylił, pomyślała, patrząc, jak Bystry szuka książki opatrzonej imieniem Melcherona. Umarłabym bez walki, jeśli mi o tym nie powiedział. Ale Hierofant nie żyje. Czy teraz panuję nad swoim przeznaczeniem? Czy tak naprawdę on kiedykolwiek miał nade mną władzę?

Tak wielu rzeczy nie była pewna. Jak ten świat mógł nadal istnieć bez Hierofanta, tego, który ją stworzył? Przecież zaczął się rozpadać, kiedy ona znalazła się na krawędzi śmierci. W tej historii najwyraźniej okazała się ważniejsza od człowieka, który ją pisał. A co, jeśli Melcheron się mylił? Jeżeli istnieje jakiś potężniejszy, niewidzialny Hierofant – który stworzył Melcherona w podobny sposób, jak Melcheron stworzył ją – nadzorca wszystkich Krain, które bez niej istnieć nie mogą, bez Melcherona zaś owszem? Te myśli tak ją przytłoczyły, że nagle poczuła się okropnie mała i samotna.

– Nie ma jej tutaj – stwierdził Bystry. Jeszcze raz przejrzał półki, jakby nie wierząc własnym oczom, a potem potrząsnął głową. – Nie ma. Znikła.

Truczna zgarbiła się.

– Jesteś pewien? – spytała jak tonący, który rozpaczliwie pragnie czegoś się uchwycić.

– Jak najbardziej – odparł Bystry. – Musieli już wcześniej zaplanować kradzież. Zabrali księgę, wiedząc, że może zostać użyta przeciwko nim.

– Jak ktoś mógł po prostu zabrać stąd książkę?! – krzyknęła dziewczyna. – Myślałam, że tego miejsca strzegą czary!

– Księgi są niezniszczalne – odparł starzec. – Ale można je zabrać. Właściwie nikt nie może wynieść ich z biblioteki, ale nieliczni tak: Antykwariusze i jeszcze kilka innych osób, zaufanych Melcherona. Gdyby Hierofant żył, dzięki czarom zaraz dowiedziałby się o kradzieży.

– A zatem wzięli księgę, gdy Melcheron został już zamordowany? – spytał Bram, pojmując, o co chodzi. – Wziął ją ktoś bliski Melcheronowi?

– W rzeczy samej – potwierdziła Truczna.

– Jesteś pewna, że to Aelthar? – spytał łowca, trąc wąż schowanymi w rękawicy kostkami palców. – Jakoś nie mogę uwierzyć, żeby Melcheron bardzo mu ufał. I jak on przeszedł obok tych gargulców i dostał się do komnaty Hierofanta? Wcześniej go przecież nie wpuszczały.

– Bo to nie był Aelthar – odparła dziewczyna. – Musimy iść.

Andersen nagle syknął; zatrzymali się w pół kroku, tak jakby ktoś szepnął: słuchajcie!

Zatem słuchali. Cisza dźwięczała im w uszach. Truczna spojrzała w dół, na długie rzędy regałów, tam, gdzie nikły w mroku. Przed chwilą odniosła jakieś dziwne wrażenie, jakby skądś dochodził szmer znanego dźwięku, tak jednak cichy, że właściwie go nie słyszała. Lecz kot

pogoń. Dziewczyna czuła, jak narasta w niej panika, jednak nie okazywała tego. Pędziła, trzymając Ziarnko za rękę, niemal wyczuwała płynące przez tę dłoń przerażenie. Bram hałaśliwie biegł gdzieś daleko z tyłu. Niósł Andersena, by się o niego nie potknąć, kot bowiem wciąż plątał się pod nogami.

– Wypadli z wąskiej alejki między półkami na szeroki, zastawiony regałami korytarz. Bystry nagle zatrzymał się, spojrział w jedną stronę, potem w drugą. Nieskończenie długie rzędy tomów ciągnęły się w obu kierunkach, znikając gdzieś pośród mroku. Blisko na stole świeciła latarnia, jej blask sprawiał, że po twarzach uciekinierów snuły się dziwaczne cienie.

– Dlaczego się zatrzymałeś? – zawołała Trucizna.

– Myślę, do cholery! – rzucił przez ramię Bystry. Zdumiała się. Bez wątpienia starzec znalazł się na skraju wytrzymałości. Nigdy wcześniej się nie denerwował, teraz więc jego słowa zabrzmiały wyjątkowo ostro. – A tobie pewnie się zdaje, że łatwo przypomnieć sobie drogę przez tak rozległy teren?

– Myślałam, że jesteś Antykwariuszem! – krzyknęła dziewczyna. – Myślałam, że to twoje powołanie!

– Zamknij się, Trucizno – warknął Bram. – Tylko przeszkadzasz.

Zszokowana umilkła. Dała za wygraną, ale wciąż była wściekła. Bystry zerknął na nią, a potem znów się zamyślił. Nagle bardzo wyraźnie dziewczyna uświadomiła sobie, że nie słyszy już dzwoneczka.

Chwilę później ujrzała migoczące płatki spadające na nich jak śnieg. Targnął nią niepokój. Spojrzała w górę.

Straszydło stało na moście nad korytarzem. W cieniu jego kapelusza błyszcząły dwie żółte szparki oczu. Upiór rozrzucał pył, którego obłok powoli płynął ku ich głowom.

– Trucizno, chce mi się spać – usłyszała zza pleców głos Ziarnka i poczuła, jak jasnowłosa rozluźnia chwyt.

– Strząśnij to z siebie! – krzyknęła, otrzepując ubranie i włosy.

I ją zaczęło ogarniać znużenie przenikające do szpiku kości.

Próbowała otrzepać też Ziarnko, ale nie zdążyła jej pomóc. Było już za późno.

Jasnowłosa z jękiem osunęła się na podłogę i zasnęła pośród pyłu opadającego na posadzkę. Teraz już wszyscy dostrzegli zagrożenie i zaczęli strzepywać z siebie płatki, spadło ich jednak zbyt wiele i walka była skazana na przegraną. Bram upuścił Andersena, który przed zaśnięciem ledwie zdołał wylądować na czterech łapach. Bystry opadł na kolana. Łowca próbował jeszcze pokonać niemoc, z jego szerokiego kapelusza osypywały się strugi pyłu. Usilnie starał się nie zamykać oczu. A płatki wciąż spadały.

Trucizna poczuła, jak omywa ją fala senności. Ujrzała Bystrego, łagodnie układającego się na ziemi, i pomyślała, że wspaniale byłoby też poddać się senności. Ręce miała teraz ciężkie, bez przekonania uderzała nimi o ubranie, wciąż starając się strząsnąć pył. Ale już na wpół spała, prawie nieprzytomna, przegrywając bój z magią faerie. Usłyszała za sobą pomruk i głuche uderzenie. To na podłogę opadł Bram. Została tylko ona. Ona i Straszydło.

Nie miała pojęcia, w jaki sposób upiór przedostał się z mostu na parter. Nie zauważyła, czy skoczył, czy też użył czarów. Traciła i odyskiwała przytomność, chwiała się na nogach, a on zbliżał się niczym w sennym koszmarze. Z rękawów długiej, potarganej szaty wystawały chude ręce pokryte zmarszczkami. Szpary oczu płonęły pod wielkim rondem kapelusza, szerszym nawet niż u łowcy ogników. W dłoni Straszydło trzymało dzwonek. Potrząsało nim, a hipnotyzujący dźwięk kołysał Truciznę do snu. Znów się zachwiała, nie mogła znaleźć nawet tyle siły, aby strząsnąć z siebie płatki. Jeśli zaśnie, umrze... i chociaż to wiedziała, coraz słabiej się broniła, zapadała w otchłań.

Straszydło znów zadzwoniło.

Z trudem dotarła do pobliskiego stołu i oparła się mocno na rękach, powierzając się im teraz, gdy zawiodły nogi. Latarnia błyszczała przyćmionym światłem, zachęcając do drzemki w kojącym zamgleniu.

– Nie... – powiedziała przez zaciśnięte zęby.

I przywołała obraz Azalii leżącej w swoim łóżeczku. Azalii, którą właśnie Straszydło porwało. Pomyślała o czarnookim podmieńcu, zostawionym na jej miejsce. Od Straszydła wszystko się zaczęło. Przez tego upiora tyle wycierpiała. Przywołała całą nagromadzoną w sobie wściekłość i nienawiść. Zanim to się skończy, chciała jeszcze się zemścić i owo pragnienie przywróciło jej resztkę sił. Zdobyła się na ostateczny, rozpaczliwy wysiłek.

Odwróciła się z cichym okrzykiem, podniosła latarnię i cisnęła nią w potwora. Lampa roztrzaskała mu się na piersi, rozbryzgując wokół płonąca zawartość. Upiór wrzasnął, a potem ogarnął go ogień, języki płomieni chciwie objęły jego szatę. Bezradnie machał rękami, zataczając się i uderzając o regały – które, wciąż chronione magią, pozostały nietknięte żarem – krzyczał, ogień zaś stawał się coraz większy i gorętszy. Wokół rozszedł się swąd spalenizny. Wyczerpana Truczna zachwiała się i osunęła na podłogę. Gdy spadała w otchłań zapomnienia, do jej uszu docierało skomlenie umierającego Straszydła, a gasnące oczy wpatrywały się w kolumnę płomieni, wznoszącą się tam, gdzie upiór zmieniał się w kupę dymiących łachmanów.

A potem słabość odeszła, tak jakby ktoś zdjął z pleców Truczny gruby, ciężki koc. Poczula, że wraca jej energia, mięśnie odzyskują siły, a myśli jasność. Wstała, niepewna jeszcze swoich nóg. Wraz ze śmiercią faerie pył stracił moc. Na twarzy dziewczyny pojawił się szeroki, choć pełen niedowierzania uśmiech. Pokonała Straszydło. Zgładziła istotę, która ukradła jej siostrę.

Pozostali zaczęli się otrząsać z nienaturalnego snu. Truczna pomogła im wstać i kazała Ziarnku podnieść kota. Jasnowłosa posłuchała, wciąż oszołomiona.

Gdy wszyscy doszli do siebie, mieszkanka bagien spojrzała na czarny stos łachmanów, który jeszcze niedawno był Straszydłem. Podziwiała tańczące na nich płomienie i dym i uśmiechała się radośnie.

Zemsta nigdy jeszcze nie była taka słodka.

Ur-Lord

Zamek Grugarotha zwiisał nad gorejącym kraterem, wielką paszczą pełną bulgoczącej magmy, która przewalała się i zionęła cuchnącymi oparami. Wewnątrz gigantycznej jaskini, głęboko pod ciemną, twardą ziemią Krainy Trolli, znajdowało się olbrzymie jezioro płynnej lawy, oddzielone od niebios milionami ton skały. Twierdzę podtrzymywał wielki żelazny pierścień, odchodziło od niego pięć łańcuchów o ogniwach grubych na dziesięć metrów. Pierścień ten opasywał zamek u podstawy, gdzie łączył się z twardym kamieniem fundamentów; sięgały one niżej, zwężając się w poszarpany szpic sterczący nad lawą. Wyglądało to tak, jakby całą niesamowitą fortecę z korzeniami wyrwano z podłoża, na którym została wzniesiona, i uwięziono tutaj, nad wrzącą, piekielną czeluścią. Co zresztą, mniej więcej, odpowiadało prawdzie.

Warownia wyglądała niesamowicie – czarna budowla z żelaza, niska i płaska jak wielkie kowadło, pełna kantów i szpiców. Dochodzący z dołu czerwony blask przydawał jej demonicznego wyglądu. Nad magmą połyskiwały światła prostokątnych okien.

Na końcu wielkiego mostu, łączącego fortecę z brzegiem ognistego jeziora, szczyrzyła zęby groźna krata.

Cała konstrukcja wisiała na przekór prawom fizyki, wedle zdrowego rozsądku nie powinna istnieć – a jednak, bez wątpienia, istniała.

Ściany i podłogę jaskini przysłaniała mozaika drewnianych platform, drabin, słupów, nadpróż i przegubów. W ścianach ziały wyloty tuneli, a wszędzie wokół kręciło się mnóstwo trolli. Karły o brudnych twarzach wydobywały rudę, ogorzałe gnomy kreśliły wykresy, a ogry krzątały się wokół, przenosząc głązy. W powietrzu unosił się odór potu i siarki. Ze spawanych, żelaznych machin tryskały iskry. Rozżarzony do czerwoności metal syczał, zanurzany w lodowato zimnej wodzie. Zewsząd dobiegały okrzyki majstrów oraz rytmiczne śpiewy robotników, trzających się w kopalniach i kamieniołomach dla swego władcy.

Grugaroth siedział na tronie z czarnego żelaza, pośród czerwonego blasku rozświetlającego wielką salę. Przygarbił się, jego małe oczka tonęły pod wielkimi brwiami, palcami bębnił w podłokietnik. Rozmyślał już od wielu godzin. Przy boku miał swój wielki młot. Słyszał o śmierci Hierofanta, utrzymywał bowiem szpiegów, chociaż kiedy tylko się dało, nad subtelność przedkładał siłę. Teraz głęboko, powoli rozważał całą sprawę. Nigdy nie był ani tak bystry, ani tak inteligentny jak pozostali władcy, nie brakowało mu jednak sprytu i przebiegłości. Dzięki nim tak długo utrzymywał się na tronie.

Nie spostrzegł, że zbliżył się do niego gnom, ledwie sięgający mu do kolan. Dopiero trzecie nerwowe kasznięcie gościa wyrwało go z zadumy. Mruczając, spojrział na stwora, dziwiąc się, że towarzyszy mu jakaś ponura ludzka istota.

– Proszę o wybaczenie Waszej Wysokości – zaczął gnom. – Jestem Babghoh, twój unizony sługa i jeden ze strażników twojej potężnej, kamiennej biblioteki.

Grugarotha niewiele to obchodziło, miał jednak cierpliwość lodowca, dlatego czekał, co gnom mu powie.

– Wasza Wysokość, niedawno do naszej Krainy przybyła grupa ludzi. Jeden z nich, ta młoda kobieta imieniem Truczna, powołał się na Prawo Amry i chce z tobą rozmawiać.

Z głębin piersi Grugarotha wydobył się dudniący grzmot, oznaczający zgodę.
– Poza tym – ciągnął Babghoh – prosiła mnie, bym przekazał ci, panie, iż jest w posiadaniu wiadomości o Panu Faerie, Aeltharze. Prosiła też, bym powiedział, że ma z Waszą Wysokością wspólnego wroga.

Król Trolli powoli uniół brew, jego czerwone oczy spojrzały na dziewczynę.

– Niechaj mówi – zagrzmał.

W Krainie Hierofanta nie istniały dzień ani noc, jedynie niekończąca się burza. Dlatego trudno było mierzyć tam czas. Wedle ludzkiej rachuby od rozmowy Trucziny z Grugarothem do pojawienia się trolli w warowni minęło ledwie dwanaście godzin.

Nadejście ur-ludów nikogo nie zaskoczyło. Podobnie zrobiło wielu Panów i Pań, którzy odeszli wcześniej, rozgniewani odmową ujawnienia im szczegółów związanych z nowym dziełem Hierofanta. Śmierć Melcherona wszystko zmieniła. Przecież musiał mieć następcę, a wszystkich wielce ciekawiło, kto nim zostanie. Hierofant nie uczył bowiem żadnego czeladnika, nie wyznaczył żadnego spadkobiercy – co znaczyło, że nowy Główny Antykwariusz zostanie wybrany. Spośród ludzi. Podobnie jak Prawo Amry, to też stanowiło niepodważalną regułę.

Wszystkich dręczyła niepewność. Zazwyczaj stary Hierofant obmyślał dla swego ucznia jakiś niezwykły sprawdzian, zadanie na pierwszy rzut oka niemożliwe do wykonania, dzięki któremu mógł dowiedzieć, iż gozdzien jest nosić płaszcz najwyższego prawodawcy. Z biegiem czasu testy czeladników stawały się coraz bardziej subtelne, zawile, tak że tylko niekiedy zdawali sobie sprawę, że są im poddawani. Ale jeszcze nigdy, jak daleko sięgano pamięcią, żaden Hierofant nie umarł, nie pozostawiając następcy. Po raz pierwszy owa godność znalazła się w zasięgu każdego.

Jednak kto odważyłby się po nią sięgnąć? Wcale nie było łatwo obwołać się Hierofantem. Panowie rozerwaliby takiego śmiałka na strzępy. Nie można przecież, ot tak, stać się najważniejszą osobą we wszystkich Krainach.

W jeszcze większe zmieszanie wprawiło władców to, co chciał od nich Grugaroth. Król Trolli poprosił, by wszyscy Panowie i Panie natychmiast zgromadzili się w największej sali zamku. A szczególnie zależało mu na obecności Aelthara.

Stawili się wszyscy. W takiej sytuacji nawet najbliższa sprawa mogła okazać się niezwykle istotna.

Władcy zbierali się pod wielkimi kamiennymi lukami, stłoczeni między kolumnami podpierającymi sklepienie. Ich świty śledziły rozwój wydarzeń z okalających salę krużganków. Panowie i Panie ustawiali się w krąg – i te najdziwniejsze istoty oświetlał wiszący nad nimi olbrzymi kandelabr z kutego żelaza. Za wysokimi oknami po obu stronach sali szalała burza.

Wreszcie przybyli ostatni z władców.

– Grugarocie, oto jesteśmy – rzekł Aelthar, uśmiechając się kpiąco. U pasa miał Myghognimar, wiedział bowiem, że w ten sposób rozeźli Króla Trolli. – Czas, abyś nas oświecił, cóż jest dla ciebie aż tak ważne.

Grugaroth warknął ostrzegawczo, zmarszczył czoło i zacisnął potężne szczęki.

– Truczino – rzucik – Wystąp.

Więc wystąpiła. Ziarno ścisnęła jej rękę, aby dodać otuchy, Bram położył dziewczynie dłoń na ramieniu. A potem mieszkanka bagien przycisnęła się między szeregami brudnych karłów, gnomów i trolli i stanęła u boku Grugarotha. W porównaniu z Panami i Panią zdawała się maleńka, wszyscy ją przerastali. Miała jednak w sobie zbyt wiele gniewu, żeby dać się przytłoczyć.

– Znowu to coś? – jęknął Aelthar. – Ależ się z ciebie zrobił męczący cierń.

Król Trolli nie zwrócił na niego uwagi.

– Wzywam wszystkich na świadków – zadudnił. – Ta dziewczyna i jej towarzysze są tu

pod moją opieką. Nie stanie im się krzywda.

Zgromadzeni przytaknęli, raczej bez entuzjazmu. Wszyscy czekali, co się stanie.

Truczna błyszczącymi oczami wpatrywała się w Panów i Panie: w Umbilicusa, unoszącego się w powietrzu jako bezcielesne zwłoki; w Pana Demonów, z rogami i kopytami, otoczonego przez płomienie; w migoczącą Wieczność; Gomma, wielkiego, podobnego drzewu golema drewna; eteryczną Pariasę, wdowę po Hierofancie. Byli też inni, których nie rozpoznawała, nie widziała jednak Asinastry. Czyżby Władczyni Pająków uciekła do swej Krainy, lękając się, że zostanie oskarżona o udział w morderstwie? Albo niewidoczna czaiła się gdzieś w pobliżu, wyczekując odpowiedniej chwili?

Teraz, gdy zawarła układ z Grugarothem, Truczna czuła się nieco lepiej. Opieka w zamian za pomoc w zemście na znieprawionym wrogu. Prosty układ. Ale czy na pewno nic jej teraz nie grozi? Wszak kiedy otworzy usta, aby przemówić, Aelthar i jego sojusznicy jeszcze bardziej zapragną jej śmierci.

Dlaczego w ogóle to robi? Dlaczego po prostu nie zaszyje się w jakimś kącie? Znała odpowiedź. Póki nie stawi czoła Aeltharowi, ten nie przestanie jej ścigać, aż wreszcie ją zabije. Ona za dużo wie. A poza tym jest jeszcze jedna, drobna sprawa: Azalia. Dopóki jakoś nie przycisnie go do muru, nigdy nie odzyska siostry. Nie potrafiła już sobie wyobrazić twarzy Azalii, nie widząc przy tym czarnych oczu podmieńca.

– Wiem, kto zabił Hierofanta – oznajmiła, a jej słowa zabrzmiały zadziwiająco głośno. – Oskarżam Aelthara, Pana Faerie, oraz Pariasę, Panią Aeriad.

W sali rozpętało się piekło. Członkowie orszaków zakrzyknęli albo z oburzenia, jak taki maluczki człowiek śmie oskarżać Władcę, albo też by wyrazić poparcie dla dziewczyny. Aelthar był jednym z potężniejszych władców, teraz może najpotężniejszym, lecz z pewnością nie należał do najbardziej lubianych. Miał wielu wrogów, którym słowa Truczny dały nadzieję dokonania z dawna oczekiwanej zemsty.

Sami oskarżeni niemal nie okazali emocji. Pani Pariasa ledwie mrugnęła na znak, że usłyszała zarzut, i zmierzyła dziewczynę swoim obcym, głębokim spojrzeniem. Aelthar uśmiechał się pogardliwie. Podniósł ręce, aby uciszyć zebranych. Umilkli.

– Wyjaśnij to – rzekł tonem tak protekcyjnym, na jaki tylko potrafił się zdobyć.

Truczna wytrzymała jego spojrzenie o chwilę za długo. Była zaniepokojona i dała to po sobie poznać. On miał zbyt wiele pewności siebie, za dużo buty w obliczu takiego oskarżenia. Czyżby skrywał coś w zanadrzu?

Przełknęła ślinę, czując na sobie ciężar wielu spojrzeń.

– Niedawno odwiedziłam pałac Aelthara, aby upomnieć się o siostrę, którą mi skradł – powiedziała; jej słowa niknęły pośród ciszy. – Gdy tam się znalazłam, zaproponował mi układ: miałam ukraść dla niego pewną rzecz, w zamian za to obiecał bezpieczny powrót mojej siostry do domu. Chodziło mu o sztylet, rozszczepiony sztylet, należący do Pani Asinastry.

– Nie zaprzeczam – rzekł Aelthar, krzyżując ramiona i odrzucając pukle włosów.

Pośród zgromadzonych rozległ się szmer.

– Zatem przyznajesz się, że sztylet znaleziony w plecach Hierofanta był sztyletem, który ta dziewczyna miała dla ciebie ukraść?

– We wszystkich Krainach taki jest tylko jeden – wzruszył ramionami. – Nóż spijający krew. Jedna z najcenniejszych rzeczy tutaj. Nieopisanie cenna.

Człowiek sugeruje, że sztylet, który zdobyłeś, został przez ciebie użyty do zabicia Hierofanta.

Minęło kilka chwil, nim Truczna pojęła, skąd dobiega ten cichy, łamiący się szept, zresztą stało się tak tylko dlatego, że podążyła za spojrzeniem Aelthara. Mówił Umbilicus,

łatający trup otoczony upiornym zielonym światłem. A raczej duch, który nim poruszał.

– Wiem, co sugeruje – odparł Aelthar. – Ale proszę, pozwólm jej dokończyć.

Dziewczynę wciąż niepokoiła ta jego niezachwiana pewność siebie. Zerknęła na kobietę faerie, drugą oskarżoną, ale z jej zachowania niczego nie dało się wyczytać.

– Po tym, jak ukradłam sztylet, Aelthar uwięził mnie i moich przyjaciół. Uciekliśmy i podsluchaliśmy go, kiedy rozkazywał nas zgładzić. Byliśmy wszak jedynymi, którzy wiedzieli o sztylcie. Nawet Asinastra nie wiedziała, kto go zabrał.

No, nie całkiem, dodała w duchu, nie bez satysfakcji. Aeltharze, jeden wróg więcej. Jeszcze jeden za to, że ukradłeś mi siostrę.

– Dalej – zachęcił Pan Faerie.

– Był to sztylet, którego użyto, by zamordować Melcherona; jednak to nie Aelthar go zabił. Zrobiła to Pariasa, żona Hierofanta. Kto inny mógłby przejść obok gargulców strzegących drzwi do jego komnat? Oczywiście, mógł to też zrobić jakiś Antykwariusz; ale po co? Niedługo po tym, jak wróciłam ze sztyletem, widziałam Panią Pariasę w pałacu Pana Faerie. Ona miała powód, żeby uśmiercić męża.

Mówiąc to, przypatrywała się pełnej pychy, wyniosłej twarzy Aelthara, i z zadowoleniem dostrzegła, że końcówka jej wypowiedzi nim wstrząsnęła. Zerknął na Pariasę, ale ta wciąż niewzruszenie spoglądała na dziewczynę. Władca Faerie nie wiedział, że Truczna i Ziarno Pieprzu widziały ją w jego pałacu.

– Ona jest Władczynią Aeriad – ciągnęła mieszkanka bagien, korzystając z chwilowej słabości Pana – ale Aeriady należą do rodu faerie i dlatego winna jest posłuszeństwo Aeltharowi. To nie tajemnica, że Hierofant pracował nad czymś nowym, czymś, czego wszyscy się obawialiście. Ale czy obawialiście się tego aż tak bardzo, by dopuścić się zbrodni? Ktokolwiek z was? Czy też Aelthar wiedział, co pisze Hierofant, i postanowił za wszelką cenę go powstrzymać?

Słowa te odniosły zamierzony skutek. Oburzenie. Grugaroth osłonił Trucznię i rozejrzał się po sali. Tym razem musieli długo czekać na ciszę.

– Uważam, że Pariasa to wiedziała. Hierofant pewnie mówił jej o tym, co robił, bo dlaczego nie? Może nie podejrzewał, że ona go zdradzi. Może nie wiedział, że pójdzie do swego prawdziwego pana, Pana Aelthara, i opowie mu o wszystkim. Aelthar, rzecz jasna, był spośród was tym, który najgłośnieściej żądał, aby Hierofant objawił mu swe nowe dzieło – w razie czego miało to świadczyć o jego niewinności. Ale on już wiedział; o czymkolwiek pisał Hierofant, wiedział, że jest to złe dla faerie. On i żona Hierofanta wspólnie postanowili go zamordować. Uważali, że jego praca nie powinna nigdy zostać ukończona i przeczytana, tak aby stać się prawem. Wy zaś moglibyście najwyżej podążyć tropem: sztylet i Asinastra, bo gdyby plany Aelthara się powiodły, ja i moi przyjaciele już byśmy nie żyli. A wy oskarżylibyście ją o morderstwo.

– Ona mówi całkiem przekonująco – wyszeptał Umbilicus. Jego marionetkowe ciało nie poruszało się, lecz bezwładnie zwisało w powietrzu.

– Jednak nie okazuje przy tym żadnych dowodów – skwitował Aelthar.

– Dowody są dla ludzkich sądów – wydułnił Grugaroth.

Faerie wzruszył ramionami.

– Oczywiście, masz rację. Szczęśliwie nie mamy tu żadnej z tych nużących i ostatecznie nieskutecznych rzeczy, do których tak przywiązani są ludzie. To nie jest sąd. Wy nie jesteście sędziami. Ale wszystkie przedstawione okoliczności, jeśli byłyby prawdziwe, starczyłyby, aby w waszych oczach uczynić mnie winnym. – Przyjrzał się swoim paznokciom. – Niestety, to wszystko nieprawda.

Przyznaję, że chciałem ją zabić, gdy wróci od Asinastry. Wiecie przecież, jak bardzo przywiązany jestem do ludzi.

Wśród zgromadzonych faerie rozległy się ciche śmiechy.

– Ale nie planowałem tego z powodów, o których ona mówi. Po prostu ona nie dotrzymała warunków umowy. Nie przyniosła mi sztyletu!

– To kłamstwo! – krzyknęła Truczna.

– Hm? – mruknął Aelthar z przebiegłym uśmieszkiem. – Jak przypuszczam, nikt poza twoimi przyjaciółmi ludźmi nie widział u ciebie tego sztyletu?

– Scriddle widział – odparła, czując, jak zamiera w niej serce.

– Scriddle! – zawołał Aelthar. Chwilę później służalec stanął u jego boku. – Czy to prawda? – spytał teatralnym głosem.

– Nie wszystko – odparł skryba z szerokim uśmiechem. – Wróciła z pustymi rękami.

Aelthar odwrócił się ku zgromadzonym z wiele mówiącym gestem.

– Widzicie? Przyznaję, wysłałem ją po ten sztylet. Przyznaję, że chciałem go dla siebie. Ale to był tylko kaprys. Dałem jej zadanie niemożliwe do wykonania, aby odpłacić za bezczelność, jaką okazała podczas audiencji. Wysłałem ją z pełną świadomością tego, że skazuję ją na śmierć w szczękach pajaków Asinastry. Dodam jednak, abyście nie pomyśleli, iż jestem aż tak okrutny, dodam, że dałem jej możliwość ucieczki, gdyby jakimś cudem udało jej się zdobyć sztylet. Lubię ryzyko. Nie, żebym w ogóle miał zamiar oddać jej siostrę. Jakże bowiem mógłbym poniżyć się do układów z człowiekiem!

Spora część zgromadzonych wybuchła śmiechem.

– Tak jak można było się spodziewać po tej rasie o zajęczych sercach, wróciła z pustymi rękami. Wątpię, by w ogóle podjęła tę próbę.

Truczna zawrzała z gniewu. Czowała, jak rumieniec wściekłości wypełza jej na szyję i policzki.

– Co do Pani Pariasy, rzec muszę, jeśli pozwoli mi przemówić w swojej obronie, że oczywiście nie spotykała się ze mną, od kiedy poślubiła Hierofanta. Moi poddani mogą również zaświadczyć, co robiłem między audiencją, której udzieliłem tej dziewczynie, a chwilą obecną. Prawie nigdy nie byłem wtedy sam, spotkałem się z kilkoma Panami, którzy są obecni na tej sali, a następnie powędrowałem prosto do warowni.

Jeszcze raz zwrócił się do zgromadzonych:

– Przyznaję, chciałem śmierci Hierofanta. Chciałem śmierci wszystkich ludzi, tego całego plugawego robactwa. Gardzę nimi. Ale nie zabiłem go i nie zabiła go Pani Pariasa. Ta dziewczyna jest urodzonym bajzarzem; wymyśliła zgrabną opowiadkę. Ale prawda jest taka, że nosi w sobie głęboką urazę do mnie. Przed wieloma laty zabrałem jej siostrę i od tego czasu życzy mi jak najgorzej.

Truczna poczuła suchość w ustach: przed wieloma laty?

Przypomniała sobie słowa Brama, które wypowiedział, kiedy szła do domu Kościanej Wiedźmy i Krainy Faerie: „Czas nie płynie tam tak jak tutaj”.

– A zatem mamy teraz taką oto sytuację: słowo tej dziewczyny przeciw mojemu słowu i słowu Pani Aeriad – podsumował Aelthar.

– Nie! – Truczna usłyszała swój głos, choć jej myśli krążyły wokół czegoś innego: wiele lat temu? – Nie, jest jeszcze jeden świadek. Sam Hierofant. Księgę Melcherona skradziono z Wielkiej Biblioteki jakiś czas po morderstwie. To znaczy, że zabójca wiedział, że jego imię może się znaleźć na jej kartach. Księgi wiedzą to, co wiedzą Antykwariusze, a Melcheron był Głównym Antykwariuszem. Musiał wiedzieć, kto był w komnacie, gdy on umierał, to zaś winno zostać zapisane w księdze i stać się widoczne po zabójstwie, nadszedł bowiem koniec opowieści.

Sądę, że tylko jedna osoba mogła zabrać księgę, jedyna osoba nie powstrzymana magią Hierofanta. Pariasa, jego żona, której ufał. Ta księga jest niezniszczalna. Jeśli ją odnajdziemy, odnajdziemy też mordercę.

Po twarzy Aelthara przemknął cień niepokoju, a w sali rozbrzmiały szepty. Kradzież księgi była dla Panów i Pań czymś niesłychanym.

– Przeszukajcie komnaty Aelthara i Pariasy – rzekła Truczna. – Może znajdziecie odpowiedź.

– Odmawiam! – zawołał Aelthar.

Zapadła cisza.

– Czy ukrywasz tam coś? – zadudnił Król Trolli.

– Nie – warknął Pan. – Ale pomysł, by trolle wtykały łapska w moje rzeczy, napawa mnie nieopisanym wstrętem.

Na te słowa nikt się nie oburzył. Truczna zadrżała. Zgromadzeni zdawali się zbyt łatwo zmieniać zdanie, w zależności od tego, co właśnie usłyszeli. A jej nie chroniła już opieka Hierofanta. Każdego wolno tu było zaatakować, przebywał bowiem w Krainie bez Pana.

– Czekajcie! – zawołała, a jej głosik, o dziwo, uciszył wszystkich. – Czekajcie! Znalazłam rozwiązanie. Wyślijcie Antykwariuszy. Oni są bezstronni i odniosą się do własności Aelthara z należytych szacunkiem.

Aelthar zastanawiał się przez chwilę.

– Nie jego – odparł, wskazując palcem stojącego pośród trolli Bystrego. – Ale poza tym zgadzam się. Przeszukajcie moje komnaty i komnaty Pani. Nie znajdziecie tam księgi Melcherona. My zaś poczekamy tutaj, aż sprawa się wyjaśni.

– Dobrze – zadudnił Grugaroth.

Antykwariusze opuścili salę, a reszta czekała.

Nastał impas. Truczna uważnie przyglądała się Pani Aeriad. Bolałoby ją serce, że potępia tak piękną istotę, gdyby nie to, iż była przekonana o jej winie. Zerknęła na Bramę, Bystrego i Ziarnko Pieprzu. Jasnowłosa załamywała ręce, mężczyźni zachowywali śmiertelną powagę.

W jaki sposób dotarłam aż tutaj? – pomyślała Truczna. Jaki to wszystko ma sens? Po prostu chciałam odzyskać Azalię. Jeśli to naprawdę jakaś opowieść, dokąd to wszystko zmierza? I kto to teraz pisze, gdy Melcheron już nie żyje? Nic z tego nie rozumiem.

– Dobrze – po jakimś czasie odezwał się Aelthar. Przeciągnął się w swej błyszczącej srebrnej zbroi i posłał zgromadzonym promienny uśmiech. – Skoro nie mamy nic do roboty poza czekaniem i skoro jestem całkiem pewien swej niewinności, chciałbym poruszyć jeszcze jedną sprawę. Hierofant umarł i nie zostawił następcy. To sytuacja bez precedensu. Przecież ktoś musi być Hierofantem. Dlatego proponuję, abyśmy wystawili własnych kandydatów.

– W żyłach Hierofanta musi płynąć ludzka krew – wyszeptał Umbilicus. – Takie jest prawo.

– Zaiste – odparł Aelthar. – I w ich żyłach będzie ona płynąć, Wybierzmy ich z Krainy Człowieka. Szukajmy w niej najslynniejszych i najmędrszych mężów oraz słynne i mądre niewiasty. I za jakiś czas przedstawmy ich, a potem wspólnie wybierzmy spośród nich nowego Hierofanta.

Pomysł ten rozpętał burzliwą dyskusję. Zdawał się jednak uczciwym wyjściem z impasu, dlatego ostatecznie wszyscy niechętnie nań przystali.

– Zatem, Panowie i Panie, pozwólcie, że jako pierwszy zaprezentuję swojego kandydata – oznajmił Aelthar. – Przyznaję, że poczyniłem nieco przygotowań na wypadek takiej sytuacji jak obecna. Ludzie żyją niesłychanie krótko, prawda? Wystarczy tylko poczekać.

Kandydat wystąpił, a Truczna poczuła, jak ziemia osuwa jej się spod nóg.

Teraz wszystko miało sens. Nagle wszystkie fragmenty układanki znalazły się w odpowiednich miejscach.

W żyłach Hierofanta musi płynąć ludzka krew, pomyślała. Ale nikt nie powiedział, jak wiele musi on mieć z człowieka.

– Panowie i Panie, przedstawiam wam swego najbardziej zaufanego sekretarza Scriddle’a – mówił Aelthar, a dziewczyna czuła, że słania się na nogach i robi jej się słabo. Kiedy faerie zwrócił ku niej swe przeszywające spojrzenie, dostrzegła w jego oczach iskrę złości i niemal ujrzała, co on naprawdę zamierza.

Chce zabić nas wszystkich. Chce zetrzeć nas z powierzchni ziemi. Całą Krainę Człowieka.

Trucizna była tak przerażona, że ledwie usłyszała powracających Antykwariuszy, którzy oznajmili, że w komnatach oskarżonych nie znaleźli księgi Melcherona.

Wielkoduszną propozycja

Musimy cos zrobić – zaszlochała Ziarnko.

– Ktoś musi przemówić – zgodził się Bram. – Jeśli oni wiedzą...

– Wiedzą, wiedzą! – zawołała Truczna, krążąc po izbie Bystrego jak zwierzę zamknięte w klatce.

Andersen siedział nieopodal kominka i patrzył na nich uważnie. Deszcz nieustannie uderzał w okno, po szybie spływały strugi wody. Nikt w komnacie nie zauważał już błyskawic i gromów, nawet kot, wcześniej tak przerażony burzą.

Bystry siedział w swoim ulubionym fotelu. Wyprostowane palce dłoni złożył w daszek i trzymał przy ustach.

– Truczna ma rację – rzekł. – Oni wiedzą. Jakakolwiek jest prawda, nie ma wątpliwości, że Aelthar maczał w tym palce. Wiedziałem, że nienawidzi ludzi, ale nigdy nie zastanawiałem się, jak bardzo...

– To dlaczego go nie powstrzymali? – spytała Ziarnko Pieprzu. Siedziała w szerokich ramionach Brama, oczy miała zaczerwienione. Bardzo to wszystko przeżywała.

– To nie takie proste – odparł Bystry znużonym głosem. – Aelthar to najpotężniejszy z Panów. Ma najsilniejszą armię. Podczas Wojny Wielu Stron przed zmiążdżeniem ludzkości powstrzymała go jedynie interwencja Hierofanta. Żaden inny Pan albo Pani nie zdoła mu się przeciwstawić.

– Ale gdyby wszyscy... – rzuciła Truczna.

– A dlaczego mieliby to zrobić? – spytał starzec. – Żadne z nich ani trochę nie martwi się o losy ludzkości. W swojej własnej Krainie Pan albo Pani są praktycznie wszechmocni; ale teraz ta Kraina nie ma Pana i bez problemu można ją najechać. Ta cała farsa z wyborem Hierofanta to tylko pozory. Wysuwając kandydaturę Scriddle’a, Aelthar mówi: Domagam się tej Krainy. Kto mi się przeciwstawi? Może czuć się bezkarny, bo wie, że zdołają go pokonać tylko zjednoczeni Panowie i Panie. A oni nigdy się nie zjednoczą. Są zbyt podzieleni. Za wiele między nimi dawnych uraz. Będą sypać pogrózkami, protestować, ale mu się nie przeciwstawią. Zdobędzie tę Krainę bez rozlewu krwi.

Truczna spojrzała w płomienie, blask ognia zamigotał w jej fioletowych tęczęwkach.

– Aelthar osadzi Scriddle’a na miejscu Hierofanta i w ten sposób nikt nie przeszkodzi mu w wytopieniu naszej rasy. Scriddle jest może na wpół człowiekiem, ale przede wszystkim jest wierny faerie. Kraina Ludzi zginie.

– Wiedziałeś, że to beznadziejna sprawa – burknął łowca w stronę Antykwariusza. – Dlaczego więc pozwoliłeś jej to zrobić? Dlaczego pozwoliłeś jej oskarżyć Aelthara?

Truczna posłała przyjacielowi smutny uśmiech.

– Musiałam spróbować – powiedziała. – Bystry, wiedziałeś to, prawda? Tak czy owak bym to zrobiła.

– Przynajmniej ta sprawa pozostaje otwarta – rzekł starzec. – Nie wszystko jeszcze stracone.

– Nie wszystko stracone – powtórzyła Truczna. Potem obrzuciła łowcę dziwnym spojrzeniem. – Bram, sam mnie tego kiedyś nauczyłeś. Kiedy byłem na skraju śmierci, sprowadziłeś mnie z powrotem.

Łowca wyglądał na zaszokowanego, szeroko otworzył swe małe oczy ukryte w cieniu kapelusza.

– Co? Dziewczynko, o czym ty mówisz?

Truczna pokręciła głową, zdając sobie sprawę ze swej bezmyślności. Oczywiście, przecież on nie pamięta. Nikt nie pamięta. Niemoc, przez którą omal nie zginęli, znikła z ich wspomnień.

– Nieważne, Bram. Chciałam tylko powiedzieć, że nauczyłeś mnie czegoś ważnego.

– Zatem, Truczno, co nam pozostało? – spytał Bystry. – Co możemy zrobić?

– Wciąż gdzieś jest ta zaginiona księga – odparła dziewczyna.

– Opowieść Melcherona? – zapytał Antykwariusz, prostując się. – Nawet jeśli zdołalibyśmy ją odnaleźć, nic nam by to nie dało. Mielibyśmy dowód, ale nie bylibyśmy zdolni powstrzymać Aelthara.

– Może i nie – rzekła mieszkanka bagien. – Ale możemy się dowiedzieć, co takiego pisał, że aż tak przestraszył Pana Faerie. Księga jego życia na pewno o tym mówi.

– Masz rację! – zawołał Bystry z nagłym ożywieniem. – Masz rację!

Ktoś zapukał do drzwi. Ziarnko aż podskoczyła. Antykwariusz skrzywił się, potem podniósł z fotela i poszedł otworzyć.

W progu stał Scridde, jak zwykle bardzo schludny. Włosy miał przygładzone, okrągłe okulary czyste, jakby dopiero wytarte. Uśmiechnął się nieprzyjemnie, ukazując swoje krótkie, ostre zęby.

– Czy jest tutaj Truczna? – zapytał. – Mój Pan, Aelthar, chciałby zamienić z nią kilka słów.

Wielu trzeba było zapewnień, by przekonać Trucznię do spotkania z Aeltharem w jego komnatach. Ostatecznie dała się namówić.

Pan chciał widzieć się tylko z nią. Dziewczyna odparła, że przyjdzie dopiero, gdy władca oddali swoją świtę. Nie wierzyła jego zapewnieniom, że nie uczyni jej krzywdy. Raz już złamał słowo.

Przybyła w towarzystwie samego Grugarotha oraz garstki trolli. Ur-ludom nie pozwolono wejść – umieli czekać na zewnątrz. Jeśli Truczna zacznie krzyczeć, to wedle rozkazów swego Pana pospieszą jej z pomocą.

Dla dziewczyny marna była to pociecha. Jak sądziła, zginęłaby, ledwie zdążyłaby otworzyć usta. Jednak obawa przed zemstą Grugarotha mogła powstrzymać Aelthara od jawnego mordu. Trolle dopadłyby Władcę Faerie, zanim jego strażnicy by je odparli.

Za Trucznię zamknęły się drzwi. Została sam na sam z Aeltharem. Na ścianach jego komnaty wisały gobeliny zakrywające czarny, ponury kamień. Stały tu też zgrabne meble, nie tak szykowne jak w pałacu, jednak pełne mrocznego uroku. Władca Krainy spoczął na rzeźbionej sofie, znów wyglądał jak śmiertelnie niebezpieczny, drapieżny kot szykujący się do skoku. W dłoni trzymał czarę z winem. Truczna usiadła naprzeciwko, na drugiej sofie. Spoglądali na siebie ponad latarnią z barwionego szkła, w której świecił i posykiwał bagienny ognek. Bagienny ognek! Dziewczynie zachciało się śmiać. To wszystko zaczęło się przecież od bagiennych ogników...

– Truczno, naprawdę strasznie mnie zdenerwowałaś – powoli rzekł Aelthar.

– Miło mi to słyszeć – odparła.

Jego usta skrzywiły się w uśmiechu, a potem spojrział na nią znad pucharu, upijając łyk wina.

– Wiesz, to twoje drobne... oskarżenie pogmatwało parę spraw. Gdyby nie ty, wszystko mogło pójść całkiem gładko. Teraz Panowie i Panie przysparzają mi wielu zmartwień. Myślą, że zamordowałem Hierofanta, żeby na jego miejscu osadzić swoją marionetkę.

– Bo tak zrobiłeś – bezczelnie i wprost stwierdziła Truczna.

– Och, ależ to nieprawda. Po prostu wykorzystałem sytuację. Planowałem ten ruch przez więcej lat, niż twoja rasa potrafi zliczyć. Ale nie zamierzałem zabić Hierofanta. – Znów pociągnął łyk. – Jednak podejrzewam, że Scriddle zamierzał.

Truczna parsknęła śmiechem. Nadal chowała się za tarczą pogardy, choć obawiała się, że w ten sposób rozjuszy wroga. To była jednak najlepsza forma obrony.

– Możesz w to wierzyć albo nie – powiedział Aelthar. – Myślę, że Scriddle'owi znudziło się już czekanie. Przez tę swoją nieczystą krew nie mógł stać się wśród faerie kimś znacznym. Dlatego postanowił zostać Hierofantem. Tak naprawdę, to przede wszystkim właśnie po to spłodziłem tego mieszańca. – Pan Faerie zamyślił się. – On jest bardzo ambitny. Muszę mieć na niego oko.

– Oczekujesz, że w to uwierzę? Że nic nie wiedziałeś o morderstwie?

– Zapewniam cię, mój drogi człowieku, że była to dla mnie taka sama niespodzianka jak dla ciebie. Powiedziałem prawdę: nigdy nie otrzymałem tego sztyletu. Rzeczywiście wyznaczyłem ci to zadanie, bo myślałem, że mu nigdy nie podolasz. Ale wygląda na to, że ci się udało i jak mówisz, oddałeś sztylet Scriddle'owi. Podejrzewam, że on dał go Pani Pariasie, a ona wbiła go Hierofantowi w plecy. Jak widzisz, w planie Scriddle'a ten sztylet nie był najważniejszy. Równie dobrze mógł użyć zwykłego noża. Lecz pojawiłaś się ty, ze sztyletem, o którym każdy wiedział, że należy do Asinastry. Scriddle ujrzał w tym świetną sposobność, by zmylić Panów i Panie. Był to tylko szczęśliwy przypadek; on planował to morderstwo, zanim jeszcze przybyłaś. Wiedział, że uważam go za jedyne kandydata na miejsce Hierofanta. Wiedział, że jego właśnie zaproponuję.

– A co z Pariasą? Dlaczego miałyby...

– Hierofant był stary i stał już nad grobem. Sądzę, że teraz poślubi ona nowego Hierofanta, Scriddle'a. To, jak myślę, był warunek zawartego z nim układu. W ten sposób zachowa swą władzę. Naprawdę, to wszystko bardzo proste. Oczywiście, to są tylko moje domysły. Mógłbym rozkazać Scriddle'owi, by powiedział mi prawdę, ale raczej wołałbym nie pytać. Lepiej, że nie wiem na pewno. Ludzie nazwaliby to chyba zdolnością wiarygodnego zaprzeczania.

Truczna jakiś czas przyglądała mu się uważnie. Patrzyła w jego okrutne oczy, na ostre, wyraziste i przystojne rysy, głęboką czerwień włosów. Nienawidziła go, och, jakże go nienawidziła!

– Dlaczego mi o tym mówisz? – zapytała.

– By okazać dobrą wolę. By sprawić, abyś mi uwierzyła. Może jestem oportunistą, ale nie ja zamordowałem Hierofanta. Robię to też dlatego, bo chcę zawrzeć z tobą układ.

Lecz ona milczała. Odstawił puchar i wstał z sofy, a potem ruszył ku przeciwległej stronie komnaty. Machnął ręką – i powietrze zaczęło migotać, wirować i gęstnieć, aż wreszcie przybrało regularny kształt. Truciznie zaparło dech w piersiach.

Dziewczyna miała mniej więcej tyle lat co ona. Okrywała ją strojna, czarna suknia. Włosy koloru ciemnoblonde splotła w warkocz. Była ładna, ładniejsza od Truczny – ale tylko trochę, zresztą i tak upiększona kunsztownym makijażem. Stała ze spuszczonego wzrokiem, dłonie, skryte w czarnych, długich rękawiczkach, trzymała przed sobą. Wyglądała znajomo, jej twarz Truczna już kiedyś widziała, nie pamiętała jednak, w jakich okolicznościach.

– Kim ona jest?

– Ależ Truczno! Co za wstyd! Nie poznajesz własnej siostry?

Pod dziewczyną ugięły się nogi, zamarła. Zrozumiała. Te oczy, ten nos. Podobieństwo było oczywiste, tyle że ona nie potrafiła myśleć o siostrze inaczej niż jak o dziecku śpiącym w małym łóżeczku w jej pokoju. Ta Azalia była starsza i już dorosła: drobne kości wydłużyły się, znikła pucołowatość, odeszła niewinność. Dla Truczny minęło parę tygodni, jednak czas płynący między Krainami wciąż się rozszczępiał. Jej siostrze przybyło kilkanaście lat.

Poczuła łzy cisnące się do oczu, otarła je ze złością. Ukradziono jej dwanaście lat.

Dwanaście lat, które powinna spędzić z Azalią, patrzeć, jak rośnie, bawić się z nią, pomagać jej radzić sobie z troskami dorastania. W całej rodzinie tylko ta mała była jej naprawdę bliska, w głębi duszy miała nadzieję, że kiedyś znajdzie w niej towarzyszkę w samotności. Aelthar zabrał to wszystko. Oto, co trzymał w zanadrzu.

– Jej tu nie ma – powiedział, w jego głosie zadźwięczał lód. – Nie widzi nas. Nie możesz jej dotknąć ani z nią porozmawiać.

Truczna nie potrafiła oderwać wzroku od siostry. Niesamowite, jak bardzo wydawała się jej teraz znajoma.

– Dlaczego? – jęknęła. – Dlaczego ją zabrałeś?

Aelthar parsknął śmiechem.

– Dlaczego zabieramy ludzkie dzieci? Oczywiście, do rozrodu. Tak właśnie mogłem stworzyć znakomitego następcę Hierofanta. Zabieramy je jako niemowlęta, hodujemy, określamy, czy mają odpowiednie zdolności. Niektóre oddajemy zaraz po tym, jak je zabierzemy. Niektórych nie oddajemy nigdy. Tych używamy do rozrodu; wybieramy najlepsze okazy i wzmacniamy te cechy, które mogą dać dobrego Hierofanta. Scriddle to efekt bardzo długiej linii eksperymentów. Wiesz, on świetnie się nadaje do wyznaczonej mu misji. Wierny swojemu Panu, inteligentny, bezlitosny, na tyle mądry, aby podołać zadaniu. Och, nie martw się; twojej siostry jeszcze... nie użyto. Może teraz już nie będzie trzeba.

Pełne złości spojrzenie Truczny tylko wzbudziło w nim wesołość.

– Wszystko... wszystko po to, żeby nas wytepić – powiedziała.

– Zniszczyć ludzkość? – zaśmiał się. – Myślisz, że właśnie dlatego chciałem, żeby Scriddle został Hierofantem? Pokory! Ludzkość jest dla mnie zbyt mało ważna, abym teraz się nią kłopotał. Wszystko, na czym mi zależy, to gwarancja, że Hierofant stoi po mojej stronie. Wiesz, odgadłaś kilka rzeczy. Pani Pariasa naprawdę wiedziała, co pisał Hierofant i że jego opowieść szła w bardzo niepożądanym przez nas kierunku. Powiedziała o tym Scriddle'owi.

A on powiedział mnie. Ale to Scriddle był tym, który dokonał tego czynu, nie ja. Zrobił tak dla dobra faerie.

– Myślisz, że to czyni cię niewinnym?! – krzyknęła Truczna. Potem, zawstydzona, że nie zdołała pohamować złości, przybrała lodowaty ton. – Co więc proponujesz?

– Truczno, to nie jest twoja walka – odparł Aelthar, przechylając głowę i wpatrując się w Azalię. – Przybyłaś tu tylko po to, aby odzyskać siostrę. Nigdy bym jej nie zabrał, gdybym wiedział, że sprowadzi mi na głowę tyle kłopotów. Wiesz, to był całkowity przypadek. Nie kłamie. Równie dobrze mogłem wziąć każde inne dziecko. Po prostu potrzebowałem łona.

– Oddasz mi ją? – beznamiętnie spytała dziewczyna.

– Jeśli odwołasz to, co mówiłaś przed Panami i Paniami. A potem wrócisz do domu i już nigdy nie będziesz zwracała mi głowy.

Truczna skrzywiła się.

– Dlaczego ci na tym zależy?

– Niektórzy z władców, gdy wystąpiłaś z zarzutami, stali się... niechętni. Jeśli powiesz im, że kłamałaś, przestaną się burzyć.

Truczna spojrzała na niego podejrzliwie. Nauczyła się już nie ufać Panu Faerie. To, co słyszała, nie zgadzało się ze słowami Bystrego. Jeśli wierzyć Antykwariuszowi, Aelthar postawiłby na swoim niezależnie od tego, czy innym by się to podobało, czy też nie, a zeznanie mieszkanki bagien nie miałyby na to żadnego wpływu.

– Muszę się zastanowić – odpowiedziała.

– Truczno, to twoja siostra – przypomniał.

– Czyżby? – odparła. – A może tylko iluzja? Jeśli się zgodzę, to bądź pewny, że dopóki nie odzyskam siostry, nie powiem ani słowa w twojej obronie. Wasza rasa jest bardziej zdradziecka niż najgorsze bagienne węże.

Aelthar skrzywił się gniewnie. Cios był celny.

– Zatem idź, będę tu, kiedy wrócisz. Ale wiedz jedno, człowieku. Jeżeli nie zgodzisz się na moje warunki, nie tylko zatrzymam twoją siostrę, ale jeszcze postaram się, żeby resztę życia spędziła w straszliwych męczarniach!

Truczna zachowała tyle spokoju, na ile tylko było ją stać.

– Jeszcze przyjdę – powiedziała i odeszła.

Kiedy wróciła do komnat Bystrego, Ziarnko podbiegła, aby ją uściskać, na jej twarzy pojawiła się wielka ulga. Truczna ledwie poczuła dotyk jej ramion.

– Och, myśleliśmy, że już nigdy nie wrócisz – załkała jasnowłosa.

Bram, który także zerwał się na nogi, uważnie przyjrzał się wzburzonej mieszkance bagien.

– Truczno, co się stało? Co on ci powiedział?

– Zaproponował, że odda mi siostrę – odparła ponad ramieniem tulącej ją blondynki. – Jeśli odwołam to, co powiedziałam, odejdę do domu i nigdy już nie będę sprawiać mu kłopotu.

Ziarnko puściła ją powoli, wpatrując się w nią wielkimi błękitnymi oczami.

– I co zrobisz? – spytała.

– Nie wiem – odparła Truczna. Usiadła w fotelu niedaleko ognia. Wszyscy na nią patrzyli, nawet Andersen. – Nie wiem – powtórzyła.

Bram usadowił się blisko niej, a ona wyjawiała szczegóły rozmowy. Ziarnko znów załamała ręce. Andersen wskoczył jej na kolana i zwinął się w kłębek. Bystry zmarszczył brwi i pykał z wodnej fajki.

Niemal czuła dotyk ich zatroskania, sympatii. Dawna Truczna odrzuciłaby to – teraz jednak nic jej nie przeszkadzało. Tak się złożyło, że oni właśnie stali się jej przyjaciółmi; tak naprawdę jedynymi, jakich miała. Przywiązała się nawet do kota. Wyrwała się z dzieciństwa, które przeżyła niemal w całkowitym odosobnieniu, i po drodze spotkała kilka osób, na których mogła polegać. Tych czworo razem z nią przeszło przez tyle prób i cierpień. Nie miała poczucia wspólnoty z innymi ludźmi, ale z nimi tak.

Kiedyś podobna myśl sprawiłaby jej przyjemność, ale teraz zdawała się ranić boleśnie. Mogła odzyskać siostrę, lecz dobrze wiedziała, co się stanie, jeśli Pan Faerie urzeczywistni swój plan. Niezależnie od tego, co mówił, gdyby Scridle został Hierofantem, ludzie straciliby swego jedyne go obrońcę. Nic nie stałoby między faerie a Krainą Człowieka.

Wciąż też nie mogła oprzeć się wrażeniu, że już kiedyś widziała dorosłą Azalię, dziewczynę podobną do tej, którą z powietrza wyczarował Aelthar. Wtedy co prawda wyglądała trochę inaczej, ale Truczna nabierała coraz większej pewności. Czyżby po prostu zapamiętała twarz siostrzyczki i teraz wszystko jej się pomieszało? Gdyby tylko zdołała jakoś się dowiedzieć, gdyby tylko sobie przypomniała...

– To bez sensu – rzekł Bystry. – Dlaczego w ogóle złożył ci taką propozycję? Nie wierzę w to, co mówił o tych występujących przeciw niemu Panach.

– Właśnie sama się nad tym zastanawiam – odparła dziewczyna. – Jak ja mogłabym mu zagrozić?

– Najwyraźniej w jakiś sposób możesz mu zaszkodzić – stwierdził Bram. – Inaczej nic by ci nie zaproponował. Chce, byś zesłała mu z drogi.

– Musi coś być... – dociekała Truczna. – Coś, czego nie dostrzegamy...

Ale tak jak innym, nic nie przychodziło jej do głowy.

Mieszkankę bagien najbardziej gnębiło to, że nie mogła powiedzieć im o najdziwniejszym elemencie układanki, wymazali go bowiem z pamięci. Tylko ona wiedziała, co się stało, gdy znalazła się na krawędzi śmierci, że ta historia skupia się na niej. Wiedziała, doskonale wiedziała, iż jest teraz wewnątrz bajki i co więcej, ta bajka opowiada właśnie o niej. I to jeszcze nie wszystko – prawdopodobnie jest też niezbędna do istnienia całego tego świata. Ale Hierofant myślał, że to on pisze tę opowieść, a teraz nie żył.

Kto naprawdę za tym stal? I czy w ogóle ktoś?

„Truczno, czy kiedykolwiek wierzyłaś w Boga? No to jaka jest różnica?”

Tak powiedział Bram. Może to prawda. Może nigdy się nie dowie, kto albo co stało za tym wszystkim. A może autor tej opowieści był taki jak ona, wierzył, że jest panem swego losu, i dręczyły go wątpliwości, czy aby jednak na pewno...

Ale ostatecznie cała ta filozofia zdawała się pozbawiona sensu. Truczna była tak wolna, jak wolną się czuła, tak prawdziwa, jak bardzo czuła się prawdziwa. Jej decyzje mogły zostać podjęte za nią, lecz jeśli nie przestanie wierzyć, że to ona za nimi stoi, jaka będzie różnica? Zresztą nie miała pewności, czy aby na pewno ktoś za nią wybiera. Mogła tak zgadywać bez końca i nigdy nie poznać prawdy.

A teraz musiała zdecydować. Dokonać wyboru: skazać siostrę na życie w męczarniach albo zaryzykować przyszłość całej ludzkości.

Za komnatami Bystrego znajdowały się wąskie ciemne schody prowadzące w górę, prawie niewidoczne za kominkiem i pełnym książek regałem. Wiodły do miejsca, które Antykwariusz nazywał swoją „komnatą dumania”, małego gabinetu, gdzie stało biurko zavalone książkami, a na ścianach wisiały pożółkłe mapy. Sufit oraz jedną ze ścian wykonano z grubego szkła, dzięki czemu z izby rozciągał się widok na otaczające warownię ponure góry. Po tej stronie zamku niekończąca się procesja czarnych szczytów, będących Krainą Hierofanta, ciągnęła się aż po horyzont, smagana bezustannym deszczem i rozświetlana dalekimi błyskami piorunów.

Tutaj właśnie Truczna oddała się rozmyśleniom. Nie mogła podjąć tej decyzji otoczona przyjaciółmi, którzy dają rady i przekazują jej swoje spostrzeżenia. Potrzebowała samotności. Zasiadła w wielkim, cuchnącym stęchlizną fotelu i zwróciła twarz ku mrocznemu krajobrazowi.

Nie paliły się tu żadne latarnie. Odpowiadały jej te chłodne cienie, przyćmiony blask dochodzący z zewnątrz, a od czasu do czasu jasność błyskawicy. Łzy deszczu pełzły po oknie i odbijały się cieniem na gładkiej skórze dziewczyny.

Niemożliwe. Znalezienie jakiegoś wyjścia z sytuacji było po prostu niemożliwe. Z jednej strony, gdyby wybrała ocalenie Azalii i powrót do domu, Aelthar osadziłby Scridde'a na miejscu Hierofanta i tak zniknąłby ostatni obrońca ludzkości. To pozwoliłoby Panu wytępić ludzi wzbudzających w nim taką odrazę. Truczna nie wierzyła w zapewnienia władcy, że ludzie nie obchodzą go aż tak bardzo, by chciał ich zniszczyć. Faerie były kłamcami, a ona poznała już, co on naprawdę sądzi o jej rasie, wtedy, gdy podsłuchiwała go w pałacu. Ona i Azalia nie zostałyby oszczędzone.

Z drugiej strony, porzucić Azalię i stanąć przeciw Panu Faerie? Ale co by to dało? Mieszkanka bagien najwyraźniej miała w sobie coś niepokojącego Aelthara, inaczej nie

zapropowałaby jej takiego układu. Jednak póki nie wiedziała, co to takiego, jakże mogła to przeciw niemu obrócić? Już samo skazywanie Azalii na męki było wystarczająco złe, a ostatecznie wszystko mogło i tak wyjść na to samo. Scriddle zostałaby Hierofantem, a ludzkość starto by z powierzchni ziemi.

Gdyby tylko poznała to, co wciąż jej umykało, nadawało temu wszystkiemu sens. Trudziła się, usiłując dopasować do układanki najróżniejsze rzeczy, które mogły czynić ją zagrożeniem dla Pana Faerie, lecz nic to nie dało. Siedziała więc pośród ciemności, wsłuchując się w huk gromu, zapatrzona w deszcz i zatopiona w rozmyślaniach nad tragedią takich wyborów.

<złodziiej...>

Aż podskoczyła, słysząc ten chrypiący szept. I zaraz uprzytomniła sobie, że zna ów łamiący się głos.

Asinastra.

Zerwała się z fotela i rozejrzała wokół szalonym wzrokiem. Kąty pokoju tonęły w mroku. Nagła gra światła, wywołana wodą spływającą po szybie, sprawiła, że komnata wypełniła się ruchem. <złodziiej...>

Serce w Truciznie zamarło. Wycofała się pod okno, tam gdzie było więcej światła. Jak ona zdołała tu wejść? Do pokoju prowadziła tylko jedna droga, a wiodła przez komnaty Bystrego i między strzegącymi ich trollami. Nagle z całą ostrością dziewczyna uświadomiła sobie, że po śmierci Hierofanta chronił ją tylko Grugaroth, niebezpieczny dla każdego, kto chciałby uczynić jej krzywdę. A teraz poczuła się, jakby ta opieka właściwie niewiele znaczyła. Mieszkanki bagien nie broniło już Prawo Amry. Ono obowiązywało tylko raz.

<nie wzywałabym pomocy> <nie na twoim miejscu> <nie, lepiej nie> <ona zaraz będzie martwa> <martwa, nim ktokolwiek zdąży przyjść> <nie będzie taki szybki>

Obłąkane, nakładające się na siebie słowa zdawały się dochodzić zewsząd, jakby mamrotały je ściany. Ale Truczna i tak nie miała zamiaru wzywać pomocy. Wątpiła, by jej krzyk zdołał przedrzeć się przez grube kamienne mury. Bram i pozostali mogli usłyszeć ją na dole, zaalarmowaliby wprawdzie ur-ludy, ale dziewczyna spostrzegła, iż schody są tak wąskie, że zmieści się na nich tylko jeden troll naraz.

Wtedy ją dostrzegła. Przyczajoną na szczycie regału w drugim końcu komnaty, groteskowo wciśniętą między półki a sufit. Sponad zetlałej woalki błyszcząły czarne oczy. Truczna przypomniała sobie, co się stało, gdy ostatni raz ujrzała te oczy. Wpadła w sidła, ciało zeszytywniało jej ze strachu, sparaliżowane tym spojrzeniem.

<teraz tutaj> <czy nie lepiej?> syknęła Asinastra, a potem okropnym, pajęczym chodem zwinnie zeszła na podłogę, wykręcając szyję pod niesamowitym kątem – by cały czas patrzeć na Trucznię. Brzuch miała większy niż wtedy, gdy dziewczyna ostatnio ją widziała, jeszcze mocniej napierał na fałdy brudnej białej sukni.

Mieszkanka bagien z przerażeniem patrzyła, jak Asinastra powoli idzie do niej na czworakach, cały czas patrząc w jej fioletowe oczy. Truczna chciała krzyczeć, ale mięśnie i płuca odmówiły posłuszeństwa, została uwięziona we własnym ciele, mogła tylko czekać, przerażona, aż pajak podejdzie do swej bezwolnej ofiary.

<ukradła ci> <mi, mi!> <zabrała sztylet, który był twój>

Władczyni wyprostowała się, a potem nachyliła, tak bardzo zbliżając się do Truczny, że ta poczuła jej wilgotny, cuchnący oddech.

<zabrała sztylet, który utkwiał w plecach melcherona>

Zabłysnął piorun i zadudnił grzmot, odbijając się echem pośród gór. Truczna usiłowała

potrzęsnać głową, wydać z siebie jakiś dźwięk. Chciała wytłumaczyć, że to nie tak, że została do tego zmuszona...

<co mam z nią zrobić?> Asinastra pytała samą siebie, przesuwając spękany paznokciem po policzku dziewczyny. Mieszkanka bagien czuła, jak do oczu napływają jej łzy przerażenia, <zabrać ją do domu, omotać i dać do zjedzenia dziecku, kiedy się urodzi> W głowie Truczizny aż huczało od daremnych prośb o litość. Na rzęsach zawisła jej łza, po czym spłynęła w dół twarzy.

<łza> syknęła pajęczycą. Podsunęła palec, tak że kropla spłynęła na rękę. <niedobrze> Władczyni odstąpiła parę kroków, nadal wbijając w dziewczynę spojrzenie czarnych oczu, na twarz opadły jej kosmyki brudnych włosów.

Przygarbiła się, obrzmiały brzuch jeszcze bardziej zniekształcił jej figurę.

<patrzyła na ciebie na zgromadzeniu> <tak, patrzyła na ciebie>

Dziewczyna uświadomiła sobie, że Asinastra mówi o zgromadzeniu, na którym oskarżono Aelthara. Czy cały czas tam była, spoglądając gdzieś z sufitu, ukryta wśród cieni?

<oskarżono mnie z twojej winy> <ale potem ty powiedziałaś im, że to nie ona> <dlaczego?> <ona nie rozumie>

Truczizna z trudem nadążała za tą szaleńczą mamrotanią, jednak uchwyciła sens. Gdyby tylko mogła odpowiedzieć, gdyby tylko mogła. Jednak paraliżowała ją owa straszna niemoc, była niezdolna przeciwstawić się temu, co gotowała jej Asinastra.

<zatem ona to zrobiła> <aelthar ci kazał> <za twoją siostrę> <kazał mi ukraść> <powiedziałaś to, on się przyznał>

To prawda, z rozpaczą pomyślała mieszkanka bagien, pragnąc, aby te słowa dotarły do chorego umysłu Asinastry. To prawda! To nie moja wina!

<zrobiłaś to dla rodziny> wychrypiąła pajęczycą. Dotknęła swojego wielkiego brzucha. <wiem, co to rodzina>

Dla dziewczyny zajaśniała iskierka nadziei. Czyżby władczyni naprawdę ją zrozumiała?

<wiem, kogo winić> westchnęła <jeszcze cię nie zabiję>

Truczizna poczuła, jak ogarniają wielka ulga. Władczyni Pająków uwolniła śmiertelniczkę z mocy swego spojrzenia. Dziewczyna opadła na podłogę, z trudem łapiąc powietrze.

<teraz idzie> rzekła Asinastra. <z powrotem do krainy> <ona nie jest tu mile widziana> <nigdy nie jest>

Mieszkanka bagien nie wiedziała, o której z nich mówi pajęczycą, jednak odważyła się spojrzeć na odchodzącą już w stronę cieni Asinastrę. Wtedy zobaczyła, że jej dłoń ściska nóż: rozszczepiony sztylet, ten, który utkwiał w plecach Melcherona.

<ona przyszła po sztylet> wyszeptęła, a potem jakby wstąpiła w mrok i zniknęła. Ciemność objęła ją jak płaszcz, roztopiła.

Truczizna leżała na podłodze pod smagany deszczem oknem. Oddychała ciężko.

Godzinę później wróciła do komnat Pana Faerie, aby oznajmić mu swoją decyzję.

Nie mogła się rozluźnić, męczył ją ucisk w dołku, gdy szła zamkowymi korytarzami, otoczona przez zwałiste, uzbrojone trolle z samym Grugarothem na czele. Ich czerwone oczy bacznie śledziły każdy jej krok. Ur-Lord domyślił się tego samego, co odgadła Truczizna i jej przyjaciele: że Aelthar chciał zawrzeć z nią układ, a to znaczyło, iż dziewczyna ma nad nim jakąś przewagę, wciąż pozostaje dlań cenna. Król Trolli cieszył się ze wszystkiego, co mogło zaszkodzić Panu Faerie. Mieszkanka bagien nie wspomniała nikomu o spotkaniu z Asinastrą. Z jakiegoś powodu uznała, że powinna uszanować sekrety Władczyni Pająków, poza tym uraziłaby Grugarotha, wyjawiając, że Pani bez trudu ominęła jego strażników. Innym przysporzyłaby zaś

jedynie zmartwień.

Stanęli wreszcie przed podwójnymi drzwiami, których strzegło dwudziestu ponurych wojowników faerie; elfów, sądząc z wyglądu. Były to złe istoty, zimne, o pociągłych twarzach. Trolle zatrzymały się, z nienawiścią patrzyły na swoich wrogów, którzy odpowiadali im lodowatą pogardą.

– Ta dziewczyna niesie odpowiedź dla waszego Pana – rzekł Grugaroth. Jego głos zabrzmiał jak odległe echo trzęsienia ziemi.

Elfy odczekały chwilę wystarczająco długą, żeby przybysze poczuli się znieważeni, a potem odstąpiły od wrót.

– Pan Aelthar oczekuje ciebie – jeden z nich uchylił drzwi.

Truczna wzięła głęboki oddech, aby się uspokoić, i weszła do środka.

Tym razem władcy nie było na sofie. Siedział w cieniu, pod ścianą, a w ręku trzymał opróżniony puchar. W kominku palił się niedawno rozniecony ogień. Dziewczyna widziała, jak blask płomieni odbija się w oczach Pana. Rozejrzała się po komnacie. Na stole stała butla, w połowie pełna ciemnoczerwonego wina, i drugi kielich.

– Przynoszę odpowiedź – oznajmiła mieszkanka bagien.

Niemal od razu poczuła, jak ścisną jej się gardło, a do oczu napływają łzy. Konieczność dokonywania takiego wyboru była okrutną niesprawiedliwością. Wszak niezależnie od decyzji ona przegra, resztę życia spędzi dręczona wyrzutami sumienia. Chciała na niego krzyczeć, wyrzeszczyć, jak może bawić się z nią w swe diabelskie gry, czy jest zadowolony, że tak poigrał z jej sercem. To jednak byłaby oznaka słabości, a teraz potrzebowała siły.

– Ja... – zaczęła, ale zaschło jej w gardle. Zawarcia tego paktu nie da się już odwołać. Spojrzała, że pragnie mieć jeszcze sekundę, minutę do namysłu. – Ja chciałabym trochę wina – dokończyła.

Władca nie odpowiedział, tylko patrzył na nią spośród mroku. Truczna wahała się przez chwilę, potem sama sobie naląła. Chwyciła czarę, podniosła do ust... i zatrzymała się.

Aelthar wciąż patrzył tam, gdzie przed chwilą stała. Ale nie tam, gdzie była teraz.

– Aelthar? – zapytała.

Nie odpowiedział.

Powoli odstawiała puchar, wpatrując się w cień, chciała uważniej przyjrzeć się Panu. Mrok sprawiał, że trudno było coś dostrzec. Odgłosy ulewy walącej w okna zdawały się przeraźliwie głośne.

Uniosła lampę z bagiennym ognikiem i ruszyła przez pokój, bojąc się jakiegoś podstępu, bojąc się... sama nie wiedziała czego.

Narastało w niej poczucie obecności śmierci, ale nie rozumiała dlaczego.

Potem, gdy stała już tylko kilka kroków od nieruchomego Pana Faerie, znów uniosła światło.

Miał szkliste oczy, pusto wpatrzone w podłogę. Jego skóra była blada. Dłoń bezwładnie trzymała puchar, w którym wciąż jeszcze lśniło trochę wina.

Wino! – pomyślała.

W tej samej chwili w fortecę jednocześnie uderzyły blask błyskawicy i huk grzmotu. Gdy izbę zaląła jasność, Truczna dostrzegła coś w ustach Pana. Pochyliła się, wstrzymując oddech, nie miała pojęcia, co to może być.

Wrzasnęła i odskoczyła, rozpoznając długonogiego pajaka. Zaraz po nim następny wylazł spomiędzy zimnych warg i ruszył po policzku ku linii włosów. Pierwszy zaś podreptał po brodzie i wszedł za srebrny napierśnik.

Truczna, zataczając się, zrobiła krok do tyłu. Asinastra. Władczyni Pajaków dokonała

swojej zemsty.

Pan Faerie nie żył.

Noże

Truczna nie mogła myśleć. Jakby jej mózg się zaciął i blokował pracę rozumu. Mogła jedynie wpatrywać się w trupa na krześle, istotę, której tak długo nienawidziła. Teraz całkiem cichą. Zaledwie przed godziną, kiedy pił wino, które go zabiło, zdawał się niezwykły, nie do pokonania. Nigdy nie spodziewała się, że on zostanie pobity, najwyżej, że jakoś zdoła przekonać go, by oddał jej siostrę.

Truczna w końcu cię dostała. W ten czy inny sposób, pomyślała.

Tak oto krótka chwila złości, kiedy postanowiła wyjawic Asinastrze imię tego, kto wysłał ją po sztylet, ta jedna chwila zapoczątkowała łańcuch zdarzeń zakończony śmiercią jej wroga. Zabójstwo Hierofanta sprawiło, że Krainie zabrakło strażnika, zabrakło rękojmi bezpieczeństwa. Pajęczycza to wykorzystała. Mieszkanka bagien nigdy nie zdołałaby się tutaj wślizgnąć, jednak władczyni się udało. Z cierpliwością charakterystyczną dla pajaków, którymi przecież rządziła, spokojnie czekała na stosowną chwilę. Kiedy pojawiła się w gabinecie Bystrego, Aelthar już nie żył. Nic dziwnego, że była taka skłonna do okazania łaski. Ukarła przecież głównego winowajcę kradzieży.

Dziewczyna zaczęła się usilnie zastanawiać, jak powinna się teraz zachować. Wraz ze śmiercią Aelthara wszystko wywróciło się do góry nogami, układ całkowicie się zmienił. Mieszkanka bagien zaczęła się miotać, próbując podjąć jakąś decyzję.

Jednak decyzję podjęto już za nią. Usłyszała głos zza drzwi. Głos Scriddle'a.

Przeraziła się. Jeśli skryba ją tutaj znajdzie, ze swym martwym Panem, w komnacie, gdzie nie było nikogo innego, to co sobie pomyśli? Co zrobi? Część Truczny chciała zostać tutaj i stanąć z nim twarzą w twarz, pokazać mu, czego dokonała Asinastra; jednak ta jej część, odwaga, wyczerpała się już dokonywaniem wyboru: ratować siostrę czy ludzkość... I jak się okazało, niepotrzebnie.

Uciekła. Pokoje Aelthara składały się z wielu pomieszczeń, otworzyła drzwi najbliższego i wpadła do środka. Niemal w tej samej chwili dwuczęściowe wrota prowadzące z korytarza otwarły się na oścież.

– Nie obchodzi mnie, kto teraz z nim jest, to pilne. Nie do wiary, brudne trolle gromadzą się pod drzwiami jak żebracy.

Wrota trzasnęły, a spanikowana Truczna spostrzegła, że znalazła się w niewielkiej izbie z sofą, kredensami i stołem. Wysokie okna wychodziły na oświetlane piorunami góry, po bokach zwisały długie, aksamitne zasłony. Nie było stąd innego wyjścia. Jediną kryjówką zdały się kotary, weszła więc za nie, dając się pochłonać ich szkarłatnym objęciom.

– Aeltharze, mój Panie, wybac mi najście, ale to tak ważne, że Pani Aeriad i ja chcemy z tobą porozmawiać – mówił Scriddle, a pośpiech sprawił, że głos mu się łamał. – Jak widzisz, sprawy stały się niezwykle pilne i ja... my... musimy z całym szacunkiem zaproponować zmianę terminu przejścia przeze mnie schedy po... Panie?

Truczna poczuła straszliwą nieuchronność tego, co zaraz nastąpi.

– Panie? Dlaczego siedzisz w ciemności? Panie?

Długa cisza.

– On jest martwy – dobiegi głos podobny szmerowi drzew w letni dzień.

Dziewczyna wiedziała, że należy do Pariasy.

– Martwy – syknął Scriddle. – Martwy? On nie może być martwy! Nie teraz! Nie teraz!

Głos sekretarza zmienił się w pisk przepojony złością i rozpaczą.

– A jednak – odparła Pani Aeriad. – Zatem nasze plany się nie powiodły.

– Nie! – zakrzyknął skryba, zgrzytając zębami.

– Cicho, bo usłyszą – przestrzegła Pariasa. Truczna domyśliła się, że chodzi o tych, co zostali za drzwiami. – Zanim im powiemy, musisz się uspokoić.

– Powiedzieć im? Powiedzieć? Nie! Nie, nie teraz. Gdzie jest ta dziewczyna? Mówili, że tu była!

Mieszkanca bagien usłyszała łomot kroków – tylko Scriddle’a, kobieta faerie płynęła bowiem niczym wiatr przemieszczający się z izby do izby. Skoczyć do drzwi? Nie starczyło jej odwagi. I właśnie w owej chwili niezdecydowania kroki przybliżyły się i sekretarz, razem z Pariasą, wszedł do pokoju, w którym się ukrywała. Dziewczyna poczuła, że serce zamiera jej w piersi, że przestaje oddychać. Stanęli niewiele ponad metr od jej kryjówki, dzieliła ją więc od nich właściwie tylko grubość kotary. Gdzieś daleko zadudnił grzmot, potem zajaśniał długi, migoczący blask pioruna.

– Co robimy, ukochany? – faerie zapytała łagodnie. Głos miała delikatny, niezemski, dźwięczny. Jakże to możliwe, by tak piękna istota dopuściła się zbrodni? – Nie ma jej tutaj.

– W takim razie gdzie jest? Jak ona... jak ona... – sekretarz umilkł, dławiąc się własną złością.

– Ona jest groźna – padła odpowiedź. – Wszyscy to wiemy. Aelthar myślał, że się jej pozbędzie, że kupi ją za siostrę. Będzie trzymać w niewiedzy, na uboczu. Jak widać, mylił się.

Truczna nie wierzyła własnym uszom. Groźna? Ona? Jak? Czy Pan naprawdę aż tak się jej bał? zaproponował jej powrót do domu po to, by zesła mu z drogi. Dlaczego?

– Muszę pomyśleć – szybko odpowiedział Scriddle. – Muszę pomyśleć. Kiedy rozniesie się wieść o śmierci Aelthara, inni Panowie... nasze życie będzie w niebezpieczeństwie.

Wystawiono mnie jako kandydata na Hierofanta, ty jesteś oskarżona o jego zabójstwo. Myślisz, że przedrzemy się przez trolli, przez Grugarotha, jeśli on dowie się, że Aelthar nie żyje? On byłby zdolny wdrzeć się tu po trupach, gdyby uznał, że ma choć cień szansy, by zabrać ten przeklęty miecz.

– Bez Aelthara nie zostaniesz Hierofantem – spokojnie rzekła Pariasa. – Musimy uciekać, ukochany. Odejdźmy, póki jeszcze możemy. Musimy odejść, zanim go znajdą.

– Odejść?! – krzyknął Scriddle. – Gdzie odejść? Dokąd?

– Nadal jestem Panią Aeriad – przypomniała. – Wróc ze mną do Krainy Faerie.

– Żeby kim tam być? Twoim kochankiem? Jestem na wpół człowiekiem, Pariaso! Moja krew jest zbrukana człowieczeństwem. W królestwie faerie nigdy nie będę mógł sprawować znacznego urzędu! Stworzono mnie tylko po to, abym został Hierofantem! Dlatego ułożyliśmy nasz plan, pamiętasz? Dlatego zabrałem sztylet tej głupiej ludzkiej dziewczusze; dlatego ty wbiłaś go Melcheronowi w plecy. Aelthar nie musiał nic wiedzieć; każdy przecież oskarżyłby tę pajęczą dziwkę! Gdyby nie ta przeklęta dziewczyna, wszystko poszłoby po naszej myśli.

– Ale teraz wszystko już skończone – padła spokojna odpowiedź. – Albowiem Aelthar nie żyje.

– Nie pozwolę, żeby pokonał mnie jakiś człowiek! – syknął.

– Ona nie jest jakimś tam człowiekiem – zaprotestowała Pariasa. – Teraz to wiemy, nawet jeśli ona nie wie.

W tej właśnie chwili w pokoju rozległ się trzask pioruna, szyby zadrżały. Truczna wzdrygnęła się, nerwy miała wszak naprężone jak postronki. Choć nie zrobiła hałasu, ten drobny

ruch wystarczył.

Kotara się przesunęła, a ona, zdemaskowana, stanęła przed Scriddle'em, który wlepił w nią żądne mordu spojrzenie. Jego twarz była ponura jak chmury kłębiące się na niebie. Dziewczyna rzuciła się ku drzwiom. Ale odskoczyła za ledwie parę centymetrów, kiedy sekretarz złapał ją za gardło, cisnął na ścianę i kaszlącą przyparł do niej. Warknął, ukazując ostre zęby. Okrągłe szkła okularów przekreśliły mu się na spiczastym nosie. Pariasa patrzyła na Truciznę ze spokojem.

– Ty! – W głosie Scriddle'a zabrzmiała niezmiernie złość. – Ty to zrobiłaś. Ty wszystko zniszczyłaś.

Mieszkanka bagien próbowała wyrwać się z uścisku, był jednak niczym stal, prawie dławił jej oddech.

– Nie powinien... zabierać mi... siostry – wychrypiała buńczucznie.

Skryba wrzasnął z wściekłości i rzucił dziewczyną o drugą ścianę. Gdy w nią uderzyła, cały świat na chwilę stał się bielą, a potem pojawił się przeszywający ból. Klęczała przy stole, oszołomiona. Coś w niej pękło, żebro. Zakłuło ją, gdy się poruszyła. Cóż za cierpienie!

– Twojej siostry? – sekretarz zawołał z niedowierzaniem. – Ty głupi, fałszywy człowieku! Oddaliśmy twoją siostrę na długo przed tym, jak zaczęłaś nas nękać!

Wstrząśnięta Trucizna spojrzała na niego nieprzytomnie, szok wykrzywił jej twarz.

– Nie nadawała się – szyderczo uśmiechnął się Scriddle, podchodząc bliżej. – Gdy dojrzała, stało się jasne, że nie ma cech, których Aelthar potrzebował do swej hodowli. Odesłał ją. Straszdyło wyrzuciło ją do twojej ohydnej Krainy, pozbawioną pamięci, i zostawiliśmy ją, żeby sama znalazła sobie drogę do domu. Jesteś zadowolona? Nie mamy twojej siostry! Aelthar cię okłamywał! Tego było już za wiele, za wiele naraz. Jednak wnioski nasuwały się same, uparcie, mimo bólu złamanego żebra przyprawiającego o zawrót głowy. Faerie oddały siostrę. Minęło tyle czasu, tyle było poszukiwań, walki i rozpacz, a one już oddały Azalię?

I nagle pojęła. Ostatni kawałek układanki wskoczył na miejsce. Przypomniała sobie, gdzie widziała kobietę, którą pokazał jej Aelthar.

To była ta nieznajoma spotkana w Przedmurzu, ta, co wędrowała do Mewy. Mieszkanka bagien powierzyła jej wiadomość, wieść dla rodziców. To rozumiała, że dziewczyna wyglądała dziwnie, taka oszołomiona i zmęczona podróżą. Choć straciła pamięć, jakoś zdołała odnaleźć drogę do swej rodzinnej wioski. O ironio losu, Trucizna nie pomyślała, aby zapytać ją o imię. Bo przecież, gdyby to zrobiła, usłyszałyby: Azalia.

Jedno pytanie i osiągnęłyby cel wędrowki, nie ruszając się ze swej Krainy. Nie byłoby Lampreya, Kościanej Wiedźmy, Pana Faerie ani Hierofanta. Gdyby moneta losu upadła na drugą stronę, gdyby ona, Trucizna, tylko wtedy pomyślała, aby o to zapytać, gdyby tylko pomyślała... Albo gdyby Azalia ją rozpoznała, przypomniała sobie o starszej siostrze, nawet jeśli ostatni raz widziała ją dwanaście lat wcześniej, będąc jeszcze małym dzieckiem. Albo gdyby Azalia zapytała, dlaczego dziewczyna śle wieści do Cieśli i Rosiczki, a nie tylko wlepiła w nią mętne spojrzenie. Czy Azalia wiedziała, że to jej rodzice? I czy powiedziałyby coś, jeśliby wiedziała?

Ale jak Trucizna mogła na to wpaść, jakże mogła na to wpaść którakolwiek z nich, skoro obie nie potrafiły sobie wyobrazić tego, iż tydzień, który minął w Krainie Człowieka od chwili, gdy Azalię wykradzono z łóżeczka, w Kainie Faerie trwał aż dwanaście lat! Przez ten czas dziewczynka dorosła, a potem została odesłana do domu.

Ruszyła na wyprawę, by ocalić siostrę, spotkała ją po drodze i nawet o tym nie wiedziała.

Chciała nabrać powietrza w płuca i krzyknąć – by zaalarmować Grugarotha i trolle, ale i po to, żeby dać upust swemu nie dającym się ukoić żalowi, wściekłości na ogromną niesprawiedliwość losu. Nie zdołała jednak zaczerpnąć głębokiego oddechu, z gardła, uciśniętego

przez palce Scriddle'a, ledwie wydobywał się chrapliwy dźwięk. Sekretarz stał nad nią, twarz miał spoconą i czerwoną ze złości. W ręku trzymał nóż, długi, krzywy nóż o groźnym ostrzu. Truczna zbyt głęboko zatonęła w bólu i rozpacz, aby czuć teraz cokolwiek innego, nie było w niej już miejsca na strach.

– Ukochany – powiedziała Pariasa, pojawiając się obok skryby w cichym wirze srebra i złota. – Nie wolno ci.

– Dlaczego nie? – syknął Scriddle. – Myślisz, że pozwolę jej żyć, po tym wszystkim, co nam zrobiła?

– Musisz – odparła Pariasa. – Pamiętasz księgę?

– Mówisz o... księdze Melcherona? – wyszeptała ochryłym głosem dziewczyna.

Oczywiście. Przeszukali komnaty Aelthara i Pariasy, ale przecież nie izbę Scriddle'a.

– Milcz! – krzyknął sekretarz, unosząc nóż do ciosu.

– Nie wolno ci jej zabić – błagała Pariasa. – To się źle skończy dla nas wszystkich.

Truczna usiłowała otrząsnąć się z mgły zasnuwającej jej myśli. To było ważne. Tutaj działo się coś, czego jeszcze nie rozumiała, a jej życie zależało właśnie od tego, czy zdoła to pojąć. Dlaczego uważali ją za niebezpieczną? Dlaczego po prostu nie zabili i nie położyli kresu temu wszystkiemu? I co to miało wspólnego z księgą Melcherona?

– Dlaczego mam jej nie zabijać? – wysyczał Scriddle, jakby przedrzeźniając Trucznię.

Wolną ręką chwycił dziewczynę za podbródek i uniósł, tak że stanęła oparta o ścianę. Ruch sprawił, iż złamane żebro zakłuło i zabolęło tak, że omal nie zemdlęła. Nie mogła uwierzyć, iż ból może być aż tak ostry. Powinna przez niego umrzeć, a jednak żyła.

– Dlaczego jej nie zabijać? – powtórzył sekretarz, zbliżając twarz do twarzy dziewczyny.

– Przecież śmierć jej poprzednika nie narobiła zbytniego zamieszania.

I wtedy zrozumiała. Znalazła ostatni trop. W zamku odblokowała się ostatnia zapadka i drzwi do zrozumienia stanęły otworem. Teraz wiedziała już wszystko, od początku do końca. Treścią jej opowieści nigdy nie było ratowanie siostry. To był tylko bodziec, który wprowadził ją do owej historii. To wszystko zdawało się tak komiczne, tak proste, tak niesprawiedliwe, że nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Był to cichy, gorzki chichot, sprawiał jej ból, bo złamane żebro dźgało przy najlżejszym ruchu. Na wargach Truczny pojawiła się krew, a ona wciąż się śmiała.

Scriddle i Pariasa patrzyli na nią ze zdumieniem.

– Czy to zwyczajne u twego ludu, śmiać się w obliczu śmierci? – zapytał skryba.

– Nie możesz mnie zabić – odparła dziewczyna, wciąż nie potrafiąc powstrzymać bolesnego śmiechu. – Nie możesz mnie zabić. Jestem nowym Hierofantem.

– Ona wie! – zawołała Pariasa.

Skryba spojrzał na nią, potem znowu na Trucznię. Wyraz jego twarzy mówił jej, że ma rację.

– Tak było w księdze, prawda? – spytała, znajdując w sobie jeszcze siłę, by mówić, uśmiechać się zza strąków włosów i czerwieni rozsmazanej na ustach. – W księdze życia Melcherona. Wiedziałaś, co on pisał. Pisał opowieść o swoim czeladniku, nienawidzącym faerie, który mógłby stać się zmorą twego ludu i odebrać wam naszą Krainę – jeszcze raz się roześmiała. – To wszystko... To wszystko to był test. To wszystko było moją nauką. Właśnie dlatego zostawił mi tyle tropów, właśnie dlatego powiedział mi prawdę o tym, że wszystko jest tylko bajką. Chciał, żebym się dowiedziała, bo pewnego dnia miałam zostać tym, który ją pisze.

– Bzdury! – wrzasnął Scriddle. – Bajka? Oszalałaś?

Ale Truczna jeszcze niczego w życiu nie była tak pewna.

– Ukradłeś księgę, żeby nikt nie poznał imienia tego, kto zamordował Hierofanta, ale

kiedy ją czytałeś, znalazłeś jeszcze inne imię. Moje imię – wreszcie przestała się śmiać, zaczęła mówić z powagą. – Chociaż jest w tym pewna ironia. Nigdy nie byłam szczególnie wroga faerie, póki nie zabraliście mi Azalii. To wy sprawiliście, że was znienawidziłam. Wy uczyniliście mnie taką. Bo to była część opowieści. Może to on w taki sposób kształtował mnie na swego następcę – kaszlnęła i uśmiechnęła się z goryczą. – A ja chwycę za pióro Hierofanta i odpłacę waszej rasie.

– Nie, jeśli zakończę tu twoje życie – stwierdził Scriddle, choć w jego oczach pojawiła się niepewność.

– Ale ty nie możesz – odpowiedziała. – Nie widzisz tego? To moja opowieść. To dlatego Hierofant mógł umrzeć, a kiedy ja próbowałam odejść, wszystko zaczęło zanikać. To opowieść o tym, jak zostałam Hierofantem, może ciągnąć się dalej bez niego, nie może jednak trwać beze mnie. Jeśli mnie zabijesz, zabijesz sam siebie i wszystkich innych. Póki ta opowieść się nie zakończy, póki nie zostanę mianowana Hierofantem, muszę żyć.

– Wy, ludzie, wygadujecie takie bzdury – rzekł Scriddle i zadał cios.

Truczna szeroko otworzyła fioletowe oczy, zaskoczona, pełna niedowierzania. Nóż zagłębił się w jej boku, między żebrami. Rozchyliła usta – z kącika pociekły strumyczki krwi. Ciało dziewczyny nagle zdrętwiało, stało się zimne, ledwie czuła nowy ból, zmroził ją szok.

Sekretarz wyszarpnął sztylet, a mieszkanką bagien targnął dreszcz. Po biodrze i wewnątrz uda pociekła jej krew. Spojrzała w ciemne oczy Scriddle'a i ujrzała w nich blask triumfu. Jak to się mogło zdarzyć? Przecież była taka pewna, tak bardzo pewna...

A potem Pariasa krzyknęła. Wydała z siebie wysoki, przenikliwy pisk raniący uszy, albowiem tak piękny głos nie powinien wyrażać strachu czy rozpacz. Skryba spojrzał ku niej i on też to zobaczył. Sciany zdawały się cienie, tracić solidność. Pani Aeriad wpatrywała się w swoje delikatne dłonie, przez ich skórę niemal prześwitywały kości.

Zatoczyła się i opadła na sofę, a Truczna odetchnęła, dygocząc. Chyba nawet powietrze nikło, wszystko jakby się rozpuszczało, zamieniało w sen.

Scriddle odwrócił się do niej, wzrok miał dziki.

– Co to? Co ty robisz?

– Powiedziałam ci – wyszeptwała z triumfem w głosie. – Nie możesz mnie zabić. To moja opowieść.

– Ukochany, wysłuchaj jej! – krzyczała Pariasa.

– Nie! – wrzasnął skryba i po raz drugi wbił nóż.

Jęknęła, gdy ostrze weszło w jej ciało. Napastnik znów wyszarpnął klingę, mokrą od krwi. Dziewczyna zatoczyła się i pewnie by upadła, gdyby Scriddle jej nie przytrzymał, znów chwytając za gardło. Nie było już w niej siły, niczego, czym mogłaby mu się przeciwstawić. Z fioletowego oka spłynęła łza i spadła na kamienną posadzkę. Truczna pomyślała, że kropla mogłaby teraz przebić podłogę, tak wyblakła, że wręcz widmową. Pewnie by ich nie utrzymała, gdyby i oni nie stali się równie widmowi. Widziała jak przez mgłę, jednak zobaczyła, że włosy sekretarza wychodzą mu całymi garściami, zęby zaczynają się ruszać, a kości dłoni trzymającej nóż robią się coraz wyraźniejsze.

Pariasa bez sił upadła Trucznie do stóp.

– Przestań – wołała. – Zabijasz nas!

Jednak w oczach Scriddle'a błyszczało szaleństwo.

– Nie pokona nas! Ona jest człowiekiem!

– Ty... już jesteś pokonany – rzekła dziewczyna, krzywiąc w uśmiechu zakrwawione usta.

– Dokończ swojego dzieła. To ja będę się śmiała ostatnia.

Sekretarz zaskowyczał z furii i po raz trzeci uniósł nóż. Jednak w tej właśnie chwili

rzuciła się ku niemu Pariasa, w jej delikatnej ręce błysnęło drugie ostrze. Z okrzykiem wbiła je skrybie w szyję. Świat jakby zadygotał, a potem się zatrzymał. – Chcę żyć – wyszeptała.

Scriddle wybałuszył oczy i zatoczył się do tyłu, trzymając się za gardło. Truczna osunęła się na podłogę, nie podtrzymywana już jego uściskiem. Wciąż się w nią wpatrywał, tak jakby to ona, a nie kochanka pchnęła go właśnie nożem. Próbował mówić, ale z jego ust wydobyła się tylko krew, która spłynęła mu po brodzie. Potem oczy uciekły mu w tył głowy i runął na plecy, uderzając w zastawiony stół i ściągając z niego naczynia.

Dziewczyna z wysiłkiem uniosła głowę. Wokół panował teraz hałas, straszliwy zgiełk, ryk atakujący gdzieś z zewnątrz. Ujrzała klęczącą przed sobą Pariasę, a właściwie jej szkielet, z jej nieziemskich oczu spływały kryształowe łzy. Faerie położyła dłonie na boku i brzuchu Truczny. Po chwili wkroczyły trolle. Grugaroth wpadł do izby niby grom, mówił coś, ale nie potrafiła go zrozumieć; poczuła się lekka jak piórko i zapadła gdzieś w czerń.

Koniec opowieści

Blask latarni sączył się jej przez rzęsy, przybierając kształt rozmazanych czworokątów.

Potem pojawiły się inne odczucia, niczym warstwy kolorów na malowidle. Świadomość, pamięć, ból. Ale ból był teraz znacznie mniejszy. Na ramionach ciążyły fałdy grubego koca. Była zbyt zmęczona, aby całkiem otworzyć oczy, jednak wiedziała, że poza nią ktoś jeszcze jest w pokoju. Żyła. To jej teraz wystarczało. Znow zasnęła.

Kiedy ponownie się obudziła, mimowolnie otworzyła oczy, mrugając powiekami. Leżała w niewielkiej izbie, ciemnej i ciasnej, chyliły się ku niej ściany z czarnego kamienia. Latarnie drżały na wspornikach. Po zamku zadudnił odległy grzmot. Ktoś był obok niej, po jego oddechu poznała, że to Bram. Poruszyła głowę, krzywiąc się, gdy poczuła ukłucie w obandażowanych żebrach. Łowca siedział przy niej, wciąż miał na sobie to samo skórzane ubranie, w którym pierwszy raz ujrzała go w Mewie, ten sam szerokoskrzydły kapelusz i grube rękawice. Spał, lekko pochylony na krześle, z opuszczoną głową.

Uśmiechnęła się z czułością, patrząc na niego. Ten marudny stary niedźwiedź zasnął na posterunku.

Poczuła się bezpieczna i również odpłynęła w sen.

Kiedy obudziła się po raz trzeci, na piersi czuła ciężar kota. Otworzyła oczy i ujrzała Andersena zwiniętego na kocach w czarny kłębek. Uniósł łebek, wyczuwając, że się ocknęła, zamrugał do niej zielonymi ślepiami, a potem przywitał miauknięciem. Niemal od razu zjawiła się Ziarnko Pieprzu, krzycząc z radości i jak zwykle, robiąc wokół siebie mnóstwo zamieszania. Trucizna zniosła to ze spokojem. Jasnowłosa po prostu już taka była.

Szybko odzyskiwała siły, otoczona opieką przyjaciół i tych Antykwariuszy, którzy znali się na sztuce leczenia. Powiedzieli jej, że ocalenie zawdzięcza przede wszystkim Pariasie; kobieta użyła magii faerie do wyleczenia ran zadanych nożem przez Scriddle'a. Niewiele jednak brakowało. Jak można się domyślić, żaden z nich nie pamiętał, że ich świat zaczął obumierać, gdy dziewczynę ugodziła klinga. Podobnie jak za pierwszym razem, wspomnienie opuściło ich umysły, wyparte niczym rzecz, o której woli się nie wiedzieć. Nie miała ochoty niczego z tym robić.

Wyjąwszy ból, słabość i różne inne dolegliwości, czuła się szczęśliwa. Zdrowiejąc, cieszyła się towarzystwem Bystrego, Ziarnka Pieprzu, Andersena i Brama. Nigdy wcześniej nie przebywali razem tylko po to, aby ze sobą być; zawsze mieli jakiś ważny powód, zadanie do wykonania, jakąś potrzebę popychającą ku działaniu, albo groziło im niebezpieczeństwo, którego należało uniknąć. A teraz byli po prostu dla siebie. Mieszkanka bagien przeżywała owo uczucie wspólnoty, które wciąż umykało jej w dzieciństwie, teraz czyste i jasne. Kiedy spała, czasem pojawiał się koszmarny sen o Scriddle'u, raz za razem dźgającym ją nożem; jednak nie pamiętała, aby kiedykolwiek wcześniej przebudzenie dawało jej większą radość, i wiedziała, jak bardzo jest to cenne.

Kiedy stała się już na tyle silna, aby siadać w łóżku i pić zupę, Bystry opowiedział jej całą historię.

Dowiedziała się, że Gragaroth i trolle usłyszeli krzyk Pariasy, obezwładnili elfie strażę, przybywając w samą porę, aby podnieść alarm. Sama Pariasa znikła gdzieś pośród zamętu i od

tamtej pory nikt jej nie widział. Księgę Melcherona Antykwariusze znaleźli w komnatach Scriddle'a, choć poszukiwania okazały się niełatwe i gdyby nie wiedzieli, że ów foliał na pewno tam jest, nigdy nie wydobyliby go z ukrycia. Treść księgi stanowiła pilnie strzeżoną tajemnicę, jednak Bystry ją znał. Truczna umiała to odczytać z jego oczu. Zjawił się w nich podziw. Oczekiwanie. Nadzieja. Nie chciała od razu brać tego wszystkiego na swe barki. Nie wiedziała nawet, jak to jest być Hierofantem, nie mówiąc już tym, czy w ogóle chciała nim być. Świadomość tego wisiała jej nad głową niczym czarna chmura.

I nie tylko ta świadomość. Istniało jeszcze coś. Azalia.

Siostra była dla niej stracona.

Truczna wysłała do Mewy jednego z Antykwariuszy, aby dowiedział się, co stało się z jej ojcem i macochą, czy odnaleźli młodszą córkę. Kiedy przeczytała raport, znalazła w nim wszystko, czego się spodziewała i obawiała, wzięwszy pod uwagę nierównomierny upływ czasu w obu światach. Życie w Krainie Człowieka dalej toczyło się już bez niej. Antykwariusz dyskretnie dowiedział się tego, co powinien, i wrócił. Nigdy nie powiedział Cieśli i Rosiczce, że Truczna żyje i ma się dobrze. Dziewczyna prosiła go o to. Lepiej nie rozdrapywać starych ran.

Azalia wróciła do Mewy niemal dokładnie dwa tygodnie po swym zniknięciu i odejściu siostry. Przyjęto ją z powrotem bez żadnych oporów, mimo że porwana w dzieciństwie, odnalazła się jako dorosła kobieta. Któż bowiem zna ścieżki, jakimi chadzają faerie? Mieszkańcy wioski wiedzieli tylko, że ona wróciła, a podmieniec zniknął. Cieszyli się z tego wszyscy. Dziękowali losowi, iż łaskawie zwrócił im dziecko, nigdy już nie przeklinając go za to, że wprawdzie ukradł mu tyle lat życia. Starali się widzieć tylko jasną stronę całej sprawy. Tak właśnie żyło się na Czarnych Bagnach.

Cieśla jeszcze wiele lat nosił w sercu żalobę po starszej córce, łudząc się, że może któregoś dnia wróci, tak jak siostra. Rozpamiętywał ostatnią wiadomość, przekazaną za sprawą Azalii, która teraz uświadomiła sobie, z kim owego dnia widziała się w Przedmurzu. Jednak dziewczyna nie wracała, lata mijały, smutek zaś trwał tak długo, póki się zeń nie otrząśnięto – inaczej strawiłby tego, w którym zagościł.

Przez cały ten czas Rosiczka była dla Cieśli podporą. Gdy odeszła Truczna, w ich domu znowu zapanowała harmonia, a macocha okazała się dobrą żoną. Miłość, którą czuł do niej Cieśla, pogłębiła się, przeważając nad uczuciem do Dalekiej, matki Truczny i Azalii. Po jakimś czasie urodziła mu dwóch synów. Cieśla i Rosiczka nigdy nie opuścili Mewy. Żyli razem długo i szczęśliwie, i doczekali spokojnej starości.

Azalia... nigdy nie mogła zapomnieć chwili, w której stanęła twarzą w twarz ze starszą siostrą. Nigdy też nie przestała myśleć o tym, że Truczna odeszła w świat, aby ją odnaleźć, i że być może nadal jej szuka, bez skutku, nie wiedząc, że ta, którą pragnie ratować, już powróciła do domu. Podobnie jak siostra, miała w sobie domieszkę Starszej Krwi – jak powiedziałaby Bystry. Zatem w swe dwudzieste urodziny opuściła Mewę, ruszając na poszukiwanie Truczny, która wiele lat wcześniej tak samo wyruszyła w świat, by szukać jej. Wtedy właśnie Azalię widziano po raz ostatni. Być może wędruje nadal.

Mijał czas, Truczna nie mogła powiedzieć, czy były to dni, czy tygodnie. Bystry dostarczał dziewczynie zajęć, instruując, jak wypełniać wyznaczone jej obowiązki. Najpierw Truczna była im niechętna. Jeszcze nie zdecydowała, czy chce zostać Hierofantem. Jednak ból straty okazał się nie do zniesienia, potrzebowała jakiegoś zajęcia, aby nie myśleć o Azalii.

Dała się pochłonać nauce. Jeśli ta cała opowieść była jakimś zagmatwanym testem, mającym dowiedzieć jej wartości, to zdała go wspaniale; jednak Melcheron nie wziął pod uwagę tego, że zginie, zatem wciąż nie знаła wielu prawideł nowego życia. Pilnie słuchała teraz lekcji Bystrego, a ten znalazł w niej bardzo zdolnego ucznia.

– To właśnie dlatego tylko ludzie mogą zostawać Hierofantami – tłumaczył. – Może sprawiamy wrażenie najsłabszych i najmniej ważnych istot w Krainach, jednak nasza siła płynie z innych źródeł. Mamy to, czego nie ma żadna inna rasa: wyobraźnię. Każdy z nas, nawet najpodlejszy, może stworzyć w swej głowie całe światy. Potrafimy zaludniać je najdziwniejszymi istotami, wypełniać najbardziej zdumiewającymi wynalazkami, najbardziej niewiarygodnymi rzeczami. Jeżeli chcemy, możemy sami żyć w tych światach; i możemy być w nich, kim chcemy. Wyobraźnia pozwala nam być nawet bogami, bo dzięki wyobraźni potrafimy czynić cuda.

Miał rację. Wszystkie te opowieści, wszystkie próby, które przeszła – Lamprey, Kościana Wiedźma, Asinastra, Aelthar i Scriddle – pokazały, że nadaje się do wyznaczonych jej zadań. Potrzebne zdolności miała we krwi. Jednak musiała się jeszcze dowiedzieć, jak ich używać.

Nastaly dobre dni i dobre tygodnie. Truczna dzieliła czas między naukę a przyjaciół. Smagany burzą zamek należał teraz do niej, w każdym razie zdaniem jego mieszkańców. Choć próbowała się temu opierać, dostrzegła, że coraz częściej i częściej myśli o nim jak o domu. Czarne, kamienne korytarze stały się dla niej znajome; labirynt ksiąg, Wielka Biblioteka, zrobił się przytulny; kobierce i kominki w jej pokojach (albowiem wedle tradycji zamieszkała w komnatach Melcherona) zamieniły je w cichą przystań.

Teraz chodziła odziana w biało-purpurowe szaty, nie musiała już wkładać prostego odzienia mieszkańca bagien. Wraz z postęпами w nauce robiła się coraz bardziej pewna siebie, jednocześnie słabł w niej lęk przed zostaniem Hierofantem. Chociaż wiedziała, że nie ma nikogo innego, kto mógłby zająć jej miejsce, że jeśli odmówi podjęcia tego zadania, to między Panami i Panią wybuchną spory, zawsze mówiła sobie, że jeśli tylko zechce, może zrezygnować. Z ostateczną decyzją zwlekała tak długo, jak tylko mogła. Choć nie było wiadomo, czy jeśli odejdzie, nowy Hierofant nie okaże się równie zły jak Scriddle, nie mogła pozwolić, aby do czegoś ją zmuszono, niezależnie od konsekwencji. Taka już była.

Jednak z upływem czasu w jej umyśle krystalizowała się świadomość, czego pragnie. I gdy tak uczyła się oraz odwlekała decyzję, pewnego dnia uświadomiła sobie, że już wie, co postanowi. Kiedy wszyscy inni uznali, że to ona zostanie Hierofantem, sama w skrytości ducha rezerwowała sobie prawo odmowy. Teraz, znienacka, doszło do niej, że i ona właśnie stwierdziła, iż będzie Hierofantem. Rola ta niczym płaszcz osiadła jej na ramionach i dopasowała się znakomicie. Truczna wybrała.

Wkrótce potem opuścił ją Bram. Błagała go, żeby został i mieszkał z nią w zamku, łowca zaś mrucał, rumienił się i wyburkiwał różne usprawiedliwienia, nie chciał jednak zmienić zdania.

– Nie ma tu dla mnie nic do roboty – tłumaczył. – Truczno, jestem prostym człowiekiem. Nie ma też dla mnie miejsca pośród tych wszystkich ksiąg. Zarobiłem trzy srebrne suwereny... wygląda na to, że dawno temu... i zamierzam je wydać. Dom w górach, wokół nikogo, zakątek, gdzie mogę żyć sam dla siebie. Myślę, że zrobiłem, co do mnie należało; czas mieć z tego jakąś korzyść.

Dziewczyna zmusiła się do słabego uśmiechu.

– Cztery suwereny – poprawiła. – Zaproponowałam ci jeszcze jednego, jeśli pójdziesz ze mną do domu Maeb, pamiętasz? Wtedy odmówiłeś, jednak przyszedłeś. Jestem ci go winna.

– Cztery suwereny – z zadowoleniem rzekł łowca, podkreślając wąsa. – Nie muszę już nigdy więcej pracować.

– Bram, chciałabym, żebyś został – powiedziała Truczna, obejmując go.

Odwzajemnił uścisk, pierwszy raz się przy tym nie cofając.

– Pora na mnie – stwierdził. – Nie potrzebujesz już takiego starego draba jak ja.

– Bramie, powstanie o tobie opowieść – obiecała. – Sama ją napiszę.

Oczy łowcy zaszyły mgłą, wyglądał tak, jakby zaraz miał się rozplakać.

– Uważaj na siebie, dziewczynko – powiedział i odszedł, aby nigdy już nie wrócić.

Po jego odejściu Ziarnko zdawała się niepokieszona, jednak, tak jak zwykle, humor odmienił jej się w ciągu jednej nocy i gdy upłynęły trzy dni, całkiem otrząsnęła się z żalu, znów była wesola i pogodna. Ona i Andersen postanowili zostać z Trucizną w zamku. Cieszyła się z tego. Woląca nie tracić Ziarnka z oczu.

To właśnie jasnowłosa stała się dla niej prawdziwą pociechą. Choć młodsza siostra odeszła, zabłąkana gdzieś w bezmiarach świata, Trucizna nie była całkiem samotna. Ze wstydem wspominała, jak chciała zostawić Ziarnko w domu Kościanej Wiedźmy i że tylko prawość i dobre serce Brama sprawiły, iż zmieniła zdanie. Od tamtej pory powoli stawała się dla jasnowłosej kimś na podobieństwo starszej siostry. Ziarnko była jej równie bliska jak rodzina... A szczerze mówiąc, nawet bliższa, gdyż zawsze coś dzieliło ją od rodziców, Azalii zaś właściwie nie znała. Jasnowłosa potrzebowała kogoś, kto by się nią opiekował, a mieszkanka bagien kogoś, kim mogłaby się opiekować. Ich więź jeszcze bardziej się wzmocniła, kiedy Trucizna ostatecznie utraciła Azalię.

Szukając siostry, przypadkiem ją znalazła, choć zupełnie gdzie indziej, niż się spodziewała. Teraz jasnowłosa była dla niej siostrą we wszystkim oprócz pokrewieństwa. Straciła Azalię, zyskała Ziarnko Pieprzu. Może niektórzy uznaliby to za sprawiedliwą wymianę.

Była i radość, i smutek, aż wreszcie Trucizna znalazła się w miejscu, do którego tak długo bała się iść. Komnaty Melcherona stały się jej pokojami, jednak do tej pory nie postawiła stopy w największej z nich, bo z nią wiązało się zbyt wiele niedobrych wspomnień. To tam po raz pierwszy spotkała starego Hierofanta, tam kilkoma zdaniem zdruzgotał jej złudzenia i tam zginął z ręki Pariasy.

Podeszła do stołu, przy którym znaleziono go z nożem Asinastry w plecach. Usiadła i spojrzała w leżącą na nim pustą księgę. Od tamtej pory nikt nie ważył się jej dotknąć. Deszcz siekł w okrągłe okno za fotelem. W kominku trzaskał ogień. Chwyciła pióro i zanurzyła je w wodnistej, przejrzystej cieczy, której Melcheron używał jako atramentu.

Siedziała tak przez kilka godzin. Od czego powinna zacząć? Co zrobić? Jak mogła skończyć to, co zaczął Melcheron, skoro nie widziała, jak to zaczął i co napisał, zanim umarł?

Ale on przecież pisał moją opowieść, pomyślała. A kto zna moją opowieść lepiej niż ja?

Przewróciła strony książki, każdą pustą, aż wreszcie dotarła na początek tomu.

„Żadnej opowieści nie można przeczytać, póki nie zostanie zakończona”, przypomniała sobie.

Hierofant myślał, że pisze historię tego, jak jego czeladnik wrywa się z mroków Czarnych Bagien, jak pokonuje przeciwności losu i dociera do zamku.

Może w jego głowie dalszym ciągiem opowieści była jej nauka i w końcu otrzymanie godności Głównego Antykwariusza. Hierofanta. Jednak ta historia się zmieniła. Został zamordowany. I choć sens opowieści przetrwał, miała ją teraz przedstawić sama Trucizna, albowiem to zawsze była jej opowieść, mimo wszystko, a teraz się skończyła i należało ją spisać.

Zaczęła więc pisać:

„Dawno temu była sobie dziewczyna, która mieszkała pośród bagien, a na imię miała Trucizna”.

Chociaż nie widziała słów, wiedziała, że tam są, tak wyraźnie, że mogłaby odczytać je z karty. Ten początek zdawał się równie dobry jak każdy inny. Znów przyłożyła pióro do papieru. Pojawiły się inne słowa, spływając tak szybko, że ledwie nadążała z przenoszeniem ich na stronicę, tak jakby księga została już napisana, a ona tylko wodziła piórem po znajdujących się w folialne konturach liter. Przychodziło jej to wszystko tak naturalnie, tak łatwo, że aż uśmiechnęła

się szeroko i nachyliła nad tomem, pisząc z rosnącym podnieceniem.

Pisała, pisała i pisała. Bystry przynosił jej napoje i jedzenie, które brała jedną ręką, aby nie spowalniać strumienia słów płynącego z głowy do pióra i na papier. Antykwariusz milczał, nie chciał przeszkadzać. Jak się później dowiedziała, pisała bez przerwy przez czas równy dwóm dniom i nocom. Dla niej jednak zdał się on tylko kilkoma chwilami. Zaczęła na nowo to, co rozpoczął kiedyś Melcheron; a gdy przewróciła ostatnią stronicę książki, ze zdumieniem stwierdziła, że do zapisania pozostało jej już tylko kilka zdań. Grubość tomu świetnie pasowała do opowieści.

I tak oto jej historia dobiegła końca. Powinna teraz stać się widoczna dla wszystkich. Ale była to dopiero pierwsza spisana przez nią opowieść; doskonale o tym wiedziała. Co powiedział Bystry, wtedy, w Wielkiej Bibliotece? „Niektórzy mają wiele opowieści”.

A ukończenie tej historii stanowiło ledwie początek. Dopiero wykonawszy tę pracę, tak naprawdę stała się nowym Hierofantem. Było jeszcze wiele do zrobienia. Faerie wciąż ciemniły Krainę Człowieka; ludzie nadał czaili się w jamach i pośród szczytów, bojąc się stąpać po własnej ziemi. Wszystko to powinno się zmienić. Musi napisać im opowieść o przywódcy, który odbierze to, co do nich należy. Wymyślić kogoś, kto przywróci dumę jej rasie. Właśnie tego obawiał się Aelthar i właśnie to należało zrobić.

Kiedy zapisała ostatnie słowa opowieści, nakreśliła litery i oderwała pióro, na karcie zaczęły pojawiać się słowa. Niewidzialne linie zaczerniły się i w księdze ukazała się cała historia. Truczna spojrzała na swe dzieło i westchnęła. Tyle musiało się wydarzyć, aby do tego doszło. W zdaniach i akapitach był jej smutek, jej triumf, jej serce. Uwięziła to wszystko między okładkami. Czy sama też była więźniem jakiejś większej książki, pisanej przez innego, potężniejszego Hierofanta? I czy on był podobnie więziony – i tak dalej, w nieskończoność?

Może. A może nie. Wszystko, co mogła zrobić, to poradzić sobie z tą rzeczywistością, którą jej objawiono. A wiele miała do zrobienia.

Powoli zamknęła księgę i spojrzała na zdobioną tłoczeniami okładkę. Pojawił się tam tytuł, wcześniej niewidzialny. Uśmiechnęła się. Było nim jedno słowo: „Truczna”.

To powinno wystarczyć.